

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6

1948



ST. GRYZIEWICZ — Cywilizacja materialna * R. ARON —
Antynomia polityki współczesnej * M. KUKIEL — Przedwieśnie
rewolucji i wojna poetów * P. HOSTOWIEC — Corona turrita
(dok.) * J. ŁOBODOWSKI — Literatura hiszpańska w XX-tym
wieku * K. WIERZYŃSKI — Kwiat Iliady ♦ WIERSZE ♦
A. BOBKOWSKI — Pożegnanie * M. CZUCHNOWSKI —
Zielony promień ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI ♦
TEKSTY ZAPOMNIANE ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE
♦ KRONIKA MUZYCZNA ♦ KSIĄŻKI ♦ KRONIKA
KULTURALNA ♦ BIBLIOGRAFIA

SPIS RZECZY

Stanisław Gryzewicz:	<i>Cywilizacja materialna</i>	3
Raymond Aron:	<i>Antynomia polityki współczesnej</i>	8
Paweł Hostowiec:	<i>Corona turrita (dok.)</i>	23
Marian Kukiel:	<i>Przedwiośnie rewolucji i wojna poetów</i>	45
Józef Łobodowski:	<i>Literatura hiszpańska w XX-tym wieku</i>	62
Święty Jan od Krzyża:	<i>Poezje mistyczne</i>	71
♦		
Kazimierz Wierzyński:	<i>Kwiat Iliady</i>	74
Witold Nowosad:	<i>Mgła</i>	75
Bronisław Przyłuski:	<i>Wiersz o siostrze</i>	76
Bronisław Przyłuski:	<i>Wiersz o miłości</i>	78
♦		
Jan Ulatowski:	<i>Notatki o impresjonizmie</i>	79
♦		
Andrzej Bobkowski:	<i>Pożegnanie</i>	82
Marian Czuchnowski:	<i>Zielony promień</i>	94

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Felicjan Sławoj Składkowski:	<i>Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 r. (dok.)</i>	107
------------------------------	---	-----

TEKSTY ZAPOMNIANE

Józef Conrad-Korzeniowski:	<i>Zbrodnia rozbiorów</i>	128
----------------------------	---------------------------------	-----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Włodz. Bączkowski:	<i>Middle East, Azja i mocarstwa Zachodu</i>	134
--------------------	--	-----

KRONIKA MUZYCZNA

Konstanty Regamey:	<i>Rzut oka na muzykę współczesną</i>	141
--------------------	---------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Wiktor Weintraub:	<i>Książki angielskie</i>	156
-------------------	---------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

<i>Paryska kronika kulturalna</i>	161
--	-----

BIBLIOGRAFIA

Aleksander Melen:	<i>Polonica szwajcarskie 1939-1947</i>	164
-------------------	--	-----

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6

1948

INSTYTUT



LITERACKI

B.	F.
110	110
150	230
170	250
0	120
50	140
370	180



PRINTED IN FRANCE

Imprimerie de la S. N. I. E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

Cywilizacja materialna: źródło wolności i niewoli

Od połowy XVIII-go stulecia coraz trudniej jest mówić o wolności człowieka wyłącznie w kategoriach politycznych. Co więcej, punkt ciężkości rozwiązań problemu wolności człowieka przesunął się w sposób wyraźny w dziedzinę warunków materialnych jego bytu. Mówiąc o rozwiązaniach tego problemu, trzeba więc przede wszystkim zadać sobie pytanie — w jaki sposób zostaną ukształtowane warunki materialne bytu człowieka, określające zakres jego wolności.

W uwagach tych mam zamiar zatrzymać się nad niektórymi sprzecznościami, napotykanymi na drodze rozwiązań sprawy wolności człowieka właśnie od strony warunków bytu materialnego. Sprzeczności w tej dziedzinie są olbrzymie. W świetle tych sprzeczności wogóle nasuwa się wątpliwość, czy może być stworzone praktycznie — będące do pomyslenia teoretycznie — optimum warunków materialnych wolności człowieka. Stworzenie tego optimum wymaga ostrożnego szukania drogi pośredniej, lawirowania pomiędzy Scyllą a Charybdą rozwiązań skrajnych, niosących jedną postać wolności lub quasi-wolności, przytłaczających równocześnie inne postacie tej samej niepodzielnej wolności. Wątpliwość ta głównie polega na tym — czy w warunkach niebywałego zatłoczenia świata — niebywałej liczby ludności — jest miejsce na precyzyjną budowę cywilizacji. Z drugiej strony, budowa prawdziwej cywilizacji nie może być inną budową, jak tylko budową precyzyjną.

W celu omówienia tego tematu w możliwie największym skrócie, jestem zmuszony postugiwać się pewnymi uproszczeniami. Niektóre z nich wyjaśnię na początku, aby ułatwić porozumienie z Czytelnikiem w dalszym toku rozumowania.

Przez cywilizację materialną rozumiem stan lub stopień możliwości materialnych zaspakajania przez człowieka, żyjącego w danej zbiorowości, jego potrzeb. Termin «potrzeby» traktuję jak najszerzej, to znaczy obejmuje nim zarówno potrzeby materialne, jak i potrzeby nie materialne. Stopień zaspakajania tych ostatnich jest również zależny, w znacznej mierze, od cywilizacji materialnej. Na przykład, tworzenie galerii obrazów, muzeów, rozpowszechnianie czytelnictwa najwybitniejszych

pisarzy itp., to wszystko jest zależne od cywilizacji materialnej.

Możliwości materialne zaspakajania przez człowieka jego potrzeb są równoznaczne z dochodem, jakim on dysponuje; ściślej mówiąc, są one równoznaczne z wysokością dochodu realnego, przypadającego na każdego człowieka w danej zbiorowości. Wysokość dochodu realnego jest z kolei zależna od struktury społeczno-gospodarczej danej zbiorowości: od warunków naturalnych, jakimi ona dysponuje, od wyposażenia w kapitał wytwórczy, od jej przygotowania zawodowego — kwalifikacji technicznych i ogólnogospodarczych.

W ten sposób dochodzimy do ważnego — jak mi się wydaje — stwierdzenia, że cywilizacja materialna jest zależna od struktury społeczno-gospodarczej danej zbiorowości.

Te wyjaśnienia wstępne wystarczą, aby przejść do istoty zagadnienia.

Istotą rozwoju społeczno-gospodarczego świata jest coraz większy udział gromadzonego kapitału wytwórczego w wygospodarowywaniu dochodu społecznego, służącego zaspakajaniu potrzeb ludzkich. Dochód społeczny, względnie zaspakajanie potrzeb ludzkich — używam tych terminów dowolnie, ponieważ są one w pewnym sensie zastępowane — jest rezultatem wyzyskiwania przez człowieka darów natury. Człowiek gołymi rękami może w sposób bardzo ograniczony wyzyskiwać dary natury. Tym lepiej je wyzyskuje, im lepsze posiada narzędzia wytwórcze — im więcej posiada kapitału wytwórczego w postaci różnych urządzeń produkcyjnych. Dzieje Robinsona Crusoe są tego plastycznym przykładem. Uzbrajanie się w narzędzia produkcji posiada tym większe znaczenie, że dary, względnie dobra natury są w ilości ograniczonej, gdy tymczasem liczba ludności wzrasta — coraz więcej jest w świecie pretendentów do udziału w darach natury i, co więcej ta większa liczba pretendentów chce być coraz lepiej obdarowana.

Nie ma co nawet mówić o stanie materialnej wygody, w której żyłaby ludzkość, o stanie euforii. Trzeba stwierdzić, w związku z tym, co powiedziałem, że zapewnienie każdemu człowiekowi elementarnych warunków bytu — *wolności od niedostatku* — wymaga stałej i szybkiej kumulacji kapitału wytwórczego. Tym większa musi być kumulacja kapitału wytwórczego, im lepiej chcemy zaspakajać potrzeby każdego człowieka, na przykład dać mu prawo do książki, do teatru itp.

Takie postawienie sprawy musi obowiązywać również wówczas, gdy staniemy na stanowisku statyki populacyjnej, a mianowicie powiemy, że ludność nie ma wzrastać. Ludzi jest zbyt dużo na świecie, aby istniejące nagromadzenie kapitału wytwórczego było wystarczające z punktu widzenia zapewnienia każdemu człowiekowi wolności od niedostatku.

Spirytualiści, którzy chcą odmaterializować świat, nie mogą więc żądać, aby nie były robione wszelkie możliwe wysiłki w kierunku rozwoju gospodarczego. Zaniechanie tych wysiłków oznaczałoby w konsekwencji *zageszczenie mroków w dziedzi-*

nie życia duchowego. Powtarzam: zbyt wielu ludzi jest na świecie, aby tak prosta recepta była do przyjęcia. Ideał platoński, czy ideał kanonistów średniowiecza albo ideał Campanelli lub Tomasza Moore, by ludzie pracowali jak najmniej, tylko tyle aby żyć, a resztę czasu aby poświęcali na życie duchowe — w dzisiejszych warunkach zageszczenia ludności, nawet przy statyce ludnościowej, wymagałby olbrzymiego wzrostu nagromadzenia dóbr wytwórczych.

Wspomnę o drugim postulacie spirytualistów, a mianowicie o postulacie uśredniowiecznienia życia społeczno-gospodarczego. Postulat ten opiera się na założeniu, że w średniowieczu każdy rzemieślnik był swoim panem, a czeladnik był na drodze do tego, aby zostać swoim panem. W związku z tym, stosunki średniowieczne uważane są za lepsze, ponieważ nie było tylu ludzi w miastach co teraz, zależnych od przedsiębiorcy-kapitalisty prywatnego lub państwa. Otóż właśnie, nie było tylu ludzi, ale należy to stwierdzenie rozszerzyć i powiedzieć, że wogóle nie było tylu ludzi. A ponadto: w średniowieczu ludność, zatrudniona w rzemiośle, stanowiła drobny odsetek ludności zawodowo czynnej w ogóle; przeważająca część ludności stanowiła ludność, zatrudniona w pańszczyźnianym rolnictwie. Innymi słowami, nie można systemu, istniejącego w danej epoce, oceniać jednostronnie, względnie na podstawie fragmentów. Prowadzi to do mitu historycznego, jeszcze jednego mitu i jeszcze jednego zamieszania w umysłach.

Z postulatem uśredniowiecznienia wiąże się postulat redystrybucji kapitału wytwórczego w myśl zasady: każdy pracownik jest swoim własnym panem. Innymi słowami, jest to postulat upowszechnienia prywatnej własności środków produkcji. Dopóki postulat upowszechnienia prywatnej własności ogranicza się do domków z ogródkami, dopóty jest on do zrealizowania. Ale domki z ogródkami nie zapewniają niezależności od pracodawcy. Natomiast samego kapitału wytwórczego nie można podzielić *bez ogromnego spadku sumy zaspokojenia potrzeb i zaspokojenia, przypadającego na głowę ludności*. Wynika to stąd, że wysokość dochodu społecznego (stopień zaspakajania potrzeb ludzkich) zależy bardzo poważnie również od *stopnia koncentracji kapitału dla określonych celów wytwórczych*.

Reasumując, współczesna struktura społeczno-gospodarcza świata wymaga coraz większej kumulacji kapitału wytwórczego w poszczególnych gospodarstwach narodowych, jako zjawiska generalnego, i bardzo znacznej nieraz koncentracji kapitału dla poszczególnych celów wytwórczych. Bez tego nie jest możliwe elementarne nawet zaspakajanie potrzeb ludzkich. Stąd, w konsekwencji, życie i potrzeby każdego człowieka zależne są od kapitału, nagromadzonego w gospodarce. Ta zależność może być źródłem jego niewoli. Jest on mianowicie zależny od tego, kto dysponuje tym kapitałem: (a) w ustroju prywatno-kapitalistycznym człowiek jest zależny od prywatnego kapitalisty;

(b) w ustroju etatycznym — od biurokracji państwowej.

Z punktu widzenia wolności człowieka powstaje więc zagadnienie dyspozycji kapitałem. Odbiera się na przykład dyspozycję kapitałem prywatnemu kapitaliście i przekazuje się ją biurokracji, powiedzmy, państwowej. Przy takim postawieniu sprawy został pozornie zrealizowany postulat demokracja ekonomicznej i uniezależnienia człowieka od kapitału. Mianowicie, zostaje on zrealizowany w ten sposób, że przyjmuje się fikcja, że biurokracja jest reprezentantem interesów społecznych i działa w przeciwnym interesie każdego człowieka, wchodzącego w skład danej zbiorowości. Tymczasem, w rzeczywistości została usunięta zależność człowieka od prywatnego kapitalisty, ale nie został jeszcze rozwiązany problem demokracji ekonomicznej i uniezależnienia człowieka od kapitału wogóle.

Ściśle biorąc — jak starałem się to wyjaśnić — uniezależnienie od kapitału we współczesnej strukturze nigdy nie może nastąpić. Problem polega na tym, jak uniknąć tego, aby dysponenti kapitałem nie nadużywali swojej władzy przeciwko człowiekowi. Tak więc, *ustrój dyspozycji kapitałem a nie ustrój własności posiada decydujące znaczenie z punktu widzenia wolności i interesów każdego człowieka.*

Zatrzymam się obecnie nad wariantem przekazania biurokracji dyspozycji kapitałem. Pomijam ponadto ewentualność biurokracji niekontrolowanej typu hitlerowskiego lub sowieckiego i przyjmuję, że biurokracja, która dysponuje kapitałem, jest kontrolowana społecznie. I w tym jednak wypadku występuje zjawisko niemożności skutecznej, pełnej kontroli społecznej. Mianowicie, każda biurokracja — najbardziej kontrolowana — będzie posiadała swój zakres działalności nie do skontrolowania. Wynika to stąd, że nie jesteśmy w stanie rozciągać pełnej kontroli społecznej na cały proces gospodarki, a to ze względu na skomplikowanie i właściwości techniczne tego procesu. To skomplikowanie i te właściwości techniczne stanowią twierdzą specjalistów-biurokratów, do której nie jest w stanie dostać się żadna kontrola społeczna.

Z drugiej strony, od szefa we współczesnym życiu ekonomicznym wymaga się wysokich kwalifikacji, musi to być człowiek zdolny i energiczny. A tym właściwościom człowieka lubi towarzyszyć pragnienie władzy, zamiłowanie do rządzenia. Zdolny biurokrata niemal z reguły *nie jest skłonny do służby społecznej, do służenia człowiekowi.*

Liberalna socjologia ekonomiczna zbyt przeceniała motyw zysku, jako pobudkę twórczości gospodarczej dziewiętnastowiecznego kapitana przemysłu, a raczej niewłaściwie umiejscowiła ten motyw. Był to przeważnie zaledwie motyw pośredni. Tym motywem finalnym był motyw władzy. Stąd też może powstał błąd, który polegał na przypuszczeniu, że upaństwowienie rozwiązuje problem wyzwolenia człowieka. Znika wyzysk człowieka dla zysków prywatnego kapitalisty, bo znika własność prywatna i zysk prywatnego kapitalisty. Ale pozostaje wyzysk

człowieka dla władzy, władzy wielopostaciowej, wielobarwnej i wielogzecznej, która na szyldzie ma wypisane różne rzeczy, ale istota pozostaje istota, że fakt nieuniknionej, strukturalnej zależności człowieka od kapitału jest wyzyskiwany nie dla dobra człowieka, lecz przeciwko człowiekowi.

Montesquieu (1689-1755) wysunął zasadę podziału władz, która miała chronić wolność człowieka przez przeciwstawienie się kumulacji władzy. Wydaje mi się, że koncepcja Montesquieu jest najdonioślejszą — aczkolwiek niekompletną — o ile chodzi o dziedzinę wyzwolenia człowieka.

Przypominałem powyżej lata, w których żył Montesquieu. Zrobiłem to dla zwrócenia uwagi, że jego koncepcja powstała przed 1790 rokiem — datą umowną początku tzw. Rewolucji Przemysłowej, która doprowadziła — obok olbrzymiego rozwoju ludności — do tego monstrum, którym jest współczesna struktura społeczno-gospodarcza. Ta struktura stwarza nowe postacie uzależnienia człowieka, które nie były znane Montesquieu i dlatego jego koncepcja podziału władz jest dziś niewystarczająca z punktu widzenia problematyki wolności człowieka. Innymi słowami, koncepcja ta musi być uzupełniona z uwzględnieniem potrzeby uwolnienia człowieka — a co najmniej znacznego ich złagodzenia — od tych zależności, jakie wynikają ze współczesnej struktury społeczno-gospodarczej. Wydaje mi się, że taki byłby właściwy punkt wyjścia wysiłków myślowych nad zagadnieniem rozszerzenia sfery wolności człowieka.

Marx, największy lekarz tego ustroju, który rozwinął się na tle narastającej, współczesnej struktury społeczno-gospodarczej, nie tylko nie posunął naprzód sprawy wolności człowieka, ale cofnął ją znacznie wstecz, wypowiadając się za najgorszą kumulacją władzy, jaką można sobie wyobrazić. Wiek XX-ty realizuje tę najgroźniejszą dla człowieka nową kumulację władzy. U źródeł tej szkodliwej terapii leży niewątpliwie błąd, o którym już wspominałem, polegający na twierdzeniu, że wyzysk i niewola człowieka są wyłącznie rezultatem nastawienia gospodarki na zysk prywatnego kapitalisty, co znów jest możliwe w warunkach prywatnego władania środkami produkcji. Tego rodzaju diagnoza jest niewątpliwie słuszną, ale niewątpliwie również jest ona bardzo fragmentaryczna, nie uwzględnia — jak powiedziałem — motywów władzy w działalności człowieka, które posiadają o wiele więcej okazji przyjscia do głosu — ze szkodą dla wolności człowieka — w ustroju biurokratycznej dyspozycji środkami produkcji.

Stanisław GRYZIEWICZ.

Antynomia polityki współczesnej:

*pokój nieosiągalny –
wojna nieprawdopodobna*

Od maja 1945 roku umilkły armaty w Europie. Trzy miesiące później bomby atomowe, padając na Hiroszimę i Nagasaki, wstrząsnęły planetą i umożliwiły Cesarzowi Wschodzącego Słońca honorową kapitulację.

Japonia i Niemcy są pokonane, zdruzgotane, na łasce i niełasce zwycięzców. Ale kto ośmieli się twierdzić, że na świecie zapanował pokój?

Oczywiście, ani klęska głównego wroga, ani zwycięstwo tej czy innej koalicji nie są w stanie stłumić zaburzeń wynikłych z kataklizmu światowego.

Po roku 1918 wielkie mocarstwa nie zdołały także uniknąć wojen lokalnych na Wschodzie Europy lub na Bałkanach. Granic pomiędzy Polską a Rosją, Grecją a Turcją, nie ustalono w Wersalu. Uświęciły je wyniki działań wojennych.

Wielka wojna, podobnie jak perturbacja atmosferyczna, ciągnie za sobą ogony burz. Tym razem Europa, dzięki obecności armii rosyjskich i amerykańskich, oszczędziła sobie owych wtórnych konfliktów, w których państwa małe lub średnie utwierdzały swoje autonomię, albo swoje ambicje. W przeciwieństwie — narody Azji, dzięki kataklizmowi, który zachwiał i zburzył dawny ład, żądają i uzyskują niepodległość. Walki w Indiach i w Indonezji ujawniają się nam jako te tragiczne epizody nieodwracalnej ewolucji, której cesarska przygoda japońska nie wywołała, ale ją przyspieszyła.

Trwogę ludzkości podtrzymują nie skutki przeszłości, ale lęk przyszłości. Zjawy Hitlera nie płoszy już naszej wyobraźni. Hitler umarł, umarł naprawdę. Ale cień nowego Cezara padł na świat.

Powiedzmy raczej, aby nie uprzedzać podziału odpowiedzialności: rywalizacja rosyjsko-amerykańska, zatajona w okresie działań wojennych, stała się jawną z chwilą załamania się Trzeciej Rzeszy i nie dozwoliła światu zaznać radości pokoju.

Jedynie rytm wypadków usprawiedliwia niespodziankę. Że przymierze bywa rozwiązane z chwilą, gdy staje się bezprzed-

miotowe, czyli wtedy kiedy mu zabraknie wspólnego wroga — to zgodne jest z tradycją historyczną.

Na Kongresie Wiedeńskim, w przeddzień Stu Dni, dyplomaci brali pod uwagę możliwość zbrojnej rozprawy. Zjednoczeni przeciwko Napoleonowi sprzymierzeńcy nie byli w stanie pogodzić się co do statutu Europy, równie niezdolni do odtworzenia rzeczywistości z przedrewolucyjnego przesilenia, jak do stworzenia koncepcji innego typu. W końcu co prawda doszło do zgody, z której pomiędzy likwidacją jednego a dojrzaniem drugiego przesilenia, spłynęło na ludzkość dobrodziejstwo długotrwałego pokoju.

Tym razem przeciwieństwa pomiędzy zwycięzcami stały się prawie od razu tak gwałtowne, że możliwość niezwłocznego wybuchu zdaje się prawdopodobna. Czy jest ona jednak istotna? Czy wybuch zagraża nam bezpośrednio? Czy też «Wojenny pokój», którego prawa zaczynamy odkrywać, odtwarza być może strukturę świata w tym wieku Imperiów?



Nie ma już koncertu europejskiego, jest «koncert» światowy. W ciągu wieków, cztery lub pięć mocarstw, zwanych wielkimi, przewodziły na scenie dyplomatycznej starego kontynentu. Europejczycy wyobrażali sobie naiwnie, że ich los przesądza losy rodzaju ludzkiego. Ale ta naiwność wcale nie wpływała na obliczenia mężów stanu, póki rozgrywki narodów europejskich odbywały się w zamkniętej przestrzeni. Ponadto w ubiegłym wieku, owe narody, dzięki monopolowi środków przemysłowych i zdobyczy nauki, rozporządzały prawie nie kwestionowaną przewagą wojskową.

Stany Zjednoczone nie miały innej ambicji, jak tylko wyłączenie obu Ameryk z prób podziału na zony wpływów i kolonie, co było udziałem prawie całej reszty świata.

Zależnie od wyznaczonych granic, wewnętrzne postępy krajów, wyniki konfliktów, europejska równowaga przeistaczały się nieustannie w granicach niezmiennego systemu i przy zachowaniu niezmiennego układu sił.

Wojna 1914-1918 podkopała nieodwołalnie ów system, mimo że na razie nie doszło to do świadomości opinii współczesnych. Przecistawiając się Rzeszy Wilhelma II, demokracje czerpały ze swych zapasów materialnych, potem sięgnęły do zapasów ludzkich Nowego Świata. Pomoc dywizji amerykańskich rozstrzygnęła walkę frontu zachodniego. Było to dowodem, że Europa, nie zdolna rozstrzygać własnych sporów, wciągała w inne kontynenty.

Po zniknięciu Austro-Węgier, tej ofiary wojny — wojny, którą w dużej mierze sama zainicjowała w nadziei przetrwania — Niemcy stały się jedyną wielką potęgą pomiędzy Renem a granicą rosyjską. Ponownie uzbrojone zepchnęły od razu do rzędu satelitów, protektoratów lub cesarskich prowincji, otaczające je państwa, stworzone na zasadzie samostanowienia narodów,

jak również w celu odgradzenia Niemiec od nowej Rosji pasem krajów niezależnych.

Rozszerzona wszelako do granic Mitteleuropy, Rzesza nie była już na miarę Europy, przysięgała swoją masą państwa narodowościowe. Aby je opanować i ostatecznie ujarzmić, trzeba było zmobilizować Zachód i Wschód, Imperium sowieckie i narody anglosaskie. Interwencja japońska rozszerzyła jeszcze pole bitwy, które ogarnęło całą planetę.

Niemcy zapłacili totalną klęską swoje dążenie do totalnego zwycięstwa.

Pocięte na zony przez armie okupacyjne, miasta w gruzach, obszar pomniejszony, ludność stłoczona na ciasnej przestrzeni — spadły Niemcy na długie lata do rzędu obiektu historii.

Nikt jednak nie jest w stanie zająć tego opuszczonego miejsca. Dzień, w którym wojska amerykańskie i wojska sowieckie zeszły się na Elbie, był dniem historycznym. Europa została uwolniona od ohydnej tyranii, ale uwolniły ją armie mocarstw pozaeuropejskich, nie wyzwoliła się sama. Wczoraj — ognisko cywilizacji, dziś — zwaly gruzów, zdaje się być no man's landem — ziemią niczyją, — o którą spierają się olbrzymy.

Rozszerzenie sceny politycznej odmieniło miarę potęgi. Naród wielki w ramach Europy staje się małym w ramach świata. Siłę militarną zmobilizowały dziś praktycznie dwa państwa, których wspólna charakterystyką w płaszczyźnie geograficznej jest rozlanie się na obszarze tak wielkim, jak cały kontynent, w płaszczyźnie politycznej — skupienie rozlicznych narodów w jedną całość. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki są jednocześnie państwami-kontynentami i państwami wielonarodowymi.

Każdy wie, że siła militarna naszego wieku stanowi zestrojenie zasobów ludzkich i materialnych, oraz wysoki poziom techniki naukowej i przemysłowej. Czteryście milionów Chińczyków bez tanków, bez awiacji, bez radaru, bez pocisków rakietowych, pozostaje obiektem historii powszechnej. Sześć milionów Szwajcarów, jakie by nie było ich uzbrojenie, jest jedynie czynnikiem dopełniającym, albo górskim garnizonem.

Skojarzenie ilości materialnej i ludzkiej z wartością techniczną znajdujemy obecnie jedynie w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim. Wielka Brytania, dzięki swemu położeniu geograficznemu i panowaniu na morzach grała od trzech wieków rolę niewspółmierną do powierzchni swego terytorium i liczby swojej ludności. Dominowała nad mocarstwami europejskimi, wówczas, kiedy one współpanowały nad resztą świata. Ale korzyści geograficzne i historyczne, które Wielka Brytania umiejętnie wyzyskiwała, są obecnie na drodze zanikania. Kanał, który ją dzieli od kontynentu na tyle szeroki, aby stanowić jej ochronę i na tyle wąski, aby pozwolić jej na interwencję kontynentalną stanowił w 1940 roku, być może po raz ostatni, skuteczną zaporę. Wstrzymał czołgi, ale już nie wstrzymał rakiet, którym były wydane na pastwę tragicznie bezbronne, olbrzymie skupiska miejskie, w pierwszym rządzie skupisko Lon-

dynu. Panowanie nad morzami i niebem należy odtąd do Nowego Świata. Chociaż dzięki Dominium oraz Imperium, dyplomacja londyńska zachowuje jeszcze możliwości działania na czterech krańcach planety, w tym jednak co zasadnicze, nie może już się odłączać od Stanów Zjednoczonych. Stany mogą swobodnie wybierać pomiędzy pokojem a wojną, wówczas, kiedy Wielka Brytania, której dostawy żywności i surowców idą po większej części z półkuli zachodniej, nie mogłaby, w razie konfliktu, obyć się bez pomocy, czyli bez aprobaty Waszyngtonu. Utraciła więc nawet autonomię, czyli charakterystyczne znamiona stanowienia o sobie samej — dotychczasowy przywilej wielkich mocarstw.

Przypuściwszy nawet, że Niemcy za kilka lat odbudują swoje ruiny i przywrócą swoją jedność, znajdują się jednak w kategorii niższej. Wczoraj jeszcze — trzeźwa żarliwość z jaką pielegnowały sprawy wojskowe, początkowe zdobycze odniesione dzięki ich centralnemu położeniu, militarna przewaga nad każdym z graniczących krajów i sąsiednich koalicji, oraz wyprzedzenie sąsiadów w mobilizacji i ataku — wszystko to stało się zagrożeniem dla świata. Jutro — pozostaną one osamotnione na czas dłuższy i byłyby w przewidzianej przyszłości słabsze od imperium sowieckiego i świata anglosaskiego, skazane, o ile zechcą chwycić za broń, do oddania się na usługi jednej lub drugiej z tych dwu potęg.

Dopóki Europa Środkowa i Wschodnia nie będą zjednoczone, dopóki masy ludzkie Azji nie skonsolidują swoich państwowości i nie stworzą wielkiego przemysłu, nie jest do przewidzenia, aby ktokolwiek mógł rywalizować z tymi olbrzymami, chyba że wiek wynalazków zwróci liczebnie słabym szanse, których wiek przemysłu ich pozbawił.

Oczywiście, że kiedyś użytek broni «cudownych» nie będzie wymagał dziesiątków milionów ludzi, ani setek milionów ton węgla rocznie. Na razie potrzebne są jeszcze miliardy dolarów, czyli nieobliczalna ilość rąk i mechanizmów, aby wytworzyć cudowne bronie.

Struktura dyplomacji uległa więc dwóm zasadniczym przemianom, które zapowiadają się jako trwałe i których znaczenie jest kapitalne:

1) Unifikacja terenów działania, proces wywołany jednocześnie postępem technicznym oraz powiązaniem się wzajemnym politycznym i wojskowym kontynentów,

2) Skupienie się całej potęgi w dwóch państwach olbrzymach, położonych na peryferiach cywilizacji zachodniej.

Do tych dwóch faktów, będących wynikiem długiego okresu, należy — o ile się chce zrozumieć obecną sytuację — dodać dwa inne fakty, może bardziej przejściowe: zniszczenie w różnych częściach świata lokalnej równowagi, tak w Europie jak i w Azji, oraz rozszerzenie współzawodnictwa mocarstw drogą dyplomacji totalnej.

W Azji Japonia powaliła i rozbroiła Chiny, objęte wojną

domową. Nie mamy więc na tym terenie żadnej potęgi, nawet drugorzędnej. Podobnie w Europie: zniszczenie Niemiec, osłabienie Italii i Francji, rozmnożenie małych państw uniemożliwiają powstanie jakiegokolwiek siły drugorzędnej, zdolnej, w roli zderzaka, stanąć pomiędzy olbrzymami i zneutralizować zderzenie. Lokalnie, Związek Sowiecki nie natrafiłby w istocie na żaden opór militarny, gdyby mu przyszła ochota pchnąć swoje dywizje w kierunku Atlantyku. Jeżeli do dziś dnia istnieje zona europejska nie podlegająca wpływowi sowieckim, to dzięki potencjalnemu pośrednictwu siły amerykańskiej. Bez bomby atomowej, bez nieokreślonej ale zawsze obecnej groźby powszechnego konfliktu, bez możliwości Stanów Zjednoczonych uderzenia w żywotne ośrodki Związku Sowieckiego, dlaczegożby Sowiety miały wstrzymać na żelaznej kurtynie dobrodziejstwa wschodniej demokracji?

Odąd niewątpliwie kraje położone pomiędzy blokami amerykańskim i sowieckim, stanowią terytoria sporne. Grozi im zesłizgnięcie się do jednego lub do drugiego obozu, co w konsekwencji zmieniłoby równowagę świata.

Pod postacią wojny domowej, jak w Grecji lub Chinach, albo walki wyborczej i politycznej, jak w Niemczech i Francji, toczą się zmagania, których stawką jest włączenie narodów starych czy młodych, europejskich czy azjatyckich, do jednego lub drugiego imperium. Dyplomacja bieżąca tak jest niepodobna do dyplomacji sprzed 1914 r., jak bomba atomowa do czerwonych spodni piechoty francuskiej.

Cały arsenał niekrwawej broni jest nieustannie w robocie: propaganda, układy handlowe, metody zastraszania, piąte kolumny itd. Przykład tego rozszerzenia dyplomacji daleko poza mrok kancelarii i światła salonów, dał nam już Hitler. Nie implikowałoby to jeszcze radykalnego zerwania z tradycją, gdyby osłabienie narodów i niepewność ich losu nie pomnażały rozgłosu i doniosłości tego planetarnego współzawodnictwa. Całą Europę, od granic Rosji po Ocean Atlantycki, można porównać do Bałkanów sprzed 1914 r.

Walka wyborcza w Berlinie, w Paryżu lub Azerbejdżanie nabiera dziś od razu znaczenia międzynarodowego. Nie żeby wszystkie stronnictwa były w równym stopniu stronnictwami cudzoziemskimi, nie żeby były pod obcymi rozkazami, jedne Moskwy, drugie Waszyngtonu albo Rzymu i przejmowały te rozkazy równie biernie, nie; ale przyczyny ich powiązań, stopień ich uległości są same w sobie mało ważne. Stronnictwo, które woli demokrację zachodnią, choćby też i nie brało dolarów albo zleceń z Waszyngtonu, będzie jednak uchodziło w oczach ludzi prosowieckich za sprzedane «imperializmowi amerykańskiemu»; i też «obiektywnie» — jakby powiedzieli komuniści — pracuje istotnie dla tegoż imperializmu.

Wszyscy politycy i wszystkie stronnictwa sympatyzują z jednym lub drugim imperializmem, tak że powodzenia ich lub niepowodzenia są wpisywane do wielkiej księgi, gdzie Stany

Zjednoczone i Związek Sowiecki notują swoje postępy lub odwroty. Wybory stanowią spektakularne epizody zimnej wojny.

Tradycyjne pojęcie pokoju oznaczało dwojakie ograniczenie dyplomacji: ograniczenie stawki konfliktów międzypaństwowych, i ograniczenie środków będących w użyciu dyplomatów z chwilą zakończenia działań wojennych. Dziś wszystko jest pod znakiem zapytania: ustroj ekonomiczny, system polityczny, zasady moralne, trwanie albo zanik pewnej klasy kierowniczej. Bez jednego strzału triumf partii komunistycznej grozi danemu krajowi gorzkim doświadczeniem klęski.

Współzawodnictwo stronnictw przybiera dziś nieodzownie znaczenie walki na śmierć i życie, pokój staje się niemożliwy.

Symbolem pokoju przed wiekiem, który Hitler nazwał wiekiem rozszerzonej strategii, była trwałość słupów granicznych. Istotne granice biegają dzisiaj po żywym ciele ongiś jednolitych narodów, rozgraniczając partię amerykańską od partii rosyjskiej.

Mapa wyborcza zlewa się z mapą strategiczną. Pokój upodobił się w swej niestałości do map wyborczych.



Pomiędzy dwoma kandydatami do hegemonii nie porozumienie, a współzawodnictwo jest zgodne z porządkiem rzeczy ludzkich, nawet gdy chodzi o imperium świata. Podobnie jak Eteokles i Polinejusz nie godzili się na podział przywilejów królewskich, ani Cezar i Antoniusz nie chcieli się zadowolić posiadaniem każdy połowy świata starożytnego — Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki nie uznają i nie będą nigdy uznawały za ostateczny jakiś wypadkowy podział na zony wpływów. Nie należy mniemać, że pretendenci dążą świadomie do hegemonii. Wystarczy, że każdy z nich podejrzewa o te zamiary drugiego, wystarczy, że obaj doznają tej samej trwogi wobec niepewnej przyszłości i dochodzą stopniowo do przekonania, że prędzej lub później, jedność, warunkująca poniżenie jednego lub drugiego, jest nieunikniona.

Wszelako nigdy jeszcze powody, które nam każą wierzyć w militarne, jeżeli już nie polityczne zjednoczenie planety nie były tak jawne i tak nagłe. Broń atomowa lub biologiczna postawi już rychło ludzkość oko w oko z dylematem: imperium powszechne, albo wygaśnięcie. Środki zniszczenia, gromadzone w przewidywaniu ataku, pomnażają nieuchronnie doznawany lęk.

To co posiada dzisiaj jeden, drugi może już też posiada, albo posiadzie jutro. Kto usiłuje zastraszyć współzawodnika, zastrasza sam siebie. Kilka państw mogło utrzymywać armie i floty, nie budząc nigdzie psychozy trwogi. Na wypadek wojny zwycięstwo nie byłoby ostateczne ani klęska śmiertelna. Jutro, o ile już nie dzisiaj, zapaśnicy będą w stanie zadać sobie takie ciosy, że świat cały, dążąc do zabezpieczenia pokoju, będzie zmuszony dążyć do monopolu potęgi. Nie trzeba będzie zabra-

niać pochodów 14-go lipca w stolicach państw niegdyś niepodległych, wystarczy, o ile *tylko jedno państwo* będzie rozporządzało bombami atomowymi, raketami i ciężkimi samolotami. Pokusa będzie tyle bardziej nieodparta, że już sama historia uprościła zagadnienie: tylko dwóch zawodników stanie do wyścigów.

Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki nie zderzają się nigdzie bezpośrednio. Ich interesy narodowe nie przeciwstawiają się sobie nigdzie w sposób brutalny i nieodwołalny. Kierownicy obu imperiów powtarzali bezustannie tę formułę, ale to miałyby sens, gdyby planeta była jeszcze podzielna albo rozgraniczenie zon ustalone. Stawka konfliktu leży pomiędzy Związkiem Sowieckim, a kontynentem amerykańskim. Stany Zjednoczone nie dążą do zdobycia Niemiec, ale żądają, by Niemcy nie były zdobyte, chcą przeszkodzić ich sowietyzacji i zwiększeniu potencjału ekonomicznego i militarnego rywala, Stany Zjednoczone będą czuwały pod bronią i będą podtrzymywały ludzi i stronnictwa, które z powołania lub zawodowo stawiają na kartę Zachodu. Interwencja jednego jest usprawiedliwiona obawą interwencji drugiego. I z punktu — banalne zdanie o braku sprzeczności interesów sowieckich i amerykańskich — dźwięczy jakby jakiś szyderyczy żart. Obyż to źródło konfliktu mogło leżeć w sprzeczności interesów narodowych, podobnej do sprzeczności francusko-niemieckich lub nawet niemiecko-rosyjskich! Te odwieczne niezgody zagrażały losowi jednej tylko dzielnicy, chodziło o opanowanie tej lub innej prowincji europejskiej, dziś przeciwieństwo dotyczy wszystkich terenów spornych, ognisk najświetniejszych cywilizacji przeszłości: Chin, Bliskiego Wschodu, Europy, krajów zbyt słabych, by móc utrzymać swoją autonomię, przestrzeni zbyt ważnych strategicznie, by władcy świata mogli tolerować ich neutralność, terenów zbyt bogatych w zasoby nadające się do zmobilizowania, by owi władcy godzili się pozostawić je ich własnej nędzy.

Podział świata, jaki sobie chętnie wyobrażamy, polegałby najpród na odtworzeniu równowagi lokalnej na różnych odcinkach i na rozgraniczeniu terenów spornych, rozgraniczeniu możliwym do przyjęcia przez obie strony *no man's landu*.

Poza tymi polityczno-wojskowymi zastrzeżeniami podział świata nie godzi się z uniwersalizmem nie tylko obu krajów, ale też spierających się systemów ideologicznych i socjalnych. Amerykanie nie łatwo wyrzekają się narzucania całej planecie swych produktów, metod i standardu życia. Nie żeby teraz potrzebowali nowych rynków zbytu. Przeciwnie, zamówienia europejskie potęgują zagrażającą im inflację. Co zaś do rezerw surowców, których kontrolę Stany Zjednoczone są zdecydowane zachować dla siebie — leżą one na Bliskim Wschodzie i nie wymagają uprzedniej ekspansji. W każdym jednak razie nie-
możność wolnej wymiany z połową świata zdaje się być w oczach kapitalisty amerykańskiego wyzwaniem, niedorzecznością i groźbą. Ponadto istnieje ryzyko, że Związek Sowiecki

przekształci swoją zonę politycznie nieprzeniknioną na zonę ekonomicznie zamkniętą, że odefnie pewnego dnia Europę Zachodnią od węgla polskiego, zboża węgierskiego i rumuńskiego. Co zaś do władców sowieckich, których myśl opanowana jest marksistowskimi schematami, nie mogą oni nie czuć się zagrożeni przez świat kapitalistyczny. Socjalizm panujący w jednym kraju uchodził zawsze za etap, marksista nie może wierzyć w trwałość tego pokojowego współżycia: kapitalizm z chwilą, kiedy dozna wstrząsu jakiegos przesilenia, rzuci się nawet gwałtem do szukania jakiegos zbytu. Więcej jeszcze, niepewny własnej przyszłości, zapragnie zgnieść reżim konkurencyjny, ten, który będzie stawiał ludzkości przed oczy obraz stałego postępu i kraju pozbawionego bezrobocia. Nie idzie tu więc tylko o starcie dwu ideologii, ale też o starcie dwu systemów, które wzajemnie poczytują się za wrogów — z których każdy przypisuje sobie misję uniwersalizmu.

Historia wyłoniła rewolucję proletariacką w narodzie, który dopiero wkraczał na drogę kapitalizmu, słabo uprzemysłowiony w porównaniu do Zachodu i liczebności własnego zaludnienia. Na odwrót tam gdzie rozwój sił wytwórczych zaszedł najdalej, klasa robotnicza ma najmniej świadomości rewolucyjnej, tak jakby ideologia marksistowska odpowiadała nie rozwojowi, ale dzieciństwu kapitalizmu. Stało się więc, że olbrzym komunizyczny jest ubogi, olbrzym zaś kapitalistyczny bogaty.

Nie należałoby lekceważyć międzynarodowych konsekwencji tego kontrastu, one bowiem skazują całą Rosję na jej odosobnienie. Ten nieznośny dla władców Kremla kontrast pomiędzy nędzą ich własnego narodu a obfitością amerykańską (a nawet resztką dobrobytu europejskiego) skazuje obywatela sowieckiego na znajomość świata zewnętrznego ograniczoną do prostaczkamiłowych, jarmarcznych obrazków (*images d'Epinal*) i niemożności wyjścia z «ojczyzny ludu pracującego». Próżne byłoby usiłowania w celu wyjaśnienia masom, że robotnik amerykański jest bogaty pomimo kapitalizmu, a robotnik rosyjski jest biedny pomimo komunizmu. Nawet gdyby podobne objaśnienie zawierało tylko część prawdy, nie działałoby na masy, które nie łatwo rozróżniają nędzę od wyzysku. Przedstawiono im ofiary kapitalistycznego systemu: robotnika i chłopca pognębionych niewolniczym trudem, bezrobociem albo nędzą. Czy masy nie utraciłyby wiary, gdyby chcieli stosować na tyle subtelne rozróżnienia: określać wyzysk częścią nadwartości spożywaną przez burżuazję? (Czy aby spożycie biurokracji sowieckiej jest mniejsze?).

Żelazna kurtyna nie jest przypadkiem sowieckiej dyplomacji, ale skutkiem sowieckiego ubóstwa, a raczej jest nieuchronnym następstwem ubóstwa, które nastąpiło z chwilą wprowadzenia przez reżim pewnej formy propagandy i pewnego rodzaju ignorancji, nieodmiennych bez daleko idących reform. Rosja biedna, zdecydowana zatajać przed swymi pracownikami korzyści osiągane przez pracowników amerykańskich lub brytyjskich,

musi wystarczać sobie sama i zamykać swoje granice. A Rosja zamknięta staje się przez to samo tajemnicza i groźna. W przeszłości Rosji, jako państwa drugorzędnego, obserwowano bez wzruszenia jej wolę oddalenia się i cofnięcia w mrok (za co po części była odpowiedzialna wrogość krajów kapitalistycznych w stosunku do rewolucji 1917 r.). Dziś Związek Sowiecki sięga do Odry i Adriatyku bezpośrednio lub za pośrednictwem swych satelitów. Oręż zyskał apokaliptyczną siłę niszczenia; tajemnica olbrzymiej Rosji nie może nie stanowić pożywki dla wielkiej trwogi ludzkości.

Niektóre zagadnienia dyplomatyczne z rzędu najważniejszych, jak np. te, które dotyczą kontroli energii atomowej, są z góry nie do rozstrzygnięcia, tak długo dopóki Związek Sowiecki pozostaje zamknięty dla ludzi i dla idei z zewnątrz.

Jakżeby władcy Kremla mogli dopuścić, aby urzędnicy międzynarodowej organizacji, którym zlecono kontrolę nad przemysłem, mogli poruszać się bez ograniczeń po terytorium Związku? Tradycyjną skłonność do tajemniczości dopełnił reżim sowiecki podejrzliwością omal patologiczną w stosunku do całego świata, podejrzaniem o złośliwe zamierzenia wszystkich, z którymi się styka: generałów, mężów stanu, inżynierów.

Obywatele sowieccy lękają się nawiązywania stosunków z cudzoziemcami. W takiej atmosferze międzynarodowa kontrola szczerze przyjęta przez jednych, swobodnie stosowana przez drugich, jest wykluczona. Toteż w braku kontroli Amerykanie będą szukali bezpieczeństwa, lub w razie konfliktu szans zwycięstwa w utrzymaniu swojej obecnej przewagi.

Istotnie, rozum świata, Opatrzność, czy też przypadek rozdzielił w przedziwny sposób karty tej partii, której stawką jest panowanie nad planetą. Jednej stronie dał potęgę morską, powietrzną i naukową, kapitalizm i bogactwo, drugiej — potęgę lądową, komunizm i ubóstwo. Nie bardziej normalnego jak ten podział — powiedzielibyśmy. Narody morskie, żeglarze i kupcy oni jedynie tworzą cywilizację dobrobytu, wówczas kiedy ludność bezgranicznych równin, żołnierze i pracownicy, podlegają surowym dyscyplinom wyrzeczenia. Przeciwnieństwo pozostaje zgodne z precedensami historii, pod warunkiem, że nie będziemy pamiętać o doktrynie, którą głosi mocarstwo kontynentalne.

Dotychczasową misją ustroju, który się podaje za spadkobiercę kapitalizmu, jest uprzemysłowienie przestrzeni eurazjatyckich. Rzekomy postkapitalizm odtwarza okrucieństwa dziecięcego kapitalizmu i, jako więzień antynomii pomiędzy ideologią a rzeczywistością, rzeka się pokoju ugruntowanego na wymianie i prawdzie.

Większość obserwatorów międzynarodowej sceny stawia dwa pytania: czy konflikt między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim jest zależny od przyczyn ideologicznych, czy od przeciwstawności potęg? Czy sowiecka dyplomacja jest kon-

tynuacją dyplomacji carskiej, dyplomacji wiecznej Rosji, czy też ma ona cechy nowego reżimu. Innymi słowy, jest-li rosyjską czy komunistyczną?

Bez trudu wykazać można ciągłość zachodzącą pomiędzy troskami carów a troskami Stalina. Każde państwo ma pewne niezmiennie linie, wykreślone na mapach geograficznych. Władcy Rosji, dziś ponownie wielkiego mocarstwa, interesują się tak samo jak ich poprzednicy Port-Arturem i Konstantynopolem. Parcie ku wolnym morzom wyraża wiekowe dążenia mas rosyjskich, których rozległe i zwarte terytoria sięgają jedynie mórz zamkniętych lub zimnych. Podobnie słuszne byłoby twierdzenie, że stawka konfliktu nie jest w pierwszym rzędzie ideologiczna. Nie dla szerzenia idei marksistowskiej lub idei kapitalistycznej rozwijają Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone swoje współzawodnictwo w skali wszechświatowej.

Już to ostatnie twierdzenie wywoła wątpliwości i zastrzeżenia. Istotnie, oba olbrzymie imperia walczą o władzę, nie o ducha, ale każdy postęp jednego lub drugiego pociąga za sobą ekspansję jego ustroju i wiary wraz z jego potęgą.

W pewnej mierze te oba terminy nie dają się już rozróżnić i stawka jest jednocześnie potęgą oraz ideą, jako, że żaden kraj nie może wejść w sferę rosyjskich wpływów nie zaznawszy «słodyczy» choćby częściowej sowietyzacji; podobnie żaden kraj nie jest w stanie ująć wpływowi sowieckiemu bez odsunięcia swojej partii komunistycznej. Ostateczne zwycięstwo Rosji nie może być pojęte bez powszechnej ekspansji komunizmu, tej zaś z kolei, nie można sobie wyobrazić inaczej — przynajmniej w epoce dzisiejszej — bez opanowania świata przez Rosję.

W swoich przyczynach, bardziej jeszcze aniżeli w swoich skutkach, konflikt wiąże się mniej z ideologią marksizmu, jak z rzeczywistością sowiecką. Rosja carska po zgnieceniu Niemców byłaby może zuchwalej żądała Konstantynopola, aniżeli Rosja Stalina, ale za carów byłoby też możliwe obliczenie ceny trwałego kompromisu.

Rosja jako Rosja miałaby rozliczne przyczyny, aby nie ulec pokusie zaborów, lub ograniczyć co najmniej swoje ambicje. Żołnierz rosyjski bił się zawsze bohatercko w obronie ziemi ojczystej, rzadko bywał skłonny do dalekich wypraw (armia Suworowa była nieliczna). Związek Sowiecki panuje już nad 200-tu z górą milionami ludzi, za 10 lat będzie ich 250. Na przestrzeni tak rozległych terytoriów, 1/6 ładu całego, rozporządza jeszcze olbrzymimi i niewykorzystanymi bogactwami. Ziemie sowieckie nadają się do wszelakiej uprawy, podziemie zawiera wszystkie nieodczowne surowce. Sowiety mają jeszcze przed sobą olbrzymie zadanie wykorzystania tych przestrzeni i uprzemysłowienia ich. Powodów rezerwy i rozważań nie brak.

Nie wiadomo jaką postawę zająłby w tych okolicznościach inny syetem, inny personel kierowniczy. Wola potęgi wciążęłaby może jakiegoś potomka Mikołaja II do szaleństw gorszych od stalinowskich, wszystkie hipotezy są prawdopodobne. Wol-

no nam jednak przypuszczać, że Rosja, kierowana wedle tradycyjnego ustroju autokratycznego czy demokratycznego byłaby normalnie skłonna do porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi, porozumienia opartego na podziale sfer wpływów.

Nawet gdyby car marzył o wszechświatowym imperium, zabezpieczyłby sobie okres spoczynku i pokoju, między kończącym się etapem, a ostatecznym uderzeniem. Władcy Kremla przez swój sposób myślenia, przez dynamizm swojej organizacji prą naprzód bez przerwy, bez końca, aż do światowego triumfu albo całkowitego rozbitcia.

Od samego zarania dążyli bolszewicy do monopolu władzy. Zdobyli ją i utrzymują w Rosji: od 30 lat niszczą bez litości najsłabsze nawet przeżytki dawnych klas panujących. Wewnątrz tego niezmierzonego kraju nie dopuścili do sformowania się jakiegokolwiek ośrodka siły, który by się mógł w najmniejszym stopniu przeciwstawić decyzjom władców. Zaledwo jakaś organizacja cywilna lub wojskowa dochodziła do pewnej autonomii, była natychmiast gilotynowana i włączana do szeregu. Zwycięscy generałowie zostali rozproszeni i odsunięci, Stalina ogłoszono marszałkiem.

Ale ta władza, jaka by nie była potężna, zdaje się w oczach tych, co ją dzierżą, wahać, tak długo póki poza granicami ZSRR istnieją siły niezależne. Tak na terenie międzynarodowym jak i na polu wewnętrznym, kto nie jest ze Związkiem Sowieckim jest przeciwko niemu, kto nie przyjmuje praw Kremla jest wrogiem proletariatu. Stalin i jego ekipa pozostali na tyle marksistami, że nie poddają w wątpliwość ani zasadniczej wrogości, ani nieodwołalnego kryzysu świata kapitalistycznego.

Czasz podziału nie są poświęcone pokojowi, ale wojnie w innej formie.

Partie bolszewickie istniały od zawsze i nie przestały być organizacjami wojny cywilnej. Nawet kiedy występują legalnie, kiedy idą na rozgrywkę wyborczą i parlamentarną, są zawsze gotowe przejść do konspiracji i podjąć na nowo robotę podkopania. Dołączenie milionów Francuzów do stalinizmu nie osłabia ani trochę zależności sztabu głównego Partii od rządu sowieckiego. Z międzynarodówką lub bez niej, z kominformem lub bez niego, partie komunistyczne stanowią stałą konspirację, przeznaczoną dla torowania drogi imperializmowi rosyjsko-sowieckiemu.

Obiektywy nieograniczone i nieustająca wojna — oto dwie cechy określające imperializm Moskwy jako istotnie sowiecki, nie rosyjski. Nic nie zapowiada odprężenia, chyba jakiś głęboki przewrót reżimu. Póki naród rosyjski będzie trwał w więzieniu kłamstwa i więzach NKWD, póki będzie znoślił przymusy i wyrzeczenia obłożonej załogi, póki Stalin i jego ekipa będą usprawiedliwiali dyktaturę groźbą zewnętrzną i mnożyli tę groźbę działalnością swoich piątych kolumn — zimna wojna będzie ulegała kolejnym przemianom, ale nie wyda nadziei pokoju.

Klasa kierownicza Stanów Zjednoczonych nie życzyła sobie

hegemonii, która jej przypadła w udziale od chwili, gdy potencjał przemysłowy amerykańskiej Republiki przekształcił się w siłę militarną. Do dziś dnia jeszcze opinia publiczna, która coś znaczy w demokracji, odczuwa swoją potęgę bardziej jako ciężar niż dobrodziejstwo. Nazywają *commitment* z odcieniem żalu to, co imperialiści nazwaliby zdobyczą. Dyplomacja sowiecka wywołała przez reakcję wolę do *containment*, wysiłek do wstrzymania ekspansji współzawodnika, nie wywołała zaś woli panowania, chyba, że tym terminem określimy wysiłek, skierowany dla zdobycia sfer otwartych do wolnej wymiany.

Wpływ amerykański w większości wypadków nie wyraża się przez radykalne wyłączenie innych wpływów. Stronnictwa opozycyjne nie są likwidowane, partia amerykańska nie zakłada ani państwa policyjnego ani nie stwarza monopolu władzy. Oczywiście, o ile partia rosyjska ucieka się do gwałtów, wielorakość stronnictw i gwarancje konstytucyjne, znikają także niekiedy z krajów «protegowanych» przez Stany Zjednoczone. Ale mamy tu do czynienia z zarządzeniami okolicznościowymi, nie ze stosowaniem doktryny. To co najwięcej trwoży ludzkość, to to, że w zonie sowieckiej ewolucja jest nieodwracalna. Z chwilą zmontowania aparatu sowieckiego, machina kłamstwa i policja polityczna działają. Nic prócz wojny nie wyprowadzi narodów na światło wolności. Poza obszarami ujętymi ze względów bezpieczeństwa, strategii lub ekonomii kontrolą Stanów, Amerykanie nie utrzymują ani sekty ani żadnej konspiracji na swoim żołdzie. Pragną zbytu na swoje samochody, filmy, pragną rozszerzenia zasięgu swoich audycji radiowych i swoich agencji. Wspierają swymi radami, niekiedy też pieniędzmi, kraje i partie, które się opierają włączeniu do szeregu. Trzeba by mieć nieco stronnictwą wyobraźnię, żeby upatrywać w tych przezoranych usiłowaniach odpowiednika działalności partii komunistycznych. Można by powiedzieć, że te ostatnie stanowią broń zbyt skuteczną, aby Związek Sowiecki zamierzał się jej wyrzec. Można by powiedzieć, że rząd waszyngtoński chciałby mieć w rękach takie narzędzie, że jest rozbrojony na tym gruncie nie przez swój pacyfizm, ale przez swoją nieporadność. Ograniczymy się do stwierdzenia, że tu także agresywność nie jest równa po obu stronach barykady.

Ani Stany ani Sowiety nie są odpowiedzialne za sprzeczności zachodzące pomiędzy ich trybem życia i myśli, pomiędzy bogactwem i ubóstwem. Pod tym kątem widzenia, w perspektywie historycznej, zderzenie należałoby przypisać nie woli tej lub innej strony, ale sile przekraczającej zamierzenia jednostek i wyobrażającej pewien rodzaj bezosobowego fatalizmu. Z tego nie wynika, że aby sądzić sprawiedliwie ludzi i narody, należałoby obciążać ich równą odpowiedzialnością, winiąc jedynie los. Nieograniczona wola potęgi, zniewolenie krajów satelickich, przenikanie wszędzie i nieustanna agitacja w zonie zastrzeżonej współzawodnikowi milczącym układem — oto odpowiedzialność obciążająca Sowiety.

Faktem jest, że rywalizacja sowiecko-amerykańska powstała po upadku Niemiec i że dążenie władców Kremla do komunizmu, czyli do panowania nad światem nie może być rozgrzeszone.

Brak pokoju nie jest wojną, totalistyczna dyplomacja, zanik częściowej równowagi, tendencja ludzkości do powszechnego imperium, nawet niedorzeczne poćwiartowanie Niemiec i Europy, wykluczają pokój tradycyjny, ale nie zapowiadają już jutro zdruzgotania miast bombami atomowymi. Pokój jest niemożliwy, ale wojna jest na razie nieprawdopodobna.

Wojna, którą przewidujemy, nie wybuchła przez pomyłkę albo z przypadku. Przed 1914 r. dyplomacja zachowała dobre obyczaje; brak taktu, telegram Wilhelma II albo zjawienie się kanonierki niemieckiej w porcie Agadiru wzburzały kancelarie i wypełniały pierwsze kolumny dzienników. Nie sądzę, aby tego rodzaju wypadki zachowały podobną siłę wybuchową. Zamordowanie jakiegoś następcy tronu poszłoby po kilku dniach w niepamięć. «Czystka» w demokracjach wschodnich stała się obyczajem przyjętym przez opinie Zachodu z oburzeniem o natężeniu zmiennym. Hitlerowski styl uragań i faktów dokonanych został przyjęty przez Stalina, Tito i inne królewstwa bałkańskie. Ale to nie wystarczy, aby dane zdarzenie było ważne. Ważnym stałoby się co prawda zdarzenie spowodowane przez jedną ze stron bez dokładnej wiadomości znaczenia, które by mu przydała druga strona. Przypuśćmy np., że armia Tito wkroczyłaby pewnego dnia na terytorium Wolnego Triestu i że doszłoby do starcia z wojskiem amerykańskim. Moskwa i Belgrad uznałyby, że ten «incydent» stwarza fakt dokonany, nie pociągający konsekwencji planetarnych. Rząd amerykański mógłby nie pogodzić się z faktem dokonany i dać napastnikowi brutalną odpawę. Taka ewentualność nie jest nie do pomyślenia, ale zdaje mi się wysoce nieprawdopodobna, na tyle jasno dały Stany Zjednoczone do zrozumienia i na tyle jasno rozumiały Sowiety, że każda inicjatywa militarna wykraczająca poza obecną linię demarkacyjną stanowiłaby *casus belli*.

Zesłizgnięcie się «zimnej wojny» w wojnę krwawą implikowałoby z jednej lub drugiej strony *zdecydowaną* wolę wojny; ta wola jeszcze nie zaistniała ani w Waszyngtonie ani w Moskwie. Wszystko zdaje się świadczyć za tym, że koła kierownicze Waszyngtonu (poza drobną grupą) nie przewidują tego, co niektórzy chętnie nazywają wojną prewencyjną. Dodajmy, że określenie to jest grubo nieścisłe — jest bardzo wątpliwe, aby Stany Zjednoczone były zdolne pokonać Związek Sowiecki omal bez wystrzału — tak jak Francja i Polska byłyby mogły zwyciężyć Hitlera w 1933 r., a nawet jeszcze w 1936. Stany nie zamierzają przyspieszyć wybuchu wojny, uznanej za nieuniknioną, mimo że czas pracuje przeciwko nim.

Kłęski przyszłej wojny będą olbrzymie i są pewne. Kłęski wojny odwleczonej mogą być jeszcze gorsze, ale są przynajmniej niepewne. Ani dyktatorzy, ani ustroje nie są wieczne. Czemu nie brać pod uwagę szczęśliwych wypadków, a nawet ewolucji nieuniknionej w terminie krótszym lub dłuższym, ewolucji w 200-milionowym narodzie, młodym, prężnym, który nie będzie chciał wiecznie znosić potu, krwi i łez?

Odpowiedzialny mąż stanu nie ufa na tyle własnym przewidywaniom, aby przyspieszyć wielkie nieszczeście w celu zapobieżenia innemu, być może jeszcze większemu, ale w nieokreślonym terminie.

Byłoby zresztą niedorzecznością, badając przyszłość, sądzić, że zależy ona wyłącznie od ludzi, ich myśli i ich żądz. Natura systemu politycznego składa się z czegoś więcej aniżeli z upodobań tej lub innej osobistości; ustrój dyktatorski, taki jak reżim Hitlera lub Stalina, korzysta z wolności taktycznej niepomiernie wyższej od ustrojów demokratycznych. Czechosłowacja i los Finlandii bywa rozstrzygnięty przed podjęciem bardziej rozległych zamierzeń. Mobilizuje się i demobilizuje: różnica pomiędzy pokojem a wojną nie jest tak wielka, aby nie móc przejść z łatwością od jednej do drugiej. Tryb życia demokracji, jej władz państwowych i obywateli jest do tego stopnia zakłócony przez mobilizację, że tego rodzaju zarządzenia bywają pobierane rzadko przed pierwszym wystrzałem armatnim i, raz powzięte, jeszcze rzadziej bywają cofane.

Demokracje prowadzą wojny aż do zniszczenia przeciwnika, bo równie trudno je przerywają jak wszczynają. Opinia amerykańska jest pokojowa, nie jej nie zagraża w najbliższej przyszłości. Trzeba było agresji japońskiej, aby przejść od neutralności do aktywnego współudziału. Nikt nie wie ile jeszcze czasu wymagałoby to przejście, gdyby nie bomby na Pearl Harbour. Należy wątpić, aby władcy Kremla dali przywódcom amerykańskim podobną okazję zjednoczenia całego narodu amerykańskiego, lub żeby ją dostarczyli przed dniem, kiedy sami postanowią zerwać z pokojem.

Demokracje anglo-saskie zdemobilizowały swoje armie oraz większą część floty i lotnictwa. Z trudnością zdołałyby je ponownie postawić na nogi — póki trwa pokój. Przewaga, którą przypisują Stanom w początkach konfliktu polegałaby więc wyłącznie na bombie atomowej. O ile przypiszemy tej ostatniej rozstrzygającą skuteczność, o ile przypuścimy, że zapas bomb atomowych, którymi rozporządza armia amerykańska, wystarczy, aby zmusić Sowiety do kapitulacji, wtedy — myśląc realistycznie — inicjatywa narzucałaby się sama. Ale ta hipoteza nie zdaje się być brana pod uwagę przez przywódców amerykańskich. Zniszczenia spowodowane w kilku wielkich centrach nie rozstrzygnęłyby sprawy. Czerwona Armia zajęłaby rychło Europę, biorąc ją w zakład, i wniosłaby jak najdalej poza granicami Związku szaniec swej olbrzymiej twierdzy. Nim by Stany Zjednoczone zorganizowały swoje armie, dokądże by sięgnęły

zagony sowieckich dywizji: w Azji, na Bliskim Wschodzie, w Europie? Czy nie zdobyłyby, dzięki swojej początkowej przewadze na lądzie, tylu terytoriów, ośrodków przemysłowych, surowców i rąk roboczych, że stosunek sił zmieniłby się na korzyść Związku, że w każdym razie, Imperium kontynentalne byłoby albo nie do zdobycia, albo trudniejsze jeszcze do wzięcia szturmem aniżeli Imperium Hitlera? Wynalazek i wykorzystanie dla celów wojennych źródła dotychczas nieznanej i nieużytej energii zapoczątkowuje normalnie nowy okres sztuki wojennej i jednocześnie nowy okres całej cywilizacji.

Ale pomiędzy pierwszą próbą i ostatecznym wykończeniem nowego oręża czas upływa. Pojawienie się prochu nie zdeklasowało od razu luków i oszczepów ani nie zważyło murów obronnych zamków. Dwa okresy wojenne mogą współistnieć w ciągu dziesiątków, a nawet setek lat i zwycięstwo w tym czasie przejściowym nie koniecznie przypada temu, który miał inicjatywę wynalazku. Przypuśćmy, że rytm wypadków jest dziś przyspieszony i postępy naukowe pozwalają dokonać w kilka lat dzieła, którego spełnienie trwałoby ongiś cały wiek. Niemniej jesteśmy jeszcze w okresie pośrednim: wszyscy uznają przeraźliwą właściwość bomby atomowej, ale nikt nie wie czy już jest, lub kiedy będzie, bronią absolutną, tą, która sama jedna zmusi nieprzyjaciela do kapitulacji.

Tak się tłumaczy aktualna równowaga, której znikomość nie wyklucza trwania. Amerykańskie zapasy bomb atomowych wystarczają, aby zbudzić trwogę i przezorność wodzów sowieckich, ale nie wystarczają, by upewnić wodzów Stanów Zjednoczonych, że są panami gry i że mogą narzucać swoją wolę, jaka by ona nie była. Współzawodnicy wymieniają na razie wyzwania, ale każdy na innym gruncie. Nie porównują odnośnych cyfr swoich dywizji i lotniczych eskadr, ale przeciwstawiają dywizje bombom atomowym, spadochroniarzy — flotom, zwarte siły lądowe — punktom oporu, rozproszonym po kontynentach.

Tradycyjny konflikt pomiędzy mocarstwem kontynentalnym a mocarstwem morskim, rozszerzony na miarę całej planety i współczesnej techniki jest zjawiskiem dotychczas niespotykanym. Początkowe sukcesy jednego lub drugiego obozu są nieomal z góry wypisane na mapach operacji. Ale poza sowieckim zalewem ogarniającym Europę i bombami amerykańskimi, kruszącymi miasta sowieckie, nikt nie może przeniknąć idących czasów. Ta niepewność sprzyja wojennemu pokojowi. Nie gra się w kości o losy ludzkości.

Z upoważnienia autora tłum.

Maria CZAPSKA.

Corona turrita

(Z DZIENNIKA PODRÓŻY DO WŁOCH)

II.

18 grudnia.

Zasiadać w akademiach, zbierać się w salonach i na bankietach literackich, dyskutować stare i nowe teksty, przerzucać się prawdziwymi i fałszywymi cytatami, wszystko to jest też życiem literatury. Bez niego utwory literackie padałyby w próżnię bez echa. Ilu bankietów było potrzeba, aby Cyцерon przechował się do naszych czasów i — w Collection Budé czy w Loeb's Classical Library — znajdował wciąż nowych czytelników? To życie bierne sztuki, niosące poprzez wieki sławę rzeźb, obrazów, dramatów, wierszy i prozy jest ważną częścią składową naszej cywilizacji, jej pamięcią i ciągłością. Kiedy go nie stanie, najslawniejsze teksty staną się martwą literą, znaną tylko papyrologom.

Aby Olimp twórców nie usechł w podręcznikach mitologii, musi istnieć też kondygnacja niższa z zastępem kapłanów pałaców kadzidlą, uważnie rozpatrujących trzewia ofiar i szepczących sobie na ucho ostatnie anegdoty z życia Zeusa i Hery.

Rozwój i specjalizacja drukarstwa przyniosły ze sobą powstanie jeszcze niższej kondygnacji, w której uczestnicy nie wypowiadają sądów ani nie bankietują sami a jedynie czytają w gazetach opisy posiedzeń i bankietów, podpatrzonych przez dziurkę od klucza.

Oblizywanie się przez szczelinę w parkanie na życie akademii i salonów, na bankietnictwo i obiadożerstwo literackie jest zajęciem zasadniczo postnym i niewdzięcznym, podobnym do platonicznego czytania Cwierciakiewiczowej. A jednak to właśnie oblizywanie się jest główną przyjemnością ofiarowywaną czytelnikom tygodników literackich. Nie wiem czy ci, którzy porzucili bilard i karty dla czytania po kawiarniach kronik literackich, zyskali na tej zamianie.

Zysk na zamianie jest tym bardziej niepewny, że i życie średniej kondygnacji literackiej stało się dla różnych przyczyn mało rozrywkowe. Niby na kadłubie zatopionego okrętu porośłego krustą skorupiaków i alg, na powierzchni literatury na-

rosła gruba skorupa akademii, urzędów, organizacji, klubów i zrzeszeń o charakterze oficjalnym, wprzężonych w mechanizm nowożytnego państwa i jego moralność obłożonego miasta, od której każdy, zdaje się, chciałby wziąć czasowy urlop i uciec chociażby w dziedzinę fikcji literackiej. Atmosfera średniej kondygnacji jest dziś duszna i niegościnna. Muchy nie wytrzymują jej wcale, a i ludzie w niej błędną i wędzną.

Refleksje te budzi we mnie *Fiera Letteraria*, której ostatnie numery leżą przede mną na stole. Czy wydawanie dobrego tygodnika literackiego jest dziś w hemisferze zachodniej wogóle możliwe? *Fiera* jest tygodnikiem w rodzaju *Nouvelles Littéraires*. Jej redaktor, B. G. Angioletti, jest człowiekiem wielkiej i wszechstronnej kultury. Pisują tam także wybitni Francuzi, Julien Benda, Léon-Paul Fargue etc. Bieżące zjawiska literackie są obszernie omawiane, recenzje staranne. Mimo te zalety, czytanie *Fieri* wymaga więcej cierpliwości niż lektura Cycerona. Są to wciąż tylko różne aspekty tej samej martwej powierzchni księżycy.

Wydaje mi się, że pismo tego rodzaju może się utrzymać tylko w oparciu o firmy wydawnicze, dla których recenzja jest najskuteczniejszą formą reklamy książki. Publiczność czytająca; takiego pisma nie podtrzyma, i niechęć jej będzie nawet dowodem jej instynktu samozachowawczego.

Czy pod martwicą oficjalną i zwałami produkcji przemysłu papierniczo-drukarskiego istnieje jeszcze żywa literatura?

Po tych refleksjach spotykam się z młodymi literatami, z których jeden pisywał w *Fierze*. Podzielają moje uwagi krytyczne, mówią, że sam Angioletti w tych właśnie brakach i trudnościach upatrywał przyczynę niepowodzenia *Fieri* u czytelników. Aby stworzyć coś innego, trzeba jednak wystartować na nowym miejscu z niezależnymi środkami, kiedy minie obecny kryzys i jego *porca miseria*.

Z rozmowy widzę, że literaci włoscy nie mają w sobie nic z samorodnych geniuszów amerykańskich i słowiańskich, piszących w miarę talentu i nie oglądających się za siebie. Carlo Levi zdaje się być wyjątkiem. Znają doskonale swych klasyków, starych i nowych, i stąd czerpią zrównoważony sąd krytyczny i poczucie proporcji. Pochowali bez żalu swą akademię z czasów faszystowskich; mówią ze śmiechem o UNESCO i Pen Clubach.

Zrazu jestem nieco przestraszony ich sceptycyzmem w ocenie najbliższych perspektyw literatury włoskiej. Mówią np., że ich zdaniem faszyzm był okresem najbardziej sprzyjającym literaturze. Wielu uciekało wówczas od rzeczywistości w świat fikcji. Zarówno pisanie jak czytanie było sprawą serio. Cenzura zmuszała do wyszukanej stylizacji i stwarzała wiarę w tajemniczą i groźną — nawet dla armii i floty — potęgę słowa. W tej atmosferze powstały takie arcydzieła jak *Sorelle Materassi*. Dziś — powiadają — swobodne pisanie z dnia na dzień na te-

maty aktualne posiada tak wielki urok nowości, że niewielu tylko potrafi mu się oprzeć.

Rzym posiada istotnie ogromną liczbę dzienników i periodyków, których codzienna konfekcja musi zatrudniać tysiące piszących.

21 grudnia.

Pod miastem dzisiejszym — na całej przestrzeni otoczonej aurelianowskim murem — w głębokości kilku metrów śpi pod ziemią Rzym starożytny. W różnych miejscach odkopano jego mniejsze lub większe fragmenty. Wśród eleganckich ulic nowych lub wśród rozgwaru dzielnic handlowych zatrzymują przechodnia kamienne balustrady. Przechylając się przez nie widzi otoczony mурowanym ocembrowaniem jakiś wycinek dawnego Rzymu, leżący o 5—10 metrów niżej poziomu dzisiejszej ulicy. Czasami jest to tylko jeden budynek, czasami — jak na Piazza Argentina — mała dzielnica z paru wąskimi uliczkami, domami mieszkalnymi, świątyniami, śpiąca wiecznym snem wśród gwaru i ruchu dzisiejszego miasta.

Rzym mojej młodości odsłaniał tylko niewielką część dawnego miasta, leżącą między Kapitołem i Palatynem, dokoła forum i ruin z czasów republiki. W okresie faszyzmu odkopano znaczną część dawnego centrum miasta, pokrytą ruinami z czasów cesarstwa. W tym celu zburzono całą dzielnicę. Ta część Rzymu jest dla mnie pełna niespodzianek. Kolumna Trajana, którą pamiętam na niewielkim, trójkątnym placu, otoczoną wysokimi domami, wznosi się dziś wśród pustej przestrzeni, przeciętej przez *via del Impero*. Ulica ta biegnie na poziomie dzisiejszego miasta, o kilka metrów wyżej od odkopanych ostatnio placów i ulic starego miasta.

Nawet pobieżne zwiedzenie Rzymu starożytnego wymaga dziś kilku tygodni czasu i niejakiego przygotowania. Dzięki uprzejmości pewnego uczonego archeologa, w ciągu kilku dni mam możliwość obejrzenia kilku głównych partii ruin. Z przechadzek archeologicznych odnoszę wrażenie, że odkrycie tylu nowych zabytków spowoduje znaczne przesunięcie się w czasie naszych pojęć i wiadomości o Rzymie starożytnym. W czasach moich studiów uniwersyteckich, kurs historii i literatury rzymskiej kończył się z okresem Flawiuszów. Nawet *Grandezza e decadenza di Roma* Ferrera kończy się w początkach cesarstwa. Rządcy profesorowie wychodzili poza ten uświęcony tradycją krąg, zwany «złotym wiekiem». Kto chciał wiedzieć coś więcej, musiał wracać do Gibbona, szperać w rocznikach *Hermesa* i *Rheinisches Museum* lub nawet zaglądać do wiecznie dziewiczych tomów patrologii łacińskiej.

Patrząc dziś na kubaturę i irracjonalną ambicję budowli wzniesionych w czasach Septimiusa Severa a nawet Diokletiana, widzimy, że okres największej zamożności, potęgi i zdolności do pracy Rzymian nie skończył się na pierwszym wieku

cesarstwa, i że musimy go przedłużyć jeszcze o dwa stulecia.

Między znanymi dawniej i odkopanymi świeżo zabytkami jest jeszcze znaczna różnica. Na widok ruin pod Kapitołem, każdemu przychodzi na myśl znane z lektury szkolnej teksty Cyserona, Sallustiusa, Horacego. Cienie znanych postaci zaludniają wielebne mury. Z ruin cesarstwa wieje jeszcze pustką. Mistrz drastycznego szczegółu, Suetonius, nie należał do szkolnej lektury. Historycy nie zaludnili dotąd nowo odkopanych ruin rekonstrukcją wypełniających je niegdyś dni sławy i tragicznych konfliktów. Czy i kiedy wyrosłe w antyhistorycyzmie naszych czasów pokolenia dokonają tej rekonstrukcji?

Z natłoku wrażeń archeologicznych na pierwsze miejsce wysuwa się w mej pamięci pałac Flawiuszów, zajmujący środek wznieszenia pałacowego, z szerokim widokiem w różnych kierunkach. Położenie i rozmiar robią zeń jeden z najambitniejszych budynków świata. Pałac ten — jak mówi o nim Statius — sam dziwi się swej bliskości do Jowisza gromowładcy i obawia się, aby nie przekroczył proporcji nieba, tak wielka jest masa jego murów i zamknięty w niej bezmiar przestrzeni:

Tanta patet moles effusaeque impetus aulae.

Dziś z pałacu pozostało tylko około jednego hektara posadzki otoczonej resztkami muru i podstawami kolumn oraz ruiny schodzącego do Circus Maximus tarasu. Plan, pomysł i rozmiar budynku są jednak wciąż przytomne.

Wzgórze Palatynu nosi na sobie kilka warstw szaleństwa budowlanego. Pałac Flawiuszów stoi na neronowskim *domus aurea*. Gruzy tego ostatniego wypełniają fundamenty pałacu Domitianą. Odkopane fragmenty z *domus aurea* zawierają w związku styl budownictwa renesansowego i barokowego.

Pierwszy raz widzę także *domus Liviae*, gdzie spędził swe późniejsze lata jej mąż, Augustus. Zapewne w tym skromnym i ciasnym domu wypowiedział był zachowane u Suetoniusza, tnące jak nóż słowa o komedii swego życia. Wśród zdobiących ściany fresków uderza biegnący żółtą wstęgą pejzaż, który przedstawia wschodnią pustynię z namiotami i wielbłądami. Jego dekoracyjne ujęcie, rytm i rozrzut postaci nastroczają wiele refleksji.

Spśród nowo odkopanych budynków najlepiej zdaje się zachowany czteropiętrowy gmach — tzw. *Mercati Trajano* — w którym w początku drugiego wieku znajdował się urząd centralizujący zakupy i rozdział żywności. Przy burzeniu domów nowszego pochodzenia w pobliżu kolumny Trajana, spod tynku i nadbudówek wynurzyły się imponujące kształty budynku będącego dziełem jednego z najświetniejszych architektów starożytności. Wypełniające go niezliczone biura dają pojęcie o rozmiarach ówczesnych procesów wymiany wewnątrz cesarstwa. W dwa wieki później wymiana towarów skurczyła się ogromnie i wszystkie prowincje zaczęły przechodzić do gospodarki zam-

kniętej. Świat dzisiejszy przeżywa bardzo podobny, posuwający się szybkimi skokami, proces kurczenia się wymiany i wzrostu gospodarki autarkicznej. Mamy okazję oglądania na własne oczy mechanizmu zjawisk, które skruszyły najudatniejszą — jak dotąd — próbę organizacji politycznej świata.

23 grudnia.

Muzea tutejsze zawierają najbogatsze zapewne zbiory rzymskiej rzeźby portretowej. Interesują mnie zwłaszcza portrety cesarzy i ich żon. Większość ich znam z poprzedniej bytności, z odlewów i fotografii. Łączy mnie z nimi nie tylko dawna znajomość, ale także jeden z moich najstarszych projektów literackich, do którego chciałbym teraz powrócić. Nowe wędrówki po muzeum kapitolńskim, watykańskim i innych przynoszą mi same rozczarowania.

Marmurowe portrety cesarzy posiadają jedyny w swoim rodzaju komentarz w postaci równoległej serii portretów literackich, zaczynającej się od Plutarcha i biegnącej przez Suetoniusa do żywotów późnego cesarstwa, zawartych w *Historia Augusta*. Plutarch był wielkim artystą i dzieła jego były ogromnie czytane za wszystkich czasów. Żaden z następnych biografów nie dorównywał mu talentem; większość ich pozostała znana tylko filologom. Biografia rzymska przeszła bolesną, tragiczną ewolucję. Ostatnie jej twory zdają się kalekie i ubogie. Czemu odstąpiono tak szybko od sławnych wzorów hellenistycznych, naśladowanych z powodzeniem w wiekach późniejszych?

Przyczyna tego leży, być może, w ewolucji pojęć o człowieku, jego roli i miejscu wśród innych zjawisk. W biografiach Plutarcha życie bije falą barwną i szeroką. Bohaterowie jego oddychają swobodnie zanim zbliżą się do fatalnej cieśniny. U Suetoniusa ramy są już znacznie węższe. Jego postacie zdają się śpieszyć do końca zapowiedzianego w horoskopach. W obliczu nieuniknionego losu, z wolności została im już tylko możliwość wypowiedzenia kilku hardych słów, zarysowania jakiegoś lekceważącego gestu. Im dalej, tym żywoty cesarzy stają się krótsze i uboższe w alternatywy. Wszyscy niemal giną w ten sam, z góry wiadomy sposób. Jest ich coraz więcej, po kilku lub kilkunastu naraz. Żaden nie ma już czasu na dopełnienie — jak bohaterowie tragedii — swego losu, zawartego w jego indywidualnej naturze. Aby ocalić jednego z nich od nicości i niepamięci, biograf musi streścić się do jakiegoś rysu lub epizodu, najskromniejszego chociażby, lecz niepowtarzalnego. Przez parę wieków Rzymianie żyli pod wrażeniem nadchodzącego zmierzchu, w którym człowiek zdaje się być tylko własnym cieniem. Nawet język ich ostatnich poetów utracił w półmroku swe barwy i stał się blady jak stoma.

Seria portretów rzeźbionych wykazuje też wielkie zmiany. Od harmonijnych kompozycji oddających raczej postawę lub typ, przechodzi do poszukiwania rysów bardziej indywidualnych.

Świadomość bliskiego zmięzchu kładzie swój cień na marmurowe popiersia. Ostatni cesarze patrzą szeroko otwartymi oczami, jak gdyby nadchodzący koniec leżał już w zasięgu ich wzroku.

Ewolucja ta jest jednak mniej jasna niż w serii pisanej. Nie znamy dobrze przeznaczenia poszczególnych rzeźb. Osoba portretowanych cesarzy rozdwaja się na ich naturę ludzką i naturę boską, trudniej, uchwytną dla plastyka. Obok portretów realistycznych pojawiają się portrety imaginacyjne.

W latach ostatniej wojny miałem sposobność przyglądania się często imaginacyjnemu portretowi Julii Domny, wykopanemu wówczas w pewnej podgórskiej osadzie. Julia Domna była córką kapłana Baala z syryjskiej Emesy i żoną jednego z najślawniejszych cesarzy późnego imperium, Septimiusa Severa, Afrykańczyka. Cesarzowa wywarła wielki wpływ na życie religijne i umysłowe swego czasu; w jej otoczeniu Philostrates miał napisać *Żywot Apoloniusa z Tyany*. W muzeach przechowały się jej liczne portrety. Jako cesarzowa, Julia Domna przybrała trzy imiona: Pia, Felix, Augusta. Prowincjonalny autor wykopanej w podgórskiej osadzie głowy miał przed sobą jako model te właśnie trzy imponujące imiona, które starał się oblec w formę plastyczną. W tego rodzaju dziełach patrzącego uderza najwięcej drogą, jaką musiał odbyć artysta, zanim — wychodząc z tak odległego punktu — znalazł konkretną, zwartą, nieruchomą formę dla swej przygody.

O ile wiem, nikt dotąd nie próbował porównać ze sobą obu serii portretowych, aby z ich wzajemnych uzupełnień odtworzyć historię wewnętrzną rzymskiego indywidualizmu i jego zmagania z narastającą niwelacją i zmrokiem. Historia ta leży ukryta w kilkudziesięciu zamkniętych w sobie popiersiach i kilkuset stronicach mało znanych tekstów. Aktualność jej dziś jest oczywista. Od pierwszych dekadentów, trzecie już pokolenie Europejczyków szuka recepty dla sztuki wielkiej katastrofy, wielkiego zmięzchu.

Obecne wędrowki po muzeach uświadamiają mi trudność tego przedsięwzięcia. Głównym szkopułem jest niepewna identyfikacja portretów rzeźbionych. Nieliczne tylko noszą napisy, często wyryte znacznie później przez pierwszych znalców lub nabywców. W innych popiersiach rozpoznawano już kolejno różne osoby. W ciągu ostatnich kilkunastu lat krytyka sceptyczna podważyła, zdaje się, większą część uprzednich identyfikacji. Popiersia, które znałem dawniej z nazwiska, uległy zdeklasowaniu i stają na korytarzach w tłumie nierozpoznanych. Mój temat wymagałby więc już na wstępie krytycznego przejrzenia wszystkich dotychczasowych prób rozpoznania zachowanych portretów. Zajęłoby to kilka miesięcy pracy, wiodącej prawdopodobnie do niejasnych i wątpliwych wyników.

24 grudnia.

O trzydzieści kilometrów na południe od Rzymu wznosi się grupa wulkanicznych gór, w których podczas wojny Niemcy stawiali ostatni opór przed opuszczeniem Rzymu i wycofaniem się w Apeniny. U stóp Monte Cavo, w dwóch kraterach wygasłego wulkanu leżą tam dwa błękitne jeziora: Albano i Nemi.

Dziś z rana, wilią Bożego Narodzenia, wyjeżdżam tam z dwoma przyjaciółmi. Tramwaj dowozi nas do wsi Albano, skąd podnosimy się pieszo na brzeg krateru. Po drodze mijamy kilka budynków uszkodzonych przez artylerię. Pod szarym niebem wieczna zieleń błyszczącego listowia drzew wydaje się jeszcze głębsza niż w parkach rzymskich.

Końierz krateru porosły jest krzakami słodkich kasztanów i karłowatą dębina. Pod rdzawymi plamami dębów leżą zielone smugi pastwisk. O dwieście metrów niżej widać jezioro Albano z leżącym na brzegu Castel Gandolfo, letnią rezydencją papieską.

Idąc w prawo brzegiem krateru wchodzimy lekko wznoszącą się ścieżką na Monte Gentile, dzielący oba jeziora. Wszędzie ta sama karłowata dębina i zielone plamy trawników. Pustka jest tu zupełna. Po drodze spotykamy tylko małe stado owiec prowadzone przez starego pasterza i z dala widzimy paru drwali, zajętych piłowaniem dębowego kłosa na sposób prymitywny, przywieziony niegdyś przez robotników włoskich w Karpaty Wschodnie. Dzień jest szary i ciepły. W jednym miejscu spotykamy kwitnący krzak żarnowca.

W wyrzeźbionych przez wodę parowach widać alternujące nawarstwienia ziemi i wulkanicznego tufu, szarego lub czerwonego. W okresach snu, stoki wulkanu pokrywały się roślinnością i warstwą ziemi urodzajnej, którą następny okres czynny przysypywał znów kilkumetrową warstwą popiołu. Zapadając w nowe tysiąclecia snu, wulkan pokrywał się na nowo humusem i zielenią.

Na grzbiecie Monte Generoso zatrzymujemy się na gładko splantowanym pagórku porośłym grupą stuletnich, przeważnie uszkodzonych przez pioruny i na pół spróchniałych dębów. Żałuję, że nie pamiętam dobrze rozdziału z *The golden Bough* Frazera, poświęconego bogatej historii religijnej jeziora Nemi.

Idąc przez las na przełaj, schodzimy na brzeg drugiego krateru, na dnie którego leży jezioro Nemi. Obchodząc w ciągu kilku godzin cały końierz krateru dostajemy się o zmroku znów nad jezioro Albano, na drogę prowadzącą do Rocca di Papa. Po drodze przechodzimy przez dwie wsie, które wydają się mało zaludnione. Z zaniedbanych murów można by odczytać całe wieki historii. Pod piętrami i nadbudówkami, w niższej części budynków widnieją płaskie cegły z bardzo odległej przeszłości. W jednej z tych wsi zapewne Berlioz słyszał grających na fujarkach *pifferari*, których wzmiankuje w swych wspomnieniach z pobytu w Rzymie.

Rocca di Papa, jak wiele innych osad górskich we Włoszech, jest zbudowana na pochyłym zboczach, wzdłuż pnącej się wprost w górę ulicy. Na rynku stoją grupy ludzi w świątecznym nastroju. Niektórzy rzucają nam w przejściu: «*auguri per il Natale!*», życzenia wychodzące z otchłani wieków, bo *il Natale*, zanim stał się rocznicą narodzin Chrystusa, był dniem narodzin nowego cyklu słonecznego: *dies natalis solis invicti*.

28 grudnia.

Za wszystkich czasów muzyka włoska urzekła i niepokoiła zarazem podróżnych, przybywających z drugiej strony Alp. Prezydent de Brosses, zwiedzający Włochy w pierwszej połowie XVIII wieku, poświęca jej swój najdłuższy list z podróży, porównujący muzykę francuską i włoską. Ta ostatnia znajdowała się wówczas na szczycie sławy, w fazie największego rozwoju. Utwory kompozytorów włoskich, których słyszę tu dziś — Ottorino Respighi, Francesco Malipiero, Alfredo Casella — są kwiatem uczonym i bladym. Znam je od przeszło 20 lat i nigdy myślałem do nich nie wracam. Mimo to spotkanie z muzyką włoską jest dla mnie znów wstrząsającym przeżyciem. Dwa razy w tygodniu słucham koncertów symfonicznych w Teatro Argentina. Wydaje mi się, że to co dziełi nadal muzykę włoską od muzyki północnej Europy, nie da się sprowadzić do różnic sztuki kompozytorskiej i jest czymś jeszcze istotniejszym.

Teatro Argentina jest środowiskiem zgoła odmiennym od me-diolańskiej Scali, gdzie tzw. wyższe sfery towarzyskie schodzą się pod popiersiem Stendhala w celu słuchania Verdiego. Budynek Teatru Argentina jest stary i zaniedbany; publiczność podzielona jasno na dwa obozy. Parter i niższe piętra balkonu gromadzą publiczność *mondaine*, wyższe piętra należą do publiczności muzycznej.

Już w pierwszej chwili uderza niezrównana akustyka tego budynku. Nawet z balkonu 5-go piętra słyszeć najdrobniejsze szczegóły. W tych warunkach można wreszcie ocenić prawdziwe *pianissimo*. Takiej akustyki nie posiada żadna znana mi sala koncertowa Północy. Nawet wielka Salle Pleyel ze swymi urządzeniami technicznymi jest jeszcze odległa od Teatro Argentina.

Sam już ten pierwszy szczegół wskazuje na głęboką różnicę między muzyką włoską i północną. My, ludzie Północy, kontentujemy się łatwo byle czym, na pół słyszczanym zarysem dźwiękowym, dającym pojęcie o budowie danego utworu. To nam najczęściej wystarczy. Słuchamy jak intelektualista szukający w jedno-barwnej fotografii danych do oceny i klasyfikacji tak oddanego przedmiotu. Zadawaliśmy się nawet transmisją radiową, która tak się ma do koncertu jak przepis na zupę rakową do zupy samej. Słuchamy muzyki w najnieodpowiedniejszych do tego pomieszczeniach, pochłaniających i niekształcących dźwięki. Co by powiedział na to Pepys, który w podróży politycznej nawet, w każdym nowym budynku próbował jak brzmi jego flet?

Rzetelne poczucie muzyki zgubiliśmy podczas dwóch wieków panowania niemieckiej *Schriftmusik*, muzyki pisanej, formalnej i abstrakcyjnej. W intelektualnym zamroczeniu zmysłów nikt więcej naprawdę nie słyszy. Przed paru laty — na festiwalu muzyki romantycznej pod kierownictwem bardzo uczonego dyrygenta — słyszałem rzadko wykonywane utwory Berlioza grane przez orkiestrę z 47 instrumentów, mimo że kompozytor rzucił przekleństwo na wszystkich którzy by grali jego utwory symfoniczne w tym właśnie składzie orkiestry. Dzieła wielkiego maga instrumentacji wyjęto z archiwów po to tylko, aby je profanować przez bluźniercze wykonanie. Tego nikt jednak więcej nie spostrzega. Nikt prawie nie słyszy, że przenoszenie do wielkich sal muzyki fortepianowej romantyków — dostosowanej do akustyki salonów — jest już rodzajem transpozycji; że w przeciętnym wykonaniu dzisiejszym Mozart jest podobny do olejnej kopii akwareli, że Debussy jest najczęściej karykaturą samego siebie, Strawiński paniką w kinie itd., itd. Muzyka jest dla nas przede wszystkim stronicą papieru upstrzonego nutami, bez dźwięku, bez ciała, bez barwy, bez zapachu.

Włosi stawiają muzyce inne wymagania. Słuchają jej w salach, gdzie można usłyszeć ją całą, rzetelnie, autentycznie, bez halucynacji słuchowych. Nie kontentują się jej opisem na papierze nutowym, nie wystarcza im żadna transpozycja, żaden dekolt abstrakcyjny, chcą ją mieć *in carne e ossa*, w całym przepychu szaty dźwiękowej. Tworzenie i posiadanie dźwiękowego ciała muzyki jest ich życiem muzycznym, w które wkładają ogromną ilość pracy, magicznej zręczności rąk, talentu, wyobraźni, smaku i inteligencji. W namiętności muzycznej włoskiej jest coś z miłości pogańskiej, nie dającej się zwieść żadnym pozorom obcowania dusz, przywiązanej do ciała i bez niego niepokieszonej.

Z tych pojęć i wymagań wyrosła grająca w Teatro Argentina orkiestra Akademii Świętej Cecylii. Jej dokładność wykonania jest niezrównana. Żaden szczegół partytury nie uchodzi uwagi słuchacza, co — przy umiarkowanym tempie — daje ogromną gęstość i napięcie płynnego tworzywa orkiestry. Siła i skala zdolności formotwórczej poszczególnych grup instrumentów — zwłaszcza kwintetu smyczkowego — wywierają niezapomniane wrażenie.

W takiej szacie dźwiękowej najbardziej znane i ograne utwory stają się rewelacjami. Mozart odnajduje swą magiczną zwieźność i zmienność. Nawet kompozytorzy obcy duchowo Włochom ukazują się w doskonałych, klasycznie pięknych formach. Symfonia Brahmsa w C-moll; z której niemieccy mistrze batuty wywikłują zazwyczaj głębokie meandry flaków z olejem, przybiera swój oryginalny charakter ludowy (*völkisch*), jak gdyby dwóch Niemców w pantoflach i szlafmycach śpiewało na cały głos, z głębokiego przekonania, dla własnej przyjemności. Tak przejrzystą, zwartą i stylistycznie przemyślaną wersję symfonii C-moll może dać tylko orkiestra posiadająca najbardziej wra-

liwy i sprawny zespół smyczkowy. Największe wrażenie robią oczywiście utwory przewidujące już wirtuozerię wykonania, jak np. dzieła Ravela.

Dyrygenci, których widzę — Molinari-Pradelli i Nino Sanzogno — są młodzi. U obu wyczuwam tę samą formację muzyczną. Istnieje więc włoska szkoła dyrekcyj, znana zagranicą tylko przez jej najślawniejszych przedstawicieli jak Arturo Toscanini.

Najślabszą stroną koncertów rzymskich zdaje się być ich publiczność. Życie tak niezwykle zespołu wykonawców wymaga na pozór istnienia publiczności mogącej ocenić to zjawisko. Publiczność, którą widzę w Teatro Argentina, wydaje mi się niewdzięczna, zmienna, mało muzykalna. Do niej dostosowana jest niestety większość programów. Zespół wykształconej muzycznie publiczności jest widocznie jeszcze trudniejszy do stworzenia i utrzymania od najlepszej nawet orkiestry. Każdy wstrząs społeczny może zrujnować go całkowicie. Aby odwozować go, trzeba dziesiątków lat pokoju, ciągłości i dobrobytu.

Mniej przyjemności znajdują w słuchaniu wirtuozów. Ci ostatni mało różnią się od swych zaalpejskich kolegów. Jest tu też taka sama publiczność od recitalów, znająca i podziwiająca wszystkie specjalności techniczno-akrobatyczne swych faworytów, ale nie mająca żadnego zrozumienia — ani nawet sympatii i litości — dla muzyki. Między innymi słyszę tu młodego skrzypka, Ruggera Ricci, niezrównanego technika, który zapewne zaćmi większą część swych starszych konkurentów. Niestety grze jego brak — zjawisko dziś powszechne u wirtuozów — opracowania muzycznego. Koncert Paganiniego w D-dur jest muzycznym i stylistycznym chaosem. Udają mu się tylko utwory mniejsze, stanowiące zwykły repertuar skrzypków.

5 stycznia 1948.

Śmierć Wiktora Emanuela na wygnaniu rzuca światło na zagadnienie monarchii we Włoszech dzisiejszych. Wszystkie pisma drukują krótkie historie panowania zmarłego króla. Artykuły te są chłodne, odległe, bezstronne, jak rozdziały z podręcznika historii współczesnej. Z tonu ich można wnosić, że zagadnienie monarchii we Włoszech wydaje się wszystkim przesądzane i już nie aktualne. To samo wrażenie wynoszę z rozmów ze znajomymi. Wygląda to tak, jak gdyby zwolennicy monarchii byli dziś jeszcze mniej liczni niż w dniu plebiscytu.

Najbliższej niedzieli po śmierci byłego króla miała miejsce msza żałobna na jego intencję. Niewielka grupa osób zebrała się rano w rotondzie Panteonu. Licznie stanęli miejscowi komuniści, zebrani na placu przed kościołem, strzeżonym przez karabinierów. Msza żałobna odbyła się bez incydentów. Spokoju omal nie zakłóciła tylko jakaś starsza kobieta, która z balkonu czwartego piętra naprzeciw kościoła wywiesiła sztandar o barwach królewskich. Sztandar zdjęli karabinierzy.

Groby królów z dynastii sabaudzkiej mają wygląd równie opuszczony jak sama idea monarchii. Znajdują się w rotondzie Panteonu, niemal na ulicy, obok sąsiadujących ze sobą grobów Rafaela i Hannibala Caracci. Nikt nie trzyma przy nich warty, nikt również z rzadkich odwiedzających Panteon nie zatrzymuje się przy nich. Zresztą nawet ich napisy grobowe wydają się blade obok natężonej jak głos trąby barokowej łaciny, opiewającej obu malarzy. Grób Rafaela zdobi dystych pomysłu kardynała Bembo, w stylu mało podobny do wymierzonych cyrklem kompozycji sławnego malarza:

*Ille hic est Raphael timuit quo sospite vinci
Rerum magna parens et moriente mori.*

«Wielka rodzicielka rzeczy» oznacza w ówczesnej łacinie naturę. Epitaphium Hannibala Caracci głosi, że *Raphaeli Sanctio urbinati, ut arte, ingenio, fama, sic tumulo proximus. Par utriusque funus et gloria, dispar fortuna. Aequam virtuti Raphael tulit, Hannibal iniquam.*

Dziś, kiedy historia ich kariery życiowej zeszła dla nas na drugi plan, w napisie tym najwięcej zwraca uwagę szczegół, że dla współczesnych byli sobie równi talentem i sławą. Po obejrzeniu wspaniałej puścizny malarzkiej Rafaela w Watykanie i kilku zachowanych w Rzymie płócien Hannibala Caracci, mam wrażenie, że współcześni mieli w tej sprawie lepszy sąd niż publiczność i eksperci XIX wieku.

Zniknięcie dynastii sabaudzkiej, podobnie jak historia współczesna innych dynastii, wskazuje, że miejscowi dyktatorzy stanowili dla monarchii niebezpieczeństwo większe niż wojny, okupacje obce i przewroty społeczne. Pośród burzy wojennej monarchie utrzymały się tam, gdzie panujący byli czynnikami legalności i ciągłości władzy. Ci, którzy — jak Alfons XIII i Wiktor Emanuel — zamiast bronić legalności, abdykowali ze swych prerogatyw na rzecz dyktatora, utracili koronę wraz z upadkiem tego ostatniego.

6 stycznia.

Rzym posiada szczególną atmosferę do rozważania wielkich zjawisk historycznych. Tu kilkakrotnie już weszło i zaszło słońce naszej cywilizacji. Tu na niewielkiej przestrzeni wszystkie kolejne fazy jej rozwoju zostawiły pomniki i ruiny. Tu — jak pisał jeden z ostatnich poetów starożytności, Claudius Claudianus — :

Ounctaque praecipiti stipantur saecula cursu.

Stąd obecność w Rzymie tylu instytucji naukowych obcych, poświęconych studiom historycznym. Życie tych instytucji jest dziś anemiczne, bo historycyzm XIX wieku wygasł w krajach, które je niegdyś ufundowały. Znacznego wysiłku w dziedzinie badania swej przeszłości dokonali sami Włosi. W ostatniej fazie swego życia Benedetto Croce zaniedbał swej hege-

liańskiej filozofii dla historii, pociągając na tę drogę część młodzieży. Uderza ilość publikacji poświęconych przeszłości. Wydaje mi się, że studia historyczne są dziś we Włoszech żywsze niż w jakimkolwiek innym kraju.

9 stycznia.

Między Rzymem katolickim i laicyzującym nie ma dziś dawnych granic politycznych i obyczajowych. Są to jak gdyby dwa rodzaje przędzy związane w jedną tkaninę. Rządy są w rękach partii katolickiej, ale stojąca na czele opozycji partia komunistyczna zaznacza przy każdej okazji swe sympatie katolickie i podobno posiada nawet pewną ilość zwolenników w szeregach niższego kleru. Mimo tej przewagi katolicyzmu, dawny laicyzm i antyklerykalizm włoski jest nadal czynny. W ożywionych dzielnicach miasta — koło Collegio Romano lub na Piazza Barberin — poły habitów zakonnych ocierają się w tłumie o wydrukowane w kioskach numery *Don Basilis*, humorystyczno-fanatycznego organu antyklerykałów. Najjaskrawszym przejawem obecnego przemierzania odrębnych niegdyś środowisk i formacji jest dzierżąca władzę partia demokratyczno-chrześcijańska. Taka partia składana, jednocząca w niewidzialny sposób skrajnych konserwatystów z katolickimi komunistami, istniała przed wojną jedynie w Niemczech, gdzie zresztą — w braku konsystencji — rozwiązała się nazajutrz po spaleniu Reichstagu. Obecnie stronnictwa zlepione z różnych elementów kitem katolickim grają wybitną rolę we wszystkich prawie krajach Europy Zachodniej.

Pokojową symbiozę między wierzącymi i sceptykami łatwo sobie wyobrazić. Współżycie wiary i ateizmu widywane jest często w małżeństwach. Sprzyja mu okoliczność, że uczucia religijne są z natury swej prywatne, intymne. Nie wypada ryczeć o nich na placach ani pisać w gazetach, jakkolwiek i to widywano w naszych czasach swawoli i barbarzyństwa. Czy mogą stać się czynnikami politycznym? Budowanie na uczuciach religijnych stronnictw politycznych jest wynikiem totalitaryzmu współczesnego. Nasza moralność obłożonego miasta nie uznaje życia osobistego, uważając za rzecz możliwą i wskazaną mobilizowanie i wciąganie do walki ostatnich resztek naszej prywatnej egzystencji. Mylnym byłoby sądzić, że totalitaryzm jest wyłącznie przywilejem świata komunistycznego i pochowanego na razie faszyzmu. Kraje tzw. demokratyczne żyją w obrębie tej samej moralności i — aby nie ulec przemocy — będą musiały zapoznać się także z totalną mobilizacją.

Czy świat katolicki da się także i na czyją korzyść zmobilizować?

Pytanie to przychodzi mi na myśl za każdym razem, kiedy widzę na ulicy brunatne, białe i czerwone habitury zakonników. Habit był kiedyś mundurem żołnierza strzegącego uniwersalnej *civitas Dei*, ale nie uczestniczącego w zatargach między para-

fiami. W 1919, jadąc metrem pod Montmartre'm, byłem świadkiem przypadkowego spotkania dwóch księży. Jeden już starszy, o ciemnej twarzy, zbiedzonej od ran i trudów, nosił na wyszarzałej sutannie dwa rzędy nowiutkich odznaczeń wojskowych. Drugi młody, wysoki, dumny i zamknięty ponad miarę, na widok orderów swego kolegi uśmiechnął się pobłażliwie, być może nawet z pogardą. Jego lekceważące spojrzenie spod przymkniętych powiek utkwiło mi w pamięci. Kościół katolicki błogosławił wprawdzie wszystkie walczące przeciw sobie armie, ale zachował również formułę pozwalającą na honorowe wyjście z obłożonego miasta, dającą możliwość — mimo pozorów dezercji — czuć się moralnie wolnym pośród walczących mrowisk ludzkich.

Niegdyś z wolności tej czerpano wielką dumę. Można o tym wnosić chociażby z *Fairy Queen* Spensera, gdzie znajduje się wspaniały opis rycerza czerwonego krzyża, okrytego srebrnym pancerzem na spienionym koniu, ale posłusznego jedynie swym ślubom i jadącego na wojnę bez broni. Dziś wolność tego rodzaju utraciła rycerski i niemal oficjalny charakter. Zażywają jej podziemnie i samotnie dekonwicy, dezercerzy, przemysłnicy i apatrydzi. Możliwość wyprowadzenia jej z podziemia, ubrania w uroczyste formy i nawet mundury stanowiłaby *potestas clavium* mogącą przeciwstawić się nawet totalnej potędze nowożytnego państwa.

Kościół nie zdaje się dziś pretendować do tego rodzaju władzy. Stronnictwa katolickie są doskonale przystosowane do nowożytnego państwa i jego moralności. Forma ucieczki od świata przez śluby zakonne zdaje się być tylko szczątkowym fragmentem odległej przeszłości. Dopóki jednak istnieją zakonnicy, żołnierze uniwersalnego państwa, leżącego na innym planie od wszystkich pozostałych, dopóki barwne habitury można widzieć na ulicach, tak długo widok ich będzie pobudzał mnie i innych do szukania wyjścia z obłożonej Palmiry.

Świat laicki nie posiada w tej chwili żadnej uznanej formuły, żadnej nadziei dla osób nie mieszczących się w murach nowożytnego państwa i jego moralności. Dawniej istniała przynajmniej możliwość ucieczki do Tebaidy, na pustynię. Dziś wstępu do Tebaidy bronią Anglicy i Amerykanie. Nawet przemysłnicy są tu bezsilni, bo stan obłożenia zaczął się szerzyć na pustyni.

10 stycznia.

Kościół św. Piotra jest dziełem nierównym. Widziany od zewnątrz, ze swym kolistym placem, kolumnami, fontannami, obeliskami i całą barokową organizacją zamkniętej przestrzeni, jest jednym z najpiękniejszych twórców architektury gigantycznej. Być może po przejściu leżącego przed nim placu, żaden szczegół wewnętrzny nie może już zrobić większego wrażenia. Z każdą nową bytnością wewnątrz kościoła św. Piotra wydaje mi się banalniesze. Jego białe-czekoladowe marmury były wzo-

rem zbyt wielu hallów bankowych. Dziś barwy te podsuwają mi myśl o gigantycznym torcie, jaki Gulliver mógł być widzieć u olbrzymów.

Wnętrze tych rozmiarów, w którym ludzie zdają się nie więksi od mrówek, musi z natury rzeczy wyglądać nieco pusto. Nie jest to jednak tylko złudzenie optyczne. Przechodząc koło kilkudziesięciu konfesjonatów obwieszczających napisem, w jakich językach przyjmują spowiedź, spostrzegam, że naimo zbliżającego się południa nie ma w nich nikogo.

Watykan jako potęga duchowa zmienia się też przy oglądaniu go z bliska.

W Rzymie dopiero spostrzega się istnienie państwa papieskiego, którego nie widać z innych krajów katolickich. Z państwa tego został już tylko niewielki skrawek, ale otaczające go warowne mury są wciąż imponujące. *Corona turrita* Watykanu, jego architektura i kolor lokalny uprzytomniają widzowi, że jest wciąż w Rzymie, i że Watykan jest częścią tego ostatniego. Okoliczność ta nie mogła pozostać bez żadnego wpływu na Stolicę Apostolską, związaną od blisko dwóch tysięcy lat z wiecznym miastem.

Już w czasach św. Piotra Rzym był miastem bardzo starym. W pamięci jego piętrzyły się wspomnienia monarchii, republiki, wielu dyktatur i wojen cywilnych, dwóch języków i cywilizacji i wreszcie kilkunastu praktykowanych w jego murach religii. Potomków starych rodzin rzymskich pochłonięły już były rewolucje społeczne. Milionowe miasto wypełniał kosmopolityczny tłum, który — po wysłuchaniu niezliczonych proroków i filozofów — czuł się zdemoralizowany i sceptyczny. Tak wyglądał Rzym za św. Piotra i za Konstantyna.

Od tamtych czasów Rzym zmienił kilkakrotnie oblicze i stanowisko zajmowane w świecie, lecz nigdy — nawet kiedy władzę doczesną sprawowali w nim papieże — nie widział w swych murach prądów mistycznych ani głębszego życia religijnego. Dwa i pół tysiąca lat ciągłej choć zmiennej kultury zostawiły tu po sobie rodzaj pogodnego sceptycyzmu, przysługującego starszemu wiekowi.

Wnioski wynikające z doświadczenia i wieku nie są wolne od sprzeczności wewnętrznych. Widzę to coraz lepiej w miarę tego jak sam zaczynam korzystać z przywilejów wieku. Z tych ostatnich na pierwszym miejscu wymienilibym odkrycie niewidocznej dla młodzieży wartości cierpliwego czekania. Wszystko mija, wszystko więc można przeczekać. Groźne i krwawe panowania tyranów trwają zazwyczaj tylko po kilka lat. Często z najbardziej naglających i niebezpiecznych sytuacji można wyjść cało kładąc się spać. Przewaga wynikająca z trafnego rozpoznania dobroczynnej siły czasu jest jednak dla starszych ograniczona i zaprawiona goryczą. Tylko bowiem młodzi mogą z pożytkiem czekać; im tylko służy dobroczynna potęga czasu. Stać ich nawet na błędy i szaleństwa, bo mają przed sobą czas na skupienie i pokutę. Tyle trzeba doświadczeń i lat, aby zro-

zumieć, że tylko młodość jest coś warta! Stąd płynie pogodna pobłażliwość dziadów dla wnuków.

Przekazywana z pokolenia w pokolenie mądrość starszego wieku udziela się wreszcie całym miastom, zwłaszcza gdy ludność ich — jak na Zachodzie — staje się sama coraz starsza. Dla tych zapewne przyczyn ludność Rzymu i innych stolic zachodnich patrzyła z pobłażaniem na brzydkie ekscesy i szaleństwa młodzieży w czarnych i brunatnych koszulach, dziś zaś gotowa jest pogodnie czekać aż wyszumi się zapalczywa i doktrynerska młodość Sowietów.

Przez blisko dwa tysiące lat Stolica Apostolska wznosiła się w najstarszym wiekiem i doświadczeniem mieście naszego kontynentu. Sternicy tej przepelnionej wspomnieniami łodzi byli też z reguły starsi, bliżsi śmierci niż młodości. To objaśnia nieco ich zachowanie się w latach burz i kryzysów, ich ostrożną rezerwę, pobłażliwość i wiarę w dobroczynną potęgę czasu.

Kościół katolicki przeżył już wiele zmian i rewolucji. Zapal reformatorów świata wygasł zazwyczaj po kilku latach. Ludzie nowi, wyniesieni przez rewolucje społeczne, brali znów śluby kościelne i chrzcili dzieci, widząc w powrocie do tradycji konsolidację swej nowej rangi towarzyskiej. Doświadczenia wieków poprzednich musiały sugerować Watykanowi politykę czekania.

Najważniejszym przewrotem obecnego stulecia w dziedzinie religijnej była rewolucja rosyjska, która zmyła z oblicza ziemi kościół wschodni. Perspektywa zajęcia jego miejsca w świecie słowiańskim zdawała się fascynować przez dłuższy czas Stolicę Apostolską. W cisiszy kolegów watykańskich przygotowano ekipę propagandystów wiary gotowych do wyjazdu na wschód. Wchodząc do skarbcza watykańskiego, ujrzałem tam zawieszoną *primo loco* naprzeciw wejścia starą ikonę, oznajmiającą jak gdyby o bieżących zainteresowaniach Watykanu. Tak przynajmniej komentowali jej obecność zwiedzający, tłocząc się przed witrzyną.

Mimo upływu 30 lat, rewolucja komunistyczna jest daleka od końca. Zasięg jej rozszerzył się znacznie, pokrywając całą wysuniętą na wschód część świata katolickiego. Odpadł odeń obszar grecko-katolicki, będący dotąd pomostem między obrządkiem prawosławnym i łacińskim. Prądy rewolucyjne wdarły się głęboko w najstarsze kraje katolickie, infiltrując nawet sam kler. Katolicyzm jest dziś wszędzie w defensywie.

W latach wielkich konfliktów ujawnia się najlepiej katolickość czyli uniwersalność kościoła rzymskiego. Obejmując ludzi wszystkich kondycji, formacji i pochodzeń, kościół nie może pozostać na stronie od konfliktów dzielących ludzi między sobą. Wszystkie prawie linie podziału muszą przechodzić wewnątrz kościoła uniwersalnego. Świat katolicki zdaje się nadto być bardziej dostępny dla prądów skrajnych niż np. świat protestancki i muzułmański, wykazujące na razie większą spoistość. Drugi już raz za życia obecnego pokolenia wypadki dzielą

świat katolicki na dwa wrogie obozy. Ruch faszystowski objął połowę katolików, przeciwstawiając ją drugiej połowie w straszliwym konflikcie, który skończył się degradacją katolickiej Europy i jej podziałem na zony wpływów między mocarstwa pozaeuropejskie. Watykan nie odrzucił faszystów i hitlerowców; równie trudno byłoby mu odrzucić od siebie wiernych, którzy komunizują. W miarę zaostrzania się konfliktu sytuacja kościoła — podobnie jak wszystkich zbiorowości kompromisowych — będzie coraz trudniejsza. Włoska partia chrześcijańsko-demokratyczna może utracić wielu wyborców uznających dziś stanowisko kompromisowe za niedostateczne.

Uderzające podobieństwo istnieje obecnie między sytuacją stronnictw katolickich i socjalistycznych. Jedne i drugie zawdzięczają swą względną stałość stojącym za nimi organizacjom społecznym; zależą zatem więcej od bieżących interesów tych ostatnich niż od jasnego i aktualnego programu działania. Odkąd partie socjalistyczne zepchnięte zostały z lewego skrzydła do centrum wachlarza partyjnego, zajmują tam wraz z partiami katolickimi stanowisko środkowe. Sytuacja ta daje im wielką przewagę w grze demokracji parlamentarnej, przynosi natomiast duże trudności przy zaostrzaniu się konfliktu między obu skrzydłami. Wśród bardziej zdecydowanych partii skrajnych, socjaliści i katolicy szukają rozstrzygnięć kompromisowych. W miarę nasilania się walki kompromisy stają się coraz trudniejsze do osiągnięcia i tendencje rozbieżne przenikają do wnętrza samych partii środkowych, grożąc im rozłamami. We Włoszech i w Europie Wschodniej partie socjalistyczne uległy już rozłamom lub parcelacji między inne stronnictwa. Wreszcie — tak na czele ruchu katolickiego jak socjalistycznego — stoją ludzie starsi wiekiem, niechętni nagłym decyzjom i liczący na dobroczynną siłę czasu.

Stronnictwa katolickie i socjalistyczne są dziś największą siłą polityczną Europy Zachodniej. Jedne i drugie zajęły stanowiska pośrednie, kompromisowe, wyczekujące, odraczające decyzję. Do tej taktyki starszego wieku zdaje się streszczać dziś mądrość polityczna Zachodu. Większość wyborców taktyka ta wydaje się najstosowniejsza dla kontynentu pokonanego i czekającego na decyzję zwycięzców.

13 stycznia.

Żaden zapewne kraj nie posiada tylu pism humorystycznych co Włochy. Każde miasto ma swoje, w Rzymie wychodzi ich z pół tuzina. Niektóre z nich są dowcipne i posiadają utalentowanych ilustratorów.

Ściśle biorąc nie są to właściwie pisma humorystyczne — jak np. amerykańskie — lecz przede wszystkim pisma satyryczne. Dowcip ich jest związany z bieżącą aktualnością i zawiera w sobie często dyskretną szczyptę ironii i gorczy.

W tragicznej Europie jest istotnie z czego się śmiać. Pełno w

niej kontrastów i skoków pobudzających do wesołości. Między pojęciami z tak niedawnych lat — kiedy każdy kraj w swej suwerenności mógł zachowywać się jak gniewny indyk — a obecną rzeczywistością istnieje tragiczna i groteskowa przepaść.

Jeszcze głębsza przepaść dzieli pozorny porządek świata — podyktowany przez wielkie mocarstwa w uroczystych frazesach paktów i deklaracji — od jego prawdziwego oblicza. Tenorowa aria anioła pokoju z towarzyszącym jej basowym komentarzem gangsterów i handlarzy byków, rzucają po drodze zgrzyty i iskry humoru. Zwolnieni spod okupacji anglo-amerykańskiej lecz odepchnięci od zielonego stołu zwycięzców, Włosi są w najlepszej sytuacji, aby się z nich śmiać.

Na dnie każdej satyry skrywa się jakiś ideał, tak wysoki i delikatny, że nie wypada wypowiadać go wprost w obawie profanacji. Tę właściwość satyry wyczuwa się też w dziennikarskiej i nierównej produkcji humorystów włoskich.

Moi młodzi przyjaciele mają o tym rodzaju literackim bardzo wysokie pojęcie i z istniejących pism są mało zadowoleni. Śmieją się na ogół niewiele. Porównuję ich z naszą młodzieżą sprzed 25 lat, chwytającą w lot każdy komiczny szczegół bieżącej rzeczywistości. W podobnym okresie nowonarodzonej wolności zachowanie się jej było bardzo odmienne. Młodzież włoska wydaje mi się bardziej serio, bardziej skupiona w sobie. Po kilkakrotnych przewrotach żadna kariera życiowa nie ma dziś znamion stałości, i życie stawia dziś młodym niełatwe zadania praktyczne. Wielu z nich wybiera się do Ameryki Południowej.

17 stycznia.

Jeden z przyjaciół pożyczył mi włoski numer organu egzystencjalistów francuskich *Les temps modernes*. Numer ten obejmuje kilkanaście wypowiedzi — na różne tematy — młodych autorów włoskich, przeważnie lewicowych.

Uwagę moją zwraca artykuł poświęcony częściowo odwadze. Od dawna już odwaga była we Włoszech przedmiotem rozważań, zaklęć i inwokacji. Z jednego z wczesnych szkiców Papiniego przypominam sobie wspaniały w rytmie i retoryce frazes, który byłby zachwycił Flauberta:

Dobbiamo avere piu coraggio, e se non basta il coraggio — l'audacia, e se non basta l'audacia — la temerità, e se non basta la temerità — la pazzia, e se non basta la pazzia — la morte.

O odwadze mówili futuryści, potem faszyci, dziś odnajdujemy ją u essayistów lewicowych. Nie pamiętam, aby zagadnienie to zajmowało literatów innych krajów, wyjąwszy Conrada. Czy zainteresowanie odwagą jest zjawiskiem specyficznym włoskim.

W 1912-1913 Papini uważał futuryzm za zdrową reakcję młodzieży przeciw ciężącemu na niej wiekom szkolnej kultury i

przezornej mądrości starców. Odwaga była dlań akceptowaniem niewiadomej przyszłości. Wkrótce potem faszyzm urzęczywił najdziksze fantazje futurystów i wyczerpał — jak się zdaje — na długie lata potrzebę nieoczekiwanej nowości. Ten aspekt zagadnienia odwagi wydaje się dziś mało aktualny.

Dziś z rana spotykam się z młodym filozofem, laureatem — jak się tu mówi — rzymskiego fakultetu. Próbujemy z nim roztrząsać zagadnienie odwagi. Z rozmowy widzę, że mimo częstego używania tego terminu, jest on dla Włochów równie niejasny jak dla mnie.

Już samo pochodzenie słowa *coraggio* od *cor* — serce — tj. od organu będącego rzekomą siedzibą odwagi, nie sprzyja jasności. Rzymianie mówili o *fortitudo*, mając na myśli siłę, zdrowie, wytrzymałość czyli właściwości fizyczne, dzięki którym łatwiej jest zachować przytomność umysłu w różnych przygodach. Dopiero na dalszym planie, jako konsekwencja siły i zdrowia, występuje u nich brak strachu: *Fortem animum posce et mortis terrore carentem*, mówi Juvenalis. Pojęta jako indywidualna właściwość organizmu, odwaga należałaby do tej samej klasy co np. zdrowy i niestrudzony żołądek, zaleta warta dla jej posiadacza przynajmniej tyle samo co odwaga, a jednak nie nadająca się do wienczenia laurem i opiewania wierszem.

W bibliotece mego przyjaciela zaglądamy do Platona i Arystotelesa, od których zaczęła się kariera literacka tego pojęcia. Plato wiąże odwagę z instynktem czynu i walki. Arystoteles w Etyce daje dłuższe wyjaśnienie. W substancji uważa odwagę za właściwość pozwalającą na zachowanie lub działanie zgodne z zamierzeniem i trzymające się na równej odległości od paraliżującego strachu jak i od zbytniego zaufania w swe siły. Po tym wyjaśnieniu, z terminu «odwaga» ulatnia się poważna część jego odrębnej treści. Zaczynamy więc szukać po omacku.

— W okolicznościach zawierających pewne przesłanki do przewidywania — mówię — istnieje przeciwstawność między odwagą i inteligencją, ponieważ osoby obdarzone zdolnością przewidywania rzadko wpadają w sytuacje wymagające większej odwagi. Zastanawiający się widzi z daleka niebezpieczeństwo, lekkoduch rozpoznaje je dopiero z bliska i musi szukać wyjścia w ostatniej chwili, w warunkach mało sprzyjających trafnej ocenie środków i szans.

— Przeciwstawność ta nie wydaje się zasadnicza — odpowiada mój przyjaciel — bo najroztropniejszy nawet może wybrać drogę ryzykowną.

— Samo jednak przedsięwzięcie kroków ryzykownych, ani lekceważenie śmierci i cierpienia nie wystarcza, aby mówić o odwadze, bo wówczas nieostrożne przechodzenie ulicy przy dużym ruchu samochodowym mogłoby też uchodzić za akt odwagi.

— Nazwę odważnego dajemy tylko działaniu posiadającemu pewną proporcję między ryzykiem i zamierzonym celem. Takie odróżnienie byłoby zgodne z tym cośmy przeczytali u Arystotelesa.

— Wydaje mi się, że granice zakresu odwagi widać nie tylko od strony intencji, ale także od strony skutków podjętego czynu. Powodzenie podnosi do rangi odważnych przedsięwzięcia nawet bardzo ryzykowne, które w razie niepowodzenia spadają do kategorii aktów rozpacz, szaleństw, zuchwalstwa, nieostrożności i nawet głupoty.

Tu zatrzymuję się pełen wątpliwości. Polski termin «odwaga» nie wywodzi się od «serca». *Rodrigue, as-tu du cœur?* nie ma polskiego ekwiwalentu. «Odwaga» pochodzi od «ważyć się». W tej strukturze językowej na pierwsze miejsce wysuwa się decyzja implikująca rozważenie celu i szans. Mimo ten namyślający się odcień naszego terminu, czyn w Polsce wydawał się najbardziej oderwany od powodzenia. Czyny uwieńczone katastrofą uchodziły za najbardziej odważne. Westermarck powiedziałby zapewne, że nazywając czyn «odważnym» wypowiadamy jedynie jego aprobatę według kryteriów obowiązujących zwyczajowo w danym powiecie lub grupie społecznej.

Po chwili wahania wracam do tematu naszej dyskusji.

— Po tylu restrykcjach, w pojęciu odwagi nie zostało już wiele miejsca na jakąś specyficzną treść. Odwaga zdaje się być zdolnością szybkiego i jasnego rozpoznawania środków, szans i skutków zamierzenia, co jest tylko szczególnym wypadkiem zdolności poznawania i rozumienia.

— Nie mam przekonania — odpowiada mój towarzysz — abyśmy tym wyczerpali sprawę, zwłaszcza jeżeli chodzi o wypadki zachowania się biernego. Weźmy przykład człowieka, który po jasnym rozpoznaniu sytuacji stwierdza, że znajduje się w celi więziennej i zostanie stracony za pół godziny. Jak zachować się w ciągu tego czasu? Liczyć pozostające minuty, wracać myślą do przeszłości, obserwować pełną po ścianie pluskwę lub obłok płynący po niebie? Koestler radzi swemu bohaterowi na wszelki wypadek oddać moc. Od strony intelektualnej sytuacji takiej odpowiada najlepiej sceptycyzm Pyrrhona: nie ma żadnych rozstrzygających argumentów na korzyść takiego lub innego postępowania. A jednak wszyscy zachowują się w tej sytuacji «odważnie», to jest z prostotą i godnością. Jeżeli termin «odwaga» posiada jakąś treść, wydaje mi się, że należy jej szukać u stoików.

18 stycznia.

Na jednej z bocznic via Vittorio Veneto oglądam wystawę malarzy modernistów czyli tak zwanej awangardy. Mam wrażenie, że czas cofnął się o 36 lat wstecz, kiedy jako młody chłopiec oglądałem pierwszą czy drugą z kolei wystawę ówczesnych futurystów. I malarze są częściowo ci sami: Boccioni, Balla... Tak samo jak wówczas, jedynym prawdziwym malarzem wśród tylu eksperymentatorów jest Gino Severini. Wszyscy muszą być już dziś starszymi panami. Ciekawe, czy wciąż trzymają się ich żarty?

Przypominam sobie farsę Marinettiego napisaną z okazji jednej z pierwszych wystaw. Migawkowa jej treść jest następująca: Balla otrzymuje medal, który wręcza mu sam minister. Na to Balla zdejmując ze ściany nagrodzony obraz i uderza nim na płask o własną głowę, która przebija płótno i wychodzi na drugą stronę. Inni obecni futuryści zdejmują obrazy i skaczą przez nie na wylot.

19 stycznia.

Jeden z moich przyjaciół, który był we Włoszech w połowie 1945, widział tam «naród w proszku», głęboko zdezerorientowany przez szoką łańczie zmieniających się wciąż reżymów, okupacji i sytuacji. Na domiar złego wielka burza zastała Włochy po 20 latach dyktatury, która — jak wszystkie dyktatury — była okresem demoralizacji, bierności i przystosowania.

Usiłując zrobić krótki inwentarz tego co widziałem i słyszałem w ciągu ostatnich tygodni, muszę przede wszystkim stwierdzić, że o żadnym «narodzie w proszku» nie ma już dziś mowy.

Najbardziej nieśmiały i niepokojący czynnikiem sytuacji włoskiej jest eksponowanie zewnętrzne kraju. Na granicy rozbrojonych Włoch stoi 17 dywizji jugosłowiańskich, za nimi zaś jeszcze kilkanaście szybkich dywizji sowieckich, mogących w ciągu tygodnia dotrzeć do Rzymu i Neapolu. Nikt nie wie dnia ani godziny.

Czy w takim wypadku Włochy mogą liczyć na pomoc amerykańską? Stany Zjednoczone inwestowały we Włoszech znaczne sumy w formie pomocy gospodarczej i mają zamiar udzielać dalszej pomocy w ramach planu Marshalla. Można stąd wnosić, że nie zdecydują się łatwo na odepchnięcie Włoch do zony sowieckiej. Gwarancja udzielona im 15 grudnia zeszłego roku zdaje się potwierdzać to przypuszczenie.

Z drugiej strony Europa jest pełna rozmownych oficerów i podróżników amerykańskich, którzy co kilka dni ponawiają w rozmowach groźne ostrzeżenia. Stany Zjednoczone — powiadają — nie mogą i nie będą broniły Europy. Wyborcy amerykańscy nie chcą słyszeć o żadnej nowej wojnie. Nawet z punktu widzenia wojskowego Europa nie ma znaczenia dopóki wojska amerykańskie mają możliwość lądowania w Afryce i w Hiszpanii. Podobne przestrogi można posłyszeć od oficerów angielskich w Tyrolu, którzy na tym eksponowanym punkcie muszą się czuć niepokorni i opuszczeni.

Miedzy tak sprzecznymi zdaniami samych Amerykanów, Włosi są jak suflet neapolitański, zamrożony z jednej strony i płonący z drugiej. W podobnej sytuacji znajduje się cała Europa Zachodnia, ale niebezpieczeństwo nigdzie nie jest tak widoczne i bliskie jak we Włoszech.

W tych warunkach plan Marshalla może liczyć tylko na poławiczne powodzenie. Celem jego jest nie tylko karmienie Eu-

ropy, ale także ożywienie procesu jej własnego odrodzenia gospodarczego. Ten drugi cel nie jest do osiągnięcia w sytuacji, w której cała ludność Europy, słusznym tytułem czując się zagrożona *quod ad vitam*, najchętniej emigrowałaby do Ameryki. Odbudowa gospodarcza Europy wymaga pokoju w tej samej mierze co dolarów.

Włoczeni w najniekorzystniejszą pozycję między Wschodem i Zachodem, Włosi nie wiedzą co przyniesie dzień jutrzejszy, ani która ze stron i z jakim skutkiem znajdzie się pierwsza na ich terytorium w razie konfliktu. Strona sowiecka wydaje się dużo silniejsza na krótką metę, ale tylko z Ameryki Włochy mogą — do wybuchu konfliktu — otrzymać pomoc materialną. W położeniu zawierającym tyle chwiejnych lub zgola niewiadomych danych, trudno jest angażować się bez reszty w jedną lub drugą stronę. Sytuacja ta zmusza do emancypacji myślowej, do krytycyzmu i stałego rewidowania rachunku prawdopodobieństwa, od którego zależy każdy następny krok.

Proces emancypacji widać np. w stosunku do tradycyjnych wpływów angielskich. Sforza, przeciw któremu tyle protestowali Churchill i Eden, jest mimo to ministrem spraw zagranicznych Saragat, którego Labour Party wyrzucała za drzwi wszystkich konferencji socjalistycznych, jest mimo to zastępcą premiera i spodziewa się dla swej partii znacznego przyrostu głosów w nadchodzących wyborach.

W tak mało sprzyjających warunkach zewnętrznych Włochy osiągnęły na wewnątrz znaczny stopień konsolidacji. Likwidacja faszystów odbyła się stosunkowo bezboleśnie i jest obecnie zakończona. Większe trudności nastręcza oczywiście ekstremizm lewicowy, ale i z tej strony widać pewną poprawę. Dla partii komunistycznej włoskiej — jak i dla wszystkich partii komunistycznych zachodnich — punktem krytycznym była dyskusja planu Marshalla. Europa Zachodnia nie może się na razie obyć bez pomocy amerykańskiej, i samobójcze odrzucenie jej, postulowane przez komunistów okazało się dla nich krokiem zgubnym. Dla komunistów włoskich krok ten był może mniej ryzykowny niż dla innych, bo większa część ich zwolenników rekrutuje się nie z warstwy robotniczej, lecz z ubogiej ludności rolniczej, dla której plan Marshalla ma mniejsze znaczenie. Sprawa rolna zdaje się być najtrudniejszym zagadnieniem społecznym Włoch. Nawet powierzchowny obserwator zdaje sobie z tego sprawę, widząc głębokie różnice w strukturze rolnej poszczególnych prowincji.

Sytuacja gospodarcza Włoch przechodzi obecnie punkt krytyczny. Do sanowania finansów rząd demochryścijański powołał ministra ze szkoły liberalnej, operującego sposobami tzw. klasycznymi. Inflacja monetarna została wstrzymana, kurs lira zwyżkował w stosunku do innych monet i od paru miesięcy utrzymuje się na równym poziomie. Okres spekulacji walutowej i towarowej jest skończony. Zjawiskom tym towarzyszy zazwyczaj wzrost kosztów utrzymania, zastój w handlu, niewypłacal-

ność i bezrobocie. Porównuję te zjawiska w dzisiejszych Włoszech z tym, co widziałem w Niemczech w 1924-1925 po stabilizacji marki. Porównanie to wypada całkowicie na korzyść Włoch. Przeprowadzona w okresie wcześniejszym, stabilizacja lira odbyła się tańszym kosztem. Praca nie zatrzymała się. Nawet w środku Rzymu widać posuwającą się naprzód budowę domów mieszkalnych. Kryzys gospodarczy nie jest jednak bynajmniej przewyciężony. Dalszy jego rozwój zależy zapewne w znacznej mierze od pomocy amerykańskiej i od ewolucji gospodarczej reszty Europy.

Po długim okresie gospodarki autarkicznej i życia za murami, jakimi faszyzm oddzielił kraj od reszty świata, we Włoszech wyczuwa się więcej niż gdzie indziej poczucie solidarności europejskiej i chęć współpracy międzynarodowej. Włosi robią wrażenie ludu żywego, który wśród przeciwności nie stracił głowy i zdolny jest — w dziedzinie myśli i pracy — do wielkich wysiłków.

23 stycznia.

Szybki autobus nocny wiezie mnie na północ wzdłuż brzegów morza Tyrreńskiego.

Noc jest księżycowa, bogata we wszystkie resursy czarności morza. W zatokach pod skałami woda jest ciemna i księżycowi odpowiada krótkimi blaskami złota. Wzdłuż otwartego brzegu, pod ciepłym wiatrem, ma smugi courbetowskiej zieleni pod białymi grzbietami fal.

Po lewej stronie drogi teren schodzi ku morzu, raz łagodnym zboczem, raz skalistymi uskokami tarasów. Mijają szybko błotniste rozlewiska rzek, wzgórze, ogrody, gaje, pastwiska i pustkowia.

Po prawej stronie mijają długie łańcuchy wzgórz o liniach wyszlifowanych przez erozję, łagodne do wchodzenia, z trawistymi stożkami szczytów osypanych kulistymi koronami drzew. Światła wsi pnących się w górę wzdłuż prostej ulicy wyglądają na czarnym tle nocy jak drabina Jakóba.

Na dłuższy postój zatrzymujemy się pierwszy raz w Grossetto o florenckiej architekturze. Na rynku stoi tam marmurowy kościół w poprzeczne pasy. Potem mijamy plażę, równiny pokryte drzewami, znów wzgórze. Za nami zostaje wciśnięta między pagórki Massa Apuania. Okrążamy wcinającą się głęboko w łód zatokę Spezii. Ponieważ szosa nadbrzeżna została zniszczona podczas wojny, droga nasza wspina się zakosami w wysoki objazd górski. O kilkaset metrów pod nami, w głębi leśnej przepaści widać światła nadbrzeżnych osad. Ciepła noc zbliża się ku końcowi. Szosa schodzi nisko ponad Sestri Levante i Rapallo. O świcie wjeżdżamy w dumne swymi arkadami śródmieście Genui.

Paweł HOSTOWIEC.

Przedwiośnie rewolucji i wojna poetów

1

«Przedburzą polityczną» nazwał Trentowski w traktacie piśnianym w czasie rewolucji 1848 roku samą «wiosnę ludów», jako zapowiedź większych jeszcze konfliktów i przemian. Ale «przedburzą» był dla Europy — nie tylko kontynentalnej — kilkuletni już okres, poprzedzający rewolucję. Jawne i podziemne ruchy wyzwolenie, narodowe i społeczne coraz wyraźniej wstrząsały po-kongresowym układem politycznym, już nadwreżonym mocno, groziły przewrotami wewnętrznymi i nieuchronnym, jak wielu sądziło, starciem się zrewolucjonizowanego Zachodu z despotycznym i niewolniczym mikołajowskim Wschodem.

Na czoło wysunął się w roku 1845 ruch rewolucyjny polski z decyzją powszechnego powstania na rok następny, powstania o własnych siłach. Raz jeszcze — jak w 1830 roku — Polska miała być «Winkelrydem narodów». Na obchodzie listopadowym w Paryżu Ludwik Mierosławski, młody, trzydziestoletni desygnowany wódz przyszłej wojny narodowej, obwieszczał decyzję powziętą przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego i wykladał doktrynę rewolucji i wojny. «Jakie bądź powstanie» było dla niego «heroicznym lecz jedynym ratunkiem od wieczystego zamrożenia pokoleń w kołyskach szlacheckich i w Sybirach zaborców». Wskazywał jako cel Polskę «geograficznie niepodzielną, społecznie jednoprawną, a politycznie wszechwładną», «jednoprawną politycznie, społecznie i ekonomicznie», «z samych a prawdziwych obywateli złożoną». Ten ideał państwa miał być zniszczony przez «dźwiganie z martwości wszelkich potęg narodowych», a kraj miał wyzwalać się naraz «od przywileju i od bezsilności», przez poruszenie ludu, ogłoszenie jego pełnej wolności, równouprawnienia, uwłaszczenia. Rewolucja miała być nie rozpętanem anarchii, ale jej zaprzeczeniem. Stanąć na czele miał rząd dyktatorski — jedno, czy wieloosobowy, ale z nieograniczoną władzą. Ruch miał być od góry prowadzony i kierowany jak we Francji w pamiętnym roku 1793. Naród miał przejść przez «czyszczenie karnej walki o

ideał». W tym czyściu miała wyzwolić się od grzechów przeszłości zespólna z ludem szlachta polska, poświęcając przywileje na ołtarzu ojczyzny, a zachowując prymat ofiary, przodownictwo i przewodztwo, czego Mierosławski nie podkreśla, ale z czym jego wycucie rzeczywistości ówczesnej każe mu się liczyć i pogodzić.

Wschodząca od kilku lat w obozie demokratycznym gwiazda tego płomiennego mówcy, świetnego pisarza, teoretyka wojny o polocie genialnym, miała blask nieco czerwony. Gdy Centralizacja mocno stała na gruncie prywatnej własności, którą chciała przez uwłaszczenie chłopów upowszechnić, odrzucając stanowczo tendencje komunistyczne, młody Mierosławski marzył «o scaleniu Ojczyzny publicznej przez zwrócenie jej ojczyzn prywatnych na jakie ją ekonomicznie rozdrapały do spółki z zaborami szlacheckimi i spekulacją». Jednakże koncepcje dalej idących przemian radykalnych godził się odłożyć do czasu «sejmu organicznego», powołanego w wyniku zwycięskiej rewolucji przez powszechne wybory. Ale lata ostatnie pełne były walki, którą Mierosławski musiał prowadzić — on, sam młody czerwieniec — ze skrajnymi tendencjami w obozie własnym.

W niecałe dwa lata później — już więzień stanu w Berlinie — w sławnej mowie obrończej przed pruskim sądem, wołał Mierosławski, odpierając zarzut dążeń anarchistycznych: «Polska demokracja dopiero idzie do szturm, musi więc być karna, zgodna, cierpliwa, jak batalion starej piechoty». Otóż karność w tym batalionie, w który radby był Mierosławski przemienić obóz demokratyczny, wiele pozostawiała do życzenia. Zaraz też dalej oznajmiał zdziwionym Prusakom: «Ten hufiec przez lat trzynaście walczył z wszelkimi w emigracji i kraju wicherami; walczył na śmierć, walczył do upadłego z indywidualizmem, z federalizmem, z próżnotami, z herostratyzmem, z sejmikowością, z partyzantką, z tradycjami szlacheckimi jako i z niecierpliwością gminowładztwa». — A we wspomnianej wyżej mowie listopadowej 1845 roku atakował z pasją pisma młodzi, które «jak pod firmą wszechwładztwa ludowego zarażały politykę i ekonomiczną rewolucyjną nieładem i bezsilnością, tak pod firmą wojny ludowej wprowadzały do teorii wojennej zaprzeczenie wszelkiej teorii i uniemożliwienie wszelkiej wojny».

Pocisk godził głównie w Henryka Kamińskiego rzecz «O prawdach żywotnych Narodu Polskiego», pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego wydaną w Brukseli 1844 roku, z którą rozprawił się już był Mierosławski na łamach «Demokraty Polskiego», a w ostrych jego wybuchach wyczuwa się gniew, wywołany przez rozterki i odśrodkowe tendencje, z którymi przychodziło mu walczyć przez dwa lata ostatnie na emigracji i w kraju¹.

¹ O Mierosławskim: *Historia Demokracji Polskiej* (1901), str. 290 sg., 307 sg., 321 sg.; *Szermierze Wolności* (1911) str. 214-227 et

2

«Wierzę w republik jedynaka syna — Mochnacki był nim u nas, ten koster... Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych, w emigracyjnych wierzę wszystkich świętych...». Przypuszczać wolno, że Słowacki istotnie «dwóch tomów zaczętych» jego «*Powstania narodu polskiego*» nie doczytał do końca. Byłby dostrzegł, jak w drugim tomie «republik jedynaka syna» z republikanina przedziera się w monarchistę, z radykalnego demokraty w umiarkowanego zachowawcę. Na miano «republik jedynaka syna» zasługiwał raczej — w kilka lat po ukazaniu się «*Beniowskiego*» — kontynuator Mochnackiego, Mierosławski, nasiąkły ideami i tradycją «pierwszej republiki» francuskiej — «Republiki Matki».

Ale Słowacki — «republikanin z ducha» — obcy był już wtedy duchowo tradycjom i ideom jakobińskim; z ducha dziejów naszych wysnuwał koncepcje powstającej Polski, dalekie od tego, co głosił Mierosławski: od rządowej dyktatury, scentralizowanej władzy, regulaminowego porządku i karność. Wszechwładzy państwa, mającego dysponować bezwzględnie mieniem i życiem obywateli, przeciwstawiał występczną wizję złotej wolności dawnej Rzeczypospolitej, z liberum veto jako najpotężniejszym wyrazem prawa jednostki do duchowej niezależności. Pewne myślowe pokrewieństwo znalazł zapewne w wydanych w r. 1844 «*Prawdach żywotnych*» Henryka Kamińskiego. Brak śladu zainteresowania się wydanym rok później (1845) dziełem Mierosławskiego: «*Rozbiór krytyczny kampanii 1831 roku i wysnute z niej prawa dla wojny narodowej*».

Na powinowactwo myślowe między Słowackim a Kamińskim zwracali uwagę Kleiner, Ujejski, Handelsman, Pini, Terlecki. Ale postać dziejowa Kamińskiego dotąd czeka na gruntowniejsze badania, jego spuścizna pisarska na sumienny rozbiór. Zdani jesteśmy na to, co o autorze mimochodem niejako powiedział w licznych swych książkach Limanowski i na własny rzut oka na jego dzieła¹.

Najradykalniejszy z polskich pisarzy politycznych tych lat i najwybitniejszy wśród nich obok Mierosławskiego przedstawi-

pass.; *Historia ruchu rewolucyjnego 1846 roku* (1913), str. 90-107 et pass. Późniejsze badania nie prawie nie przydały, mimo rozszerzonych wtedy niezmiernie zasobów źródłowych, dzisiaj, niestety, niepowrotnie straconych (zbiory Rapperswilskie — warszawskie Archiwum Akt Dawnych). Pisać to, mam do dyspozycji, jako jedyne dostępne mi dziś źródło, dzieła Mierosławskiego i mowy oraz inne okrucy literatury i publicystyki Wielkiej Emigracji.

¹ O Kamińskim: Limanowski, *Historia Demokracji Polskiej* (1901), str. 296-9; *Historia ruchu rewolucyjnego 1846 roku* (1913), str. 23-36. Dzieła Kamińskiego: *Filozofia ekonomii materialnej* (1845); *O prawdach żywotnych narodu polskiego* (1844); *Katechizm demokratyczny* (1845).

ciel młodego pokolenia, podchorążych i podporuczników ostatniej wojny, Henryk Kamiński, filozof i ekonomista, przenosił dialektykę Hegla w dziedzinę rozwoju świadomości społecznej. Odmienne od Marksa, widział w panowaniu człowieka nad ziemią panowanie ducha nad materią, postęp ludzkości w wyzwaniu się ducha spod przemocy materii; a choć widział antynomię między wrodzoną człowiekowi żądzą własności, która jest następstwem koniecznym samoistnego indywidualnego, bytu człowieka, a interesem powszechnym, to widział w społeczności ludzkiej syntezę, nie zaprzeczenie praw indywidualów, choć widział zmienność form społecznych i ścieranie się sprzecznych tendencji, nie uznawał konieczności walki klas, oczekiwał że z powszechnego światła wyniknie postęp bez walki, w imię solidaryzmu w walce z przyrodą. Głosił obowiązek pracy i prawo do pracy. Skłaniał się ku zbiorowemu, gminnemu władaniu ziemią. Przewidywał triumf idei «powszechnej jedności wszystkich ludzi», której wynikiem będzie «nierozzerwana pomiędzy nimi miłość». Był to najczystszy idealizm, jakże daleki od ducha walki i nienawiści klasowej, późniejszego nieco (1848) «Manifestu komunistycznego» Marksa.

W swym dziele «O prawdach żywotnych» głosił Henryk Kamiński, że Polska «odzyska niepodległość przez rewolucję społeczną bez rozlewu krwi bratniej, a w powszechnej całego narodu jedności». Rewolucja społeczna, wyzwalać masę ludową i oddając jej posiadanie ziemi, wyzwolić ma siły tak ogromne, że przeważą połączoną potęgę trzech rozbiorów. W jego przekonaniu rewolucja ta jest dojrzała w opinii szlachty. «Braterska jedność całego narodu... będzie niesłychaną radykalną rewolucją wśród powszechnej zgody dokonaną». Gdyby jednak «szkaradny egoizm» posiadających stanął w poprzek, może dojść «do walki wewnętrznej i rozlewu krwi». «Czyż nie lepiej aby oni zginęli niż Polska? Cóż życie pojedynczych indywidualów w porównaniu ojczyzny?...» «W powstaniu — szedł dalej Kamiński — powinien panować bezwarunkowo terroryzm, a tym silniejszy im większe niebezpieczeństwo grozi... Dosięgnię (on) nie tylko pojedyncze osoby, ale i całe klasy, gdyby przedstawiać miały kontrrewolucyjną masę». Terroryzm francuski za Rewolucji uważa za «dzielne lekarstwo» i skłonny jest zagrozić nim uprzywilejowanym właścicielom.

Dzieło swe dedykował Kamiński Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego, jako «ojcom sprawy polskiej», ale z mocnym zwrotem: «posłuchajcie, co mówi młode natchnienie» i z przeciwstawieniem drugorzędnej roli emigracji przewodniczej roli kraju. Występował jako rzecznik jego i młodych. Od pamiętnego manifestu Towarzystwa Demokratycznego w zasadach nie odbiegł, choć mocniej wystąpił u niego społeczno-rewolucyjny charakter powstania z ewentualnością walki domowej i z przyjęciem terroryzmu jako systemu a priori i bez zastrzeżeń. Głębokie różnice dzieliły natomiast Kamińskiego od Centralizacji, gdy szło o formy spisku i powstania. Centralizacja chciała or-

ganizacji scentralizowanej i rządu z dyktatorską absolutną władzą, Kamiński odrzucał wszelką władzę centralną w okresie przygotowania i w pierwszych fazach rewolucji. Centralizacja chciała przygotowania w konspiracji kadr powstania, broni, nie odrzucała pomocy obcej; Kamiński wszelkie przygotowania wyszydzał, jako «dziecinna zabawka». Co do obcej zaś pomocy był zdania, że «Polak do nikogo oglądać się nie powinien, bo na to jest stworzony, by się na niego wszyscy oglądali...». «Lud wielki — pisał — do ludów silnie czynem przemawia, a wszelkiej innej mowy powinien się wyrzec...». Ślusznie zwracano uwagę na związek tych myśli z późniejszymi wierszami Słowackiego: «A gdy prawdziwie Polacy powstaną...» i «Wiwat Pozańcańca...».

Dla Kamińskiego wszystko sprowadzało się do «ocucenia z letargu masy bezwładnej i skierowania jej ciosów na wroga» przez «apostołów» ruchu, spiskowców. Miała to być «konfederacja chłopska»; gromady miały same wyłonić dowódców, łącząc się miały ustanawiać władze, rady wielogłowe, z których dopiero w miarę rozwoju powstania wyłoniłyby się — zbiorowe również — władze prowincjonalne i centralne. «Wojna ludowa», którą głosił Kamiński, miała być (na co nie bez racji Mierosławski się zżymał) zaprzeczeniem wszelkich dotychczasowych pojęć o wojnie, z odrzuceniem jej zasad i wskazań, przy mocnym zarzekaniu się przeciw wszelkiej hierarchii dowódczej. «Szał jest siłą powstania... połączenie złe i pedantycznie rozumianej teorii z powstaniem musi je osłabiać...». Szukając dla tego nowego sposobu wojowania przykładu, wskazywał Kamiński na bunt kozackie i koliszczyznę.

Otóż ta teoria powstania, którą słusznie Mierosławski zwał anarchiczną, mogła go doprowadzić do pasji, a co ważniejsza, musiała działać rozkładowo i destrukcyjnie, prowadzić do działań nieodpowiedzialnych, nieskoordynowanych, samobójczych.

Z właściwą sobie odwagą myśli przewidywał Kamiński i tę możliwość, że przebudzona z letargu masa chłopska zwróci się nie przeciw zaborcom, ale przeciw właścicielom ziemskim, że «lud w swej ciemnocie» może «chwycić się rewolucji społecznej bez powstania narodowego» i pojąć ją «pod postacią srogięj zemsty i walki wewnętrznej». Na to widzi jedną tylko radę: kryć się po lasach, do ludu przemawiać, starać się «skierować na wroga popęd ludu», przekonać go, że powstanie niesie mu «rękomię bytu». Sporadyczne reakcje ludu przeciw warstwie posiadaczy są dlań złem koniecznym. «Cóż znaczy życie kilku tysięcy ludzi w porównaniu pomyślności wszystkich następnych pokoleń dwudziestomilionowego narodu? Tu jakby przewidział Kamiński rabację — i nie cofnął się przed jej wizją; nie wyciągnął też wniosków z własnego twierdzenia, że «niewolnik nie zna ojczyzny»¹⁾.

1) «O prawdach żywotnych», str. 56, 159-160, 214-5, 320-3. Niektóre z tych myśli Kamińskiego uszły uwagi historyków litera-

Książka «*O prawdach żywotnych*» miała według świadectw Kosińskiego, Wiesiołowskiego i innych niezmierny wpływ na umysły w kraju. Autor jej był w ostrym sporze z Centralizacją i z działającym z jej ramienia komitetem poznańskim. Od roku 1843 part do niezłomnego wybuchu. W roku 1845 jego zwolennicy przeforsowali decyzję.

Wśród jego uczniów i stronników młodzieńczy jego kuzyn i przyjaciel, kasztelan Edward Dembowski, legendarny spiskowiec i emisariusz, był jakby personifikacją wskazań «*Prawd Żywotnych*», realizował je działając sam jeden za stu. Jak on głęboko przejęty zagadnieniami społecznymi, heglista, metodą dialektyczną uzasadniał nadejście komunizmu jako antytezy ustroju liberalno-republikańskiego; na razie przecież uwłaszczenie chłopów było dlań pierwszym celem rewolucji. Zwolennik terroru, między innymi Franciszkowi Smolce — dawnemu węglarzowi, teraz czynnemu w lwowskim Komitecie rewolucyjnym — wygrażał zsubienicą¹⁾. Jakimż fenomenem był ten chłopięcy niemal działacz rewolucyjny, dziecko warstwy arystokratycznej, dla austriackiego tajnego radcy, barona v. Sala, który dość zresztą przenikliwie pisał o nim: «Był on wolny od wyrzutów własnego sumienia przez pogląd, że skoro on sam w sobie zabił całkowicie arystokratę i skoro ci, którzy pójdą zechcą jego śladem, niczego ze strony rewolucji nie potrzebują się obawiać, to ci inni wogóle nie zasługują na to by żyć²⁾. Było na tym coś prawdy. W pojęciu Dembowskiego i wielu młodych radykałów «rewolucja społeczna» oznaczała kres nie tylko poddaństwa i pańszczyzny, ale i samej klasy ziemiańskiej, dla której jedną tylko widział drogę: całkowite zaparcie się siebie, zespolenie z ludem. Do chłopów zwracała się jego propaganda z hasłem: nie ma panów i szlachty.

Przyjacielem bliskim Dembowskiego był młody poznański poeta, Ryszard Berwiński, o którego «rodowodzie poetyckim» doskonale książkę napisał Terlecki. W rodowodzie tym wpływy ideowe Kamińskiego i Dembowskiego niepomierną odegrały rolę³⁾. Z pobytu Dembowskiego w Brukseli w 1844 roku, zbiega się w czasie wydania tam dzieła Kamińskiego «*O prawdach żywotnych*», ukazanie się dwóch odezwo lelewelowskiego «Zjednoczenia» o silnym zabarwieniu społeczno-rewolucyjnym, a także ukazanie się w Brukseli drugiego tomiku poezji Berwińskiego⁴⁾. Cały ten tomik ma silne zabarwienie społeczno-rewolucyjne, technie nienawiścią ku arystokracji, szlachcie, klasom

tury, biorących go w obronę przed Krasińskim. Po prostu nie przeczytali w całości tych bez mała 500 stron drobnego druku.

1) O Dembowskim M. Stecka w «*Stowniku Biogr.*» gdzie wskazuje bibliograficzne.

2) Moritz v. Sala, *Geschichte des polnischen Aufstandes* (1867), str. 110.

3) T. Terlecki, *Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego* (1937), str. 127-133, 144, 152-167, 175 i passim.

4) R. W. Berwiński, *Poezje*, cz. II (1844).

uprzywilejowanym. Trafiają się tu zwroty, zdolne silnym urazem wryć się w dusze współczesnych. Tak pod adresem Czartoryskiego i jego obozu monarchicznego jest tam zgrzytliwe szyderstwo: «Nim z pieluch królem wyjdzie stary książę... krew zmyje stryczki i noże». Najmocniejszy w wyrazie, najlepiej skomponowany wiersz Berwińskiego pt.: «Marsz w przyszłość. Krok podwójny» kończy się dobitnie: «...Więc gdy stary Bóg nie słucha, pomódlmy się do obucha, uściśnijmy noże, i dalej za morze krwi, za czerwone morze».

Noże — broń poświęcana hajdamaków — awansowały już u Kamińskiego i Stolzmana na jedną ze zwycięskich broni wojny ludowej czy partyzanckiej i pieśń powstańcza głosić będzie: «żyjmy zemstą i święmy ją nożem». Ale tutaj — u Berwińskiego, w tej polskiej pieśni nienawiści (ileż mocniejszej, niż «das Lied vom Hasse» Herwegha) — noże odzyskiwały tamto dawniejsze znaczenie — broni chłopskiej zemsty klasowej¹⁾.

«Hajdamackie noże» były więc i w druku i na ustach ludzkich, zanim się znajdą w psalmie Krasińskiego ... i były w umysłach młodych entuzjastów «jakieś sny czerwone, zaludnione czartów gminem» .. od których dreszcz przechodził kraj i emigrację.

3

Sędziwy «król de facto», książę Adam Czartoryski, przez demokrację jako główny wewnętrzny wróg zwalczany namiętnie, wbrew temu, co o nim wmawiano w emigrację i kraj, ani był przeciwnikiem powstania, ani uwłaszczenia chłopów. Oczywiście, nie akceptował formuły Mierostawskiego, że musi być «jakie bądź» powstanie, nie chciałby podejmowania walki bez widoków zwycięstwa. Ale już w roku 1834 stwierdzał w instrukcji dla kraju, że «Polska nie może powrócić do swego życia, tylko przez powstanie silne, powszechne w całym kraju i w porę zrobione», a zasady te rozwijał po dziesięcioleciu, 1844, żądając skupienia całego narodu, usamodzielnienia i uwłaszczenia włościan i takiego urządzenia powstania, «aby właściciele wystąpili w nim jako dowódcy ludowego ruchu». Co więcej stwierdzał, że nie można oczekiwać od rządów, aby wojnę wydały z przychylności dla nas. «My tylko własnymi siłami i własną przezornością i jednością możemy stanąć na nogach; zaś stając się, znajdziemy wszędzie pomoc...»²⁾. Przetłumaczone na język Krasińskiego wskazania te brzmieć by mogły: «Czas uderzyć w strunę drugą — w czynów stał... «Poprowadzi lud do bitwy, kto prowadzić lud ten umie; szlachta Polski — Rusi — Litwy...».

W dorocznej mowie trzciomajowej 1845 r.³⁾ której każde

1) Na prawdopodobny związek wiersza Berwińskiego z «*Psalmami Przyszłości*» zwrócił uwagę Terlecki, o. c.

2) Handelsman, *Francja—Polska*, str. 240 i nast.

3) Czartoryski, *Mowy* (1847), str. 74-81.

słowo ma tutaj znaczenie, książę mówił o szerzonym przez naszych ciemieńców mniemaniu «że-lud, uzbroiwszy się kiedykolwiek, nie uderzy na nich, ale najprzód na rodaków, na starszych braci broń obróci; że Polacy ostrzą noże nie na wrogów, ale aby między sobą się zarżynać, a stąd wyprowadzają (zaborcy) logiczny wniosek... że do nich przystawać i pod ich skrzydła pokornie chronić nam się trzeba». Wołał: «Biada po trzykroć biada krajowi, który by do takiej zszedł nicości, iżby musiał do cudzoziemców, sprawców wszystkich nieszczęść i do ich dla siebie śmiertelnej udawać się opieki». Odpychał myśl o takim poniżeniu, wrogom przypisywał wieści «o grożącym niby Polsce, tak nazwanym komunizmie, o gotowanej przezeń rzezi i wojnie domowej». Odpowiedział na nie słowami gorącej wiary w lud polski; mówił o szerzącym się wśród niego zapale jako źródle nadziei; dla katowanych chłopów-spiskowców (a byli to skazańcy ze spisku księdza Ściegiennego) miał słowa współczucia i miłości. Mówił o «samobójczym pożarze»; gdyby w jego gruzach «rękami synów Polska była pogrzebiona, podniósłby się zaprawdę głośny śmiech nieprzyjaciół i chór szatański, szydzący z sprawiedliwości, z miłości Ojczyzny i z wszelkiej cnoty». Ale zapewniał, że mówi to «bez najmniejszej obawy»: «Polska nie poświęci dobrego imienia, pocziwej sławy i świetnych kiedyś przeznaczeń, nigdy nie przedstawi innym narodom obrazu największej niedorzeczności, to jest zakochania się w szaleństwie i rozboju i napierania się koniecznie własnej zguby». «Cóżkolwiek los zrządzi, cóżkolwiek Opatrzność dopuści, czy ruch rozpocznie się w kraju powszechny, jednoczesny, urządzony, czy broń Boże, biedni ludzie porywać się będą bez ładu, bez przewidzenia i nie w porę... nie ruszą atoli w żadnym razie na swoich, na własnych ziomków, aby własną ojczyznę rozdzielić, złupić i zagubić; lecz ruszą w zamiarze ocalenia jej, ruszą na ciemieńców, aby z nich polską ziemię oczyścić. Dodał jednak, co dyktowała mu głęboko nurtująca troska: «A jeśli kiedykolwiek lud pobłądzi, nie będzie to jego wina, ale wina zdrajców, niegodziwych poduszczeń, a raczej będzie wina i występna, nie do darowania wina ludzi wyższego światła i położenia, którzy zaniedbują ludem się trudnić..., ...nie postarają się jak powinni o jego ufność i nie wzbudzą w nim synowskiego, czy braterskiego przywiązania...». Innymi słowy: szlachta polska z polskim ludem, a domyśleć się można: jeśli ma być powstanie — to z powstaniem.

Cudowna ta mowa pełna wiary, nadziei, miłości bratniej, a w ostatnim przytoczonym tu ustępie tragicznie prorocza, zawiera pełną polityczną treść «*Psalmów przyszłości*», szczególnie zaś pisanego latem tegoż roku «*Psalmu Miłości*».

Mąż stanu natchnął poetę-filozofa. Nie przeniósł się jednak na «*Psalm*» duchowy klimat mowy majowej: klimat wyrozumiałości, tolerancji, jedności bratniej.

Następna mowa księcia, na 29 listopada tegoż roku¹⁾ stanowiła krok dalszy ku przyłączeniu się do demokratycznego powstania; wyraźnie zaznaczyła się myśl, że przez akces szlachty należy rewolucję społeczną, która jest bliska, przeobrazić w powstanie narodowe. Niedwuznacznie stawiał Czartoryski postulat uwłaszczenia chłopów, jako «jedynej miary, która nas zastąpi od wszelkich różnorodnych, krzyżujących się socjalnych wstrząśnień, może od krwawych domowych reakcji i która w wielkim narodowym ruchu połączy wszystkie zdania i partie». Ofiar od szlachty «po wiekowych błędach i winach» domaga się «i miłość Ojczyzny i miłość chrześcijańska i konieczność i sprawiedliwość».

«*Psalm Przyszłości*» były już wtedy wydrukowane. Mowa ta, od «*Psalmu Miłości*» w tonie bardzo odmienna, już nie mogła nań wpłynąć. A przyjął ją Krasieński «ze smutnym niedowierzaniem»²⁾.

4

Z trzech «*Psalmów Przyszłości*», wydanych we wrześniu 1845, dwa pierwsze, «*Psalm Nadziei*» i «*Psalm Wiary*», powstały już w 1844 roku. «*Psalm Miłości*» pisany był wiosną, a ukończony latem roku 1845. Jeśli w «*Psalmie Wiary*» dominował nakaz wytrwania w cierpieniu, to w «*Psalmie Nadziei*» była wizja triumfu sił duchowych, nakaz działania, zapowiedź czynu. W «*Psalmie Miłości*» rzeczywistość polityczna 1845 roku wysuwa się na plan pierwszy.

Komentarza do «*Psalmu Miłości*» szukać należy w tych politycznych informacjach i impulsach, jakie musiały dojść do świadomości Krasieńskiego w tym czasie. Ułatwić może poszukiwanie fragment utworu, opatrzonego przez Krasieńskiego tytułem «*Rok 1846*. Dramat zaczęty z ostatnich wypadków lutych (lutowych?) 1846 r.». Jedną to jest właściwie scena, w salonie warszawskim, godna najświetniejszych «*Nieboskiej*»; to co mówi «obywatel» o powstaniu, spisku, sprawie chłopskiej nie tylko wydaje się wyrazem własnych poglądów autora, ale uderzająco jest zbieżne z polityką Czartoryskiego. Tu nie ma politycznego zarzekania się przeciw powstaniu, ale stwierdzenie beznadziejności powstania bez broni, bez prochu, bez wojska. Młodzież spiskująca i agitująca za wybuchem potraktowana z wyrozumiałą sympatią, przed zarzutem komunizmu brana w obronę. W sprawie chłopskiej stanowcze wypowiedzi za zniesieniem własnymi rękoma pańszczyzny, tylko, że «obywatel» — jak zapewne większość patriotycznego obywatelstwa ziemskiego w Kongresówce — jeszcze nie wychodzi poza oczynszowanie, słowa uwłaszczenia nie wypowiada.

¹⁾ «*Mowyp.*», str. 82-94.

²⁾ St. Tarnowski, *Zygmunt Krasieński* (1912), t. II, str. 211; z listu Krasieńskiego do St. Małachowskiego, 20 stycznia 1946.

Fragment urywa się z wejściem nowej osoby, nazwanej Edwardem — imię Dembowskiego. «Obywatel» ma się zetknąć z zwracemwistością propagandy rewolucyjnej¹⁾.

Latem 1845 roku Krasiński musiał znać trzeciomajową mowę Czartoryskiego — była ona przecież wydarzeniem dla emigracji. Bliska musiała mu być myśl przewodnia polityki księcia Adama, idea Trzeciego Maja, «kojarzenia przeciwności przez wznoszenie ich», postępu bez rewolucji. W «*Psalmie Mitości*» powtarzał wskazania księcia Adama, przetopione w tygłu własnej swojej filozofii, wyrażone wierszami o suchym, twardym wydźwięku, przy czym rymy męskie mocno akcentują nakazy i przestrogi, «psalm» staje się niemal wierszowanym manifestem, a forma tytułowi uraga.

Gdy każe Krasiński przeciw piekłu podnieść «kord», «dać żniwiarzom wszystkim grunt, rozplomić święty bunt», gdy woła «z szlachtą polską polski lud», gdy zapowiada, że to szlachta «poprowadzi lud do bitwy» — wszystko to jest zgodne z postawą Czartoryskiego. Gdy żąda, by «nie nie spychać nigdy w dół, lecz do coraz wyższych kół iść przez drugich podniesienie», wyraża innymi słowami ideę Trzeciego Maja. Gdy ostrzega: «nie nęcić polski lud, by niósł szlachcie polskiej mord», gdy potępia ideę rewolucji społecznej i terroryzmu, gdy woła «hajdamackie rzucicie noże» — daje on wyraz nieporównanie mocniejszy tym ostrzeżeniom, które, jakże ogólnie, występowały w mowie księcia Adama.

Nigdzie tu nie ma rozbieżności w politycznej treści. Jest za to rozbieżność tonu, różnica emocjonalnego zabarwienia. Książę Adam nie chciał oskarżać radykałów, których Krasiński oskarża. Książę upominał szlachtę, którą Krasiński gloryfikuje.

Są w wystąpieniu Krasińskiego silne elementy emocjonalne, niemal osobiste, może przywiezione z podróży do kraju. W samym jego pseudonimie «Spirydion Prawdzicki», przeciwstawionym «Filaretowi Prawdowskiemu»-Kamieńskiemu — zaznacza się siła reakcji na jego obie książki — może nie na książki tylko. «*Katechizm Demokratyczny*» z 1845, zdawał mu się bardziej jeszcze od «*Prawd Żywoćnych*» zwiastować terror krwawy²⁾. Nie znamy dobrze stosunków wzajemnych tych dwóch ludzi. Po aresztowaniu Kamieńskiego przez Rosjan, Krasiński pisze o nim w listach jakby o kimś dobrze znajomym i bliskim, wysilając się przy tym, by odwrócić uwagę od jego politycznej roli. Nie wiemy również, jakie miał on odgłosy propagandy

1) Płni, w swej monografii o Krasińskim odrzuca przy interpretacji «*Psalmów*» ten fragment, jako (zdaniem jego, zdaje się mylnym) wcześniejszy, pisany jak sądzi 1844; ale jeśli tak, byłby on tym cenniejszym źródłem, by ustalić co Krasiński w chwili powstania «*Psalmów*» myślał o praktycznych zagadnieniach polskiej rzeczywistości.

2) Krasiński, *Listy*, II (1883): list z 11 lipca 1845 do Adama Solтана.

Dembowskiego — co byłby powiedział «Edward» w niedokończonym dramacie. Jest świadectwo, że w roku 1844 w Warszawie ktoś z młodych przywódców ruchu rewolucyjnego widział się z Krasińskim, że starły się ostro ich poglądy. Wzmianka o tym, bardzo oględna, zda się wskazywać na Dembowskiego¹⁾. Domyślać się możemy, że on kojarzył się Krasińskiemu z «*Marszem w przyszłość*» Berwińskiego — z nożami i rzezią. Glorifikacja szlachty w «*Psalmie*» — bardzo zresztą nie przekonywująca w treści i wyrazie²⁾ — była mową obrończą wobec grożącego wyroku społecznej i politycznej, jeśli nie fizycznej zagłady.

5

Na swych «wyżynach ducha», pisząc swe «*duchów świętych wojny święte*», Słowacki musiał przecież widzieć błyski «*przedburzy*». Od lat już czuł, że nadchodzi czas, gdy lud będzie zwyciężać, że ludy wkrótce «będą jak bogi» — wszechwładne; ostrzegał w «*Beniowskim*»: «Czujcie, bo tętno już waszego chodu w uszach wysokich ludzi grzmi wyraźnie». A jego «nienawiści dawne i przyjaźnie» odżywały wśród toczącej się walki politycznej.

Mimo tylu świetnych studiów historyków literatury — Kleinera i Ujejskiego zwłaszcza — nad treścią myśli Słowackiego w owe lata, nie sądzę, by wszystko nam było wiadome, by doceniono zwłaszcza doniosłość wpływów węglarskich na świat jego pojęć, uczuć, na jego wyobraźnię. Jeśli — jak wykazał Chrzanowski — wolnomularstwo było dla «*Ody do Młodości*» «*chlebem macierzystym*», to z równą słusnością wykazać by można, że węglarstwo było nim dla «*Kordiana*», «*Podróży na Wschód*», «*Beniowskiego*». A chociaż w inny świat pojęć wzbila się myśl poety w okresie «*Króla Ducha*», to jednak w zętnięciu z groźną i porywającą rzeczywistością dziejową wracało wszystko: i wiara, że ludy ciągną jak łańcuch żurawi w postęp, wiara w ich wszechmoc, w ich nieomylnność; wiara w triumf sił moralnych nad materialnymi, w zbawczą moc entuzjazmu i poświęcenia, w konieczność walki i ofiary. Sprawa powstania była dlań prosta: «...Młodych śmierć nie może minąć — tak nam ojców mądrość gada; gdyby spytać, jaka rada, Leonidas, wódz spartański, powiedziałby: iść i ginąć...». Wracają też nienawiści dawne: zawzięta nienawiść do papieskiego Rzymu, do monarchii i królów, rządów i biurokratów, do arystokratów i plutokratów, do całego istniejącego porządku i wszystkiego, co chce «powrócić w stare łoża» strumienie wydarzeń dziejowych. Zaostrzał się stosunek «republikanina z du-

1) St. Tarnowski, *o. c.*, II, 174-5.

2) Odcina się od niej nawet Tarnowski, *o. c.*, II, 198: «Przeszłość Polski, a w niej szlachty, widział w świetle idealnym, a niezupełnie prawdziwym...».

cha» do obozu monarchicznego na emigracji i samego księcia Adama, choć zachowywał dlań wiele szacunku i coś jakby z synowskiego uczucia. «Wyście wynieśli — wypominał jego stronnikom — dawne królów prochowiska z kośćmi w trumnach...». Daleko szedł w negacji dziedzictwa przeszłości i tradycji w wierszu «Wyjdzie stu robotników». Za zawiezaniem ducha spalone tu stare sztandary a «Masy rzekły hosanna». I nadal zrywać chciał z Polski «plachty ohydne, tę Dejaniry palącą koszulę...».

W pismach Henryka Kamińskiego mógł Słowacki odnaleźć duchowe pokrewieństwo. Bliską mu była myśl powstania bez oglądania się na pomoc cudzą, myśl olbrzymiej chłopskiej konfederacji, negacja wszelkich form tradycyjnych, regularnych, wszelkiego ustalonego porządku. Nie przerażała go wizja rewolucji. Nie przerażał skrajny egalitaryzm — bo «któż inny jest jak gmin?» W myślach i działaniach «Kamińszczyków» Dembowskiego były dlań «duch, ogień i młodość orla i żywa», co «duchem porywa i z ducha czerpie...».

«*Psalm Miłości*», wzbudził w nim gwałtowny sprzeciw. Wczytał w nim hasło dane szlachcie do przeciwstawienia się ruchowi ludu. Pobudki wystąpienia Krasińskiego sprowadzał do strachu przed rzeką, przed terrorem, a jego «hajdamackie rzucie noże» uznawał za zniewagę ojca — bo «polski lud to ojciec twój». Właśnie ten «od ludu rów i przedział», ta obelga rzucona ludowi mogła sprawić, że «w ognjach Bóg wybuchnie». Uderzał więc w przeciwnika z całą wulkaniczną potęgą geniuszu w wierszu, będącym wedle samego Krasińskiego «pieśnią jedną z przedziwności języka polskiego, brzmiącą cudownymi dźwiękami, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczoną». Wyczuwając związek myślowy między «*Psalmem Miłości*» a mową Czarotorskiego, ponad głową Krasińskiego godził w obóz Trzeciego Maja i w starego księcia, który — jedyny godny przedstawiciel tradycji szlacheckiej, «swej godności już nie trzyma». Stając się reprezentantem monarchizmu «marą króla — zgnit z królami» — przestał istnieć jako moralny wódz szlachty — a może narodu. «Dziś go nie ma i was nie ma»¹⁾. Odrzucał hasło «z szlachtą polską polski lud», odrzucał myśl o przewodnictwie szlacheckim w powstaniu. «W tych magnatach serce chore, proch im sercem i proch rdzenia». Odrzucał sztandar tradycji «z nędznej, starej plachty». Jedyną wskazywał drogę: «Ale twardo, ale jasno wśród narodu swego stać..., świecić czynu tarczą własną...».

Czy rzucając Krasińskiemu urągliwe pytanie: «Kto i gdzie ci groził nożem» zapomniał Słowacki o pogrózkach Kamiń-

¹⁾ Wbrew oczywistości, Pini próbował wytłumaczyć, że słowa «Jam jednego znał szlachcica» odnoszą się do Kościuszki, którego ani Słowacki nie znał, ani nie mógł w nim widzieć reprezentanta szlachty, ani widzieć w nim «marę króla». Wątpliwości usuwa proste zestawienie z listem Słowackiego «Do Księcia A. C.» (druhim), gdzie to samo powiedziane innymi słowami.

skiego czy Berwińskiego? Może raczej sądził, że groźby te, to tylko przestroga dla tego, kto się «kłada wstecz kamieniem», taka sama, jak jego własna: «Gotów znowu Bóg wybuchnąć, z wichrów uwię twarz i lice i na ciebie, jak na świecę isę — i dalej pójść — i zdmuchnąć».

Jak wiadomo «*Odpowiedź na Psalm Przyszłości*», napisana późną jesienią 1845 roku, nie przeznaczona zrazu do druku, nie rychło doszła ręk Krasińskiego w autografie poety. Zanim ją dostał, zaczęły napływać wieści o tragedii powstania 1846 roku i rzezi galicyjskiej.

6

Tragedia roku 1846 czeka dotąd na gruntowne badania historyczne. Poza dobrą rozprawą Szaroty o ostatnich dniach Rzeczypospolitej Krakowskiej, dobrą monografią Tyrowicza o Tyssowskim, kilkunastu dyktatorze powstania krakowskiego, nie wyszliśmy dotąd poza stare, sprzed pół wieku prawie prace Schnür-Peplowskiego, Ostaszewskiego-Barańskiego, Bronisława Łozińskiego, Limanowskiego. Nie wyzyskała historiografia Polski odrodzonej tak pomyślnych warunków badań nad tym okresem, jakie dawało udostępnienie naraz akt namiestnikowskich i audytoriatu polowego w Warszawie, akt gubernialnych i sądowych we Lwowie, papierów Towarzystwa Demokratycznego sprowadzonych z Rapperswilla do Warszawy, papierów Hôtel Lambert w Krakowie, przy czym łatwo dostępne były również archiwa wiedeńskie. Dzisiaj lwia tego część w popiół obrócona, a w nim pogrzebana niejedna tajemnica przeszłości. Gdy idzie o właściwe wypadki galicyjskie, dotąd nie przeciwstawialiśmy niczego równie źródłowego austriackiej apologetycznej historii tych wydarzeń, napisanej przed 80 laty przez jednego z najpoważniejszych i najlepiej poinformowanych ich uczestników, wysokiego dygnitarza, ku obronie honoru biurokracji cesarskiej¹⁾. Z apologii tej nie ostanie się teza, że «kontrrewolucja chłopska» była czymś czysto spon-tanicznym, od zachęty i kierownictwa urzędowego zgola niezależnym; obaliły ją ogłoszone przez Bronisława Łozińskiego dokumenty. Natomiast pozostaje do wyświeatlenia inna sprawa: czy istotnie wystąpienie chłopskie przeciw dworom nie było w jakiejś mierze następstwem propagandy radykalnej, przez Austriaków nazywanej komunistyczną; czy ciemne masy, od lat budzone wezwaniami do oswobodzenia się od niewoli pańszczyźnianej i cesarskiego panowania, nie były przez to właśnie podniecone do rozprawy z «panami», do czego skłonne były sprowadzić rzecz całą, skoro w tę stronę zwracało się mściwe poczucie krzywdy. Że takie było przekonanie nie tylko dygnitarzy austriackich, ale i polskiego ziemiaństwa, wątpliwo-

¹⁾ Moritz v. Sala, *Geschichte des polnischen Aufstandes d. J. 1846* (1867).

ści zda się nie ulegać, a «*Pamiętniki*» Franciszka Wiesiołowskiego, nieszczęsnego «wielkorządcy» Galicji z ramienia powstania, są jego apologią, niezupełnie szczerą, przeciw temu właśnie oskarżeniu. Z przytoczonych przez barona Sala dokumentów, na front wysunął on odezwę Juliana Goslara, bliskiego Dembowskemu, szerzoną wśród chłopów jesienią 1845 roku; aż dwustu rzekomo ludzi było użytych do jej rozpowszechnienia. Ani streszczenie jej u Wiesiołowskiego, ani wzmianka Limanowskiego nie dają właściwego pojęcia o jej treści. Charakter klasowy rewolucji narzuca się tu dobitnie; ma to być rewolucja przeciw pańszczyźnie i przeciw szlachcie; chłop nie ma wierzyć, by szlachta dobrowolnie dała mu wolność. Ma oswobodzić się sam, a następnie oswobodzić kraj od rządów cesarskich, które zawsze będą utrzymywać niewolę chłopów¹⁾. Odezwa musiała na chłopach wywrzeć wrażenie takie, że przede wszystkim rozprawić się trzeba z panami; wywody o potrzebie pozbycia się Austriaków mniej przemawiały do instynktów galicyjskiego ludu, nawykłego widzieć we władzach cesarskich raczej ochronę przed nadmiernym uciskiem pańskim. Czy odezwa Goslara była odosobnionym wypadkiem, można powątpiewać. Tyssowski w zeznaniach, składanych względnie dobrowolnie, przyznawał, że propaganda demokratyczna wznęciła ferment wśród chłopów a komunizmem wystraszyła szlachtę²⁾. W toku samych wydarzeń stosunek jego i Dembowskiego do wiadomości o rzezi nie od razu był jasny. Dembowski uważał pono «rabację» za «łagodne wyrównanie uraz». Tyssowski za fakt «sprzyjający rewolucji»³⁾. Dopiero po kilku dniach obudzili się ze złudzeń wobec grozy rzeczywistości: chłop poszedł przeciw powstaniu, za zabórczym rządem cesarskim.

Nie podobna się dziwić, że wobec straszliwej klęski, na gruzach wszystkich nadziei, w lęku o samo istnienie narodu, winiono tych, którzy ponosili odpowiedzialność za przygotowanie i wybuch powstania. Łatwo było wykazać, że na rok prawie przed katastrofą, w okresie wielkanocnym 1845, były już symptomy kontrrewolucyjnego poruszenia wśród chłopów, że później pełno było wskazówek co do obrabiania ich przez urzędników austriackich, którzy nie taili zresztą przeświadczenia, że chłop stanie po stronie rządu. Dwie były drogi: jedna to zaniechanie powstania, niezwłoczne pod naciskiem opinii publicznej przeprowadzenie zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia przez samych właścicieli — i potem długa praca uświadamiająca narodowo, jako przygotowanie do walki o niepodległość. Druga droga to było przyjęcie od razu walki z zabórczymi rzą-

dami o duszę polskiego chłopu, z dążeniem do zdobycia go przez rewolucyjny akt wyzwolenia. Zbyt mocno związany był obóz demokratyczny z tą drugą drogą, by zawrócić, mimo oczywistego śmiertelnego ryzyka.

Akces powszechny ziemiaństwa zachodnio-galicyjskiego, które poszło za wskazaniem księcia Adama, sprawy nie ocalił, przeciwnie, przyczynił się do decyzji austriackiej użycia chłopów przeciw dworom, powiększył niewątpliwie hekatombę ofiar. Gdy jednak nie zdołano ani przeciwstawić się akcji powstaniowej skutecznie i w porę, ani w porę własnymi rękami rozwiązać sprawy pańszczyzny i uwłaszczenia, nie miało ziemiaństwo galicyjskie innej rady, jak «leonidasowa» którą dawał Słowacki: iść i zginąć.

7

Z dochodzących emigrację wiadomości o katastrofie galicyjskiej od razu, jasno wypływała zbrodnia robota urzędników cesarskich. Oskarżono Austrię przed światem o zastosowanie rzezi jako narzędzia swej polityki i postawiono ją istotnie pod pręgierzem opinii europejskiej.

Powolniej, przez długie miesiące przenikały informacje o dziejach tragicznego powstania, a z nimi odgłosy dokonywującego się w opinii krajowej zwrotu przeciw inicjatorom i przywódcom ruchu, cierpkiej reakcji na klęskę, gorzkich wyrzekań i ciężkich zarzutów. Wśród nich wypływało oskarżenie «Dembowszczyzny» o współwinę w wywołaniu «rabacji». W takiej kolejności występują też odgłosy wypadków lutowych w listach Krasińskiego z 1846 i 1847 roku.

Reakcja na nie Czartoryskiego zawarta jest w jego mowie na 29 listopada 1846¹⁾. Stwierdzał Książę, że za wybuch odpowiedzialności nie ponosił, stwierdzał zarazem gotowość swego obozu, by «śpieszyć na pomoc walczącym braciom». Krytykował powstanie bez należytych przygotowań i warunków, które by mogły przedłużyć jego istnienie, jako zbrodnię. «Nie takie powstania są zdolne kraj zbudzić». Mówił dalej, że wbrew przewidywaniom stało się, czego «nigdy nie przypuszczał do myśli»: oto komunizm trafił do polskiego chłopu i «do prostych umysłów zagadał nagim i najniegodziwszym językiem». «Jakoż skoro dały się słyszeć po wsiach głosy, co dowodziły, że polskie dawne, bratnie i chrześcijańskie prawidła nie są już obowiązujące, złe pasje, których jest podostatkiem wszędzie, odbudziły się natychmiast...». Wyrażał przekonanie, że czas wyjaśni, skąd wyszło pierwsze źródło zarazy. Tych Polaków, którzy mniemali, że zaraza ta może być użyta na poruszenie mas, wzywał, by ze skrucą uderzyli się w piersi; uważał ich za równie wartych pożałowania, jak nagany. Ale «straszne przekleń-

1) Tekst w przekładzie niemieckim w załączniku u Sala, o. c., str. 339-48. Porównać podaną dalej zupełnie odmienną w duchu odezwę poznańską. — Sam Julian Goslar był wśród ofiar rabacji, związany przez chłopów, zбитy, wydany Austriakom. Jego list z więzienia podał Tessarczyk, *Rzeź galicyjska* (1848), str. 46 i nast.

2) Sala, o. c., str. 158-9.

3) M. Tyrowicz, *Jan Tyssowski* (1930), str. 137.

1) *Mowy*, str. 109-118.

stwo» spadłoby na trwających w błędzie. «Liche i nieczyste nasienie nie wyda nigdy pięknego plonu» — mówił Książę. Żądał by dokonać «poprawy siebie», uchylić czoła przed Bogiem» z tą serca pokorą, z tym ufnym oddaniem się jego woli, co zdołają podnieść ducha do najwyższej jego potęgi i stałości». Odnajdziemy te same myślowe reakcje, rozwinięte i pogłębione, w dwu nowych psalmach Krasińskiego, «*Psalmie Żalu*» i «*Psalmie Dobrej Woli*».

Piszac «*Psalm Żalu*» — na pewno nie dopiero w r. 1848, jak datują go wydawcy pism Krasińskiego — poeta bardziej jeszcze gniewem był uniesiony, niż żalem. W miarę napływających wieści wzbiało w nim oburzenie na Słowackiego, jątrzyła się rana, zadana jego ambicji inwektywą: A tyś zląkł się, syn szlachecki... Brał teraz przykry odwet w rozwlekłym wierszowanym polemicznym pamflocie, nazwanym jakby na urągowisko psalmem.

Nietyle idzie jednak o jego kłótniawą rozprawę ze Słowackim, którego tutaj — jak później w «*Dniu Dzisiejszym*» czyni rzecznikiem krwawej rewolucji społecznej, radującym się myślą, że «przeszłość cała rozdeptana przez wiek nowy», entuzjastą cepów i kłonic. Ważniejszym było ujęcie sprawy rzezi galicyjskiej w formułę: «Kiedy ziarno, siane w śmieci od wersalskich dzieci zdradą miało zejść niemiecką...». «Wersalskie dzieci» to Centralizacja Towarzystwa Demokratycznego. Przeciw niej zwraca oskarżenie Krasiński, nie wiedząc może o paroletnim konflikcie między «kunktatorską» i kompromisową jakoby Centralizacją, a «młodym natchnieniem» Kamińskich, Dembowskich, Berwińskich, Goslarów. Z tego, co podaliśmy wyżej o wydarzeniach galicyjskich i ich odgłosach w Paryżu wynika, że atak Krasińskiego na lewicę rewolucyjną nie był tak absolutnie bezpodstawny, jak przyjmuje większość historyków literatury i że miał on poprzednika, o takiej powadze, tak wypróbowanej prawdziwości i rzetelności w wypowiedziach, jak Czartoryski.

Znów była między nim, a starym księciem różnica w reakcjach. Tamten przebaczał nawet fanatykom, podburzającym masę chłopską, współczuł z tymi, którzy okupili to ofiarą życia czy wolności. W «*Psalmie Żalu*» nie ma pobłażania. I nie ma już śladu wyrozumiałości dla ludu. «Braćmi nie są, mi morderce...». Nie padła na szalę uczuć Krasińskiego chętna służba powstańcza chłopów krakowskich, samotne powstanie chochołowian. Zostało utożsamienie «powstańskiego boju» ze szlachtą i panami i przewidywanie, że znowu «tych Polski namiestników za kilka srebrników twój rozsieką Lud!»...

Jeszcze myślowymi koncepcjami nie odchodząc od linii Księcia Adama: praworządność, postęp ewolucyjny, sprawiedliwość chrześcijańska — emocjonalnie Krasiński stawiał się już wyrazicielem reakcji na rok 1846, mającej w kraju ciężko zażyć na losach sprawy chłopskiej i na przebiegu roku 1848 w Galicji, a zwłaszcza w Królestwie. Ta reakcja, zrozumiała

zresztą i nieunikniona, odbić się miała na stosunku Krasińskiego do «*Wiosny ludów*», do Mickiewicza i jego legionu, do wielkich zagadnień przyszłości Polski, Europy, świata.

Nowa ta wojna poetów wychodzi poza ramy określone niżej szkieletowemu przedstawieniu splotu wydarzeń, w których sprawy polityczne i socjalne powiązały się niezwykle silnie z twórczością wieszczów, a wśród dziejowego dramatu rozgrywały się na innej płaszczyźnie «*duchów świętych wojny świętej*».

Marian KUKIEL.

Literatura hiszpańska w XX wieku

1

U progu odrodzenia literatury hiszpańskiej, zainicjowanego przez tzw. «pokolenie 1898», które w roku bieżącym obchodzi swoje złote gody, stoi gorzka świadomość dekadencji politycznej i kulturalnej narodu, usiłowanie dotarcia do jej źródeł i znalezienia środków zaradczych. Ta «preocupación de España» jest zasadniczą cechą literatury XX-go wieku, stanowiąc o jej odrębności, a w niektórych wypadkach i o pewnym provincializmie. Osoby, specjalizujące się w zakresie krytyki porównawczej, a znające w dostatecznym stopniu piśmiennictwo polskie i hiszpańskie, miałyby wdzięczne pole do popisu.

Ten głęboki nurt troski narodowej wzbiera w literaturze hiszpańskiej jeszcze w epoce pozornej potęgi politycznej i wspaniałego rozkwitu kulturalnego. Poczynając od Francisco de Quevedo, gorzkiego satyryka i pamflicisty, współczesnego naszemu Skardze Pawęskiemu, literatura wiernie towarzyszy pogłębiającemu się upadkowi Hiszpanii, i troska ta nie zacięcha ani na chwilę nawet w epokach tak jałowych w wielkie talenty i wybitne umysły, jak wiek XVIII i XIX. Ale dopiero u schyłku ubiegłego stulecia literatura zdobywa się na coś więcej, niż rozdzieranie szat i żałobne zawodzenie dokoła trumny dawnej wspaniałości; stojąc wobec tragedii historycznej swego narodu, pisarze zaczynają docierać do jej ukrytych korzeni i znajdować odpowiedź na dręczące ich pytania. Poprzez literaturę naród hiszpański przeprowadza rachunek sumienia, szuka podobieństw i różnic w otaczającym go świecie, upewnia się w poczuciu swej absolutnej odrębności w Europie Zachodniej i tak dociera do uświadomienia sobie mrocznego sensu swej historii i osobowości. Na tej niełatwej drodze cofa się głęboko w przeszłość ku prastarym tradycjom politycznym i kulturalnym iberyjskiej rasy, a jeśli jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek szuka kontaktu z innymi narodami, to głównie po to, aby mieć możność ciągłego konfrontowania własnych wartości i upewniania się w ich pozytywnej ocenie.

Jak powiedziałem, owa «preocupación de España» sięga głęboko w XVII jeszcze stulecie. Od Quevedo, Saavedry Fajardo, i

Graciana snuje się głęboki strumień troski narodowej poprzez pisarzy osiemnastowiecznych, jak Cadalso, znakomity Feijóo i Quintana, poprzez romantyka Larre po Menendezza Pelayo i Ganiwetę, których już można uważać za bezpośrednich prekursorów «pokolenia 1898». Przegrana wojna o Kubę i Filipiny stała się tym wstrząsem, który rozpoczął nową epokę. Indywidualne bohaterstwo marynarzy i żołnierzy nie jest w stanie odrobić niedołęstwa rządów i bezsilności ekonomicznej, ogień opancerzonych okrętów amerykańskich posyła na dno drewniane fręgaty królewskiej floty i Hiszpania traci na rzecz pogardzanych yankesów ostatnie strzępy swego imperium.

Ale bardziej od przegranej wojny, przynoszącej ze sobą ostateczną likwidację minionej potęgi, przerażała co żywsze umysły głęboka obojętność z jaką przyjęło ten cios społeczeństwo hiszpańskie. Kraj był pogrążony ówczesnie nie tylko w zupełnym upadku politycznym, ale i w głębokiej abnegacji wszystkich bez wyjątku klas społecznych. Hiszpanie zatracili wiarę w samych siebie i w możliwość jakiegokolwiek poprawy. Proletariat urządził od czasu do czasu gwałtowne rozruchy, jak słynny «krwawy tydzień» w Barcelonie, wymierzony przeciw poborowi rekruta na wyprawę marokańską, ale zakończona klęską wojna przyjęta była raczej z zadowoleniem, a zresztą najbliższa korrída była ważniejsza od reform społecznych i hasła rewolucyjnych. Warstwy średnie aspirowały jedynie do pasożytniczego życia i w każdym kryzysie gabinetowym szukały możliwości szybkiego zubożenia się i zdobycia intratnych kolokacji. Wychowanie młodzieży znajdowało się po staremu w rękach kleru, żyjącego na kredyt wspaniałych tradycji dawnych wieków, o których chętnie deklamowali wszyscy, ani ich rozumiejąc, ani usiłując stanąć na ich poziomie. Literatura i sztuka ugrzęzły w płaskim realizmie trzeciego rzędu, zadowalającego się wiernym odzwierciedleniem vegetacyjnego życia, i taki Ramon de Campoamor, wyrażający uczucia szarego człowieka w najbardziej trywialnej formie, uznany został przez krytykę i przyjęty przez czytający ogół za największego poetę XIX-go wieku. Hiszpania wydawała się nieboszczykiem, którego nikt i nie będzie w stanie przywrócić do życia. «Boże Hiszpanii pokutnej — śpiewał Unamuno —, weź w dłoń mój cierpki głos, przyjmij ten lament surowy agonizującej modlitwy. Wiem, że jest struła, lecz, Panie, zważ iż trucizną ją karmia przekupnie i przedsiębiorcy, którzy udają Twą miłość... Oszustwa, ukute w złości, z ową odwieczną tradycją, służąc się Twoim imieniem, by naród głębiej pogrążyć. Sprawili, iż Twoje pismo obciąża wstręt i pogarda, pod cieniem Twego prawa plenią rabunek i zbrodnię... Bronią, by Hiszpania wypłuka popełnione grzechy i błędy, i ciężką drogą ekspiacji wróciła do Twojej łaski... Boże mojej Hiszpanii pokutnej, usłysz mój cierpki głos, weź w ręce surowy lament dziecka Twej świętej miłości, syna Twej córki Hiszpanii, głos konającego Hiszpana!»

W takiej atmosferze przychodzi do głosu młode pokolenie

literackie, które w roku klęski wojennej znajdowało się na progu dojrzałego życia. Z wyjątkiem nieco starszego Unamuno, wszyscy niedawno przekroczyli dwudziestkę: Pio Baroja miał lat 26, Azorin 24, Antonio Machado i Ramiro de Maeztu po 23; w ślad za nimi przychodzą młodszy o kilka lat Perez de Ayala (ur. 1880), Ortega y Gasset (1883), Eugenio d'Ors (1882). Tych ostatnich zwykle już się nie zalicza do «generación de 1898»; jeśli jednak nie należą do niej chronologicznie, ich postawa pisarska idzie po tej samej linii i niepokój tych czasów znajduje w nich bliższą reakcję.

«Hiszpania mnie boli» — napisze w tych latach Unamuno; «Hiszpania nas boli i będzie nas bolała jeszcze bardziej» — przyświadczy mu Ramiro de Maeztu; «kochamy Hiszpanię, ponieważ się nam nie podoba» — doda w ćwierć wieku później wybitny pisarz polityczny i ideolog młodego pokolenia, José Antonio Primo de Rivera. Stąd postawę współczesnej literatury hiszpańskiej cechuje daleko idący rewizjonizm, podkopujący się pod same fundamenty narodowej kultury, aby zbadać, gdzie i kiedy zaczął się ów proces dekadencji zbiorowej, i powiedzieć sobie otwarcie, czy jest on zjawiskiem zdeterminowanym przez samą naturę człowieka iberyjskiego, a zatem był nieunikniony, czy też działały tu czynniki przemijające i dające się przewyciężyć.

Zaczyna się poszukiwanie wiecznej duszy Hiszpanii, mozolna wędrówka do źródeł, przysypanych gruzami tylu przesądów, uprzedzeń, fałszywych legend i krańcowych opinii, raz gloryfikujących własną przeszłość bez zastrzeżeń, kiedy indziej odrzucających ją gestem rozpaczliwego obrazoburstwa. Rzecz ciekawa: literatura hiszpańska poprzednich dwóch stuleci raczej stroniła od krajobrazu; pisarze nowego pokolenia zaczynają odkrywać własny kraj na nowo, jakby w potężnych masywach Guadarramy i spalonym stepie kastylijskim chcieli wyczytać tajemnicę narodowych przeznaczeń. Wszystkie szlaki tych odkrywczych wędrówek idą niezmiennie ku Kastylii, temu surowemu, jakiś księżycowy krajobraz przypominającemu krajowi, którego widok wyrwie z ust Ortegi y Gasset'a żalostny okrzyk: «Jest że coś bardziej uboższego na świecie?!» Lwia część tych wszystkich pisarzy pochodzi z innych stron. Unamuno i Baroja to Baskowie, Azorin — lewantyńczyk, bracia Machado urodzili się w Sewilli. A jednak nie kwitnące ogrody Andaluzji, nie łagodne doliny kantaberyjskich gór, nie czarujące strony, w których «dojrzewa drzewo cytrynowe», ale właśnie wyżyna kastylijska przyciągać będzie pytające spojrzenia poetów, którzy uparli się dotrzeć do mistycznego Tobozo. Oto spalone skały, rudy gruz potrząskanej ziemi, fantastyczne wyrwy jakby wygasłych wulkanów, jałowa pustka, szary lub brunatny gład, którego gdzieniegdzie czepiają się rozczapierzone krzaki kłujących ostów. Zda się, jakiś potężny feudał przeznaczył tę ziemię na zatracenie i zwyczajem średniowiecznym, jak ów król w «Pieśni o Cydzie», rozkazał posiać żyźne przedtem pola saletrą i

siarką. Ale ta pustynna, tragiczna ziemia stała się sercem Hiszpanii, stała się jej przeznaczeniem, i właśnie tu odradzająca się literatura hiszpańska wyznaczy sobie swój tydzień rekolekcyjny. Poprzez krajobraz kastylijski pisarze zechcą zrozumieć duszę własnej rasy, wykryć czułą ręką jej bijący puls, stąd jak z gniazda orla ogarną wzrokiem całą Hiszpanię, aby wyznaczyć jej miejsce na świecie.

Widzenie ojczyzestego kraju staje się wizją tragiczną:

*Okrutne i krwiożercze jest tego kraju Bóstwo;
o zmierzchu, gdy już słońce sięgło kresu swych dróg,
zdaje się wzrok spostrzegać, jak nad przestrzenią pustą
wznosi się cień centaury, zginając w dłoniach łuk.*

*Gdzie spojrzeć: pola bitewne, ścieżki dla pustelnika
— nigdy wpośród tych pól nie kwitła Rajska Dolina —;
te ziemie są dla orłów, kraina zła i dzika,
po której wiecznie błądzi wędrowny cień Kaina.*

Ale zarówno w twórczości Antonia Machado, który napisał te gorzkie słowa, jak i u innych, następuje całkowita afirmacja tragicznego charakteru swej rasy, «skazanej» w ich świadomości «na wielkość», a znajdującej się w przejściowym upadku właśnie dlatego, że w pewnej chwili historycznej zapomniała o własnym przeznaczeniu, i poezja hiszpańska, do niedawna zastygła w bezzdiejowości, ufnie modli się o dzień Epifanii:

*.... Oczekujemy sercami drżącymi,
aż przyjdzie człowiek, który dłoń wysili
i w twardym dębie spalonej Kastylii
wyrzeźbi Boga tej brunatnej ziemi.*

Tak oto literatura pokolenia, które zaczęło od bezwzględnej krytyki swego narodu, dochodzi do nieoczekiwanego wniosku, że dekadencja Hiszpanii polega właściwie na odejściu od swoich wartości rasowych, że próby scudzoziemczenia, mechanicznej europeizacji stały się najistotniejszą przyczyną zła. Rewizjonistyczne ataki na przeszłość hiszpańską doprowadzają do apoteozy tej przeszłości, pogardliwy stosunek do hiszpańskich osiągnięć naukowych i artystycznych ustępuje miejsca podziwowi, aż wreszcie hasłom pozytywistycznym poprzedniego okresu («Zeuropoizować Hiszpanię!», «Należy iść z postępem stulecia!», «Trzeba się uwspółcześnić!») Miguel Unamuno przeciwstawi harde żądanie «hispanizacji Europy»!

Zanim to się stało, konieczne było odrodzenie wiary w samych siebie i we własne narodowe wartości, i tu nie można pominąć milczeniem znakomitego krytyka, Marcelina Menendez'a Pelayo, bez którego «pokolenie 1898» byłoby nie do pomyślenia. Autor «Heterodoxów hiszpańskich» zajął od początku i

wbrew nastrojom epoki stanowisko zdecydowanie tradycjonalistyczne i ortodoksyjne katolickie, a dzieło jego życia zostało określone przez następców jako «rekonstrukcja kultury hiszpańskiej poprzez właściwą — po raz pierwszy od stu lat — interpretację narodowej historii». Według Menendeza, który wszystkie swoje tezy starannie podbudowuje olbrzymim materiałem erudycji, organiczny rozwój kultury hiszpańskiej załamał się właśnie w chwili gdy zrodziła się tendencja bezkrytycznego naśladownictwa cudzoziemszczyzny. «Upadek naszej tradycji intelektualnej — pisze w jednej ze swych polemicznych książek — zaczął się w drugiej połowie XVIII-go wieku, a zawdzięczaliśmy go wyłącznie wpływowi racjonalizmu francuskiego, który nie mógł nie ustosunkować się wrogo i pogardliwie wobec kultury tak bardzo katolickiej i odrębnej... «Dekadencja intelektualna w Hiszpanii... zbiega się ze ścisłością matematyczną z wolteriańskim dworem Karola IV, z powstaniem Konstytuanty w Kadyksie, z akordami liberalnego hymnu Riega, z paleniem klasztorów i linczowaniem kleru, z ufundowaniem madryckiego Ateneum i z turystycznymi podróżami Sanza del Río po filozoficzne nowinki do Niemiec». W ujęciu Menendeza dekadencja hiszpańska przyszła jako logiczna konsekwencja zaparcia się własnej osobowości narodowej i zrezygnowania ze swej misji historycznej: «Żadnemu staremu narodowi nie wolno odrzucać swej tradycji kulturalnej, bo to zawsze jest równoznaczne z przekreśleniem najwartościowszej części bytu narodowego i prędkiej czy później musi doprowadzić do stoczenia się w powtórne dzieciństwo, bliskie całkowitego zidiocenia».

Jeden z młodszych przedstawicieli «pokolenia 1898», Ramiro Maeztu, który po latach zginie w wojnie domowej, wyrazi to samo z jeszcze większą jasnością i siłą przekonania: «To, na brak czego skarżymy się dzisiaj, jużśmy mieli, aż ją utraciliśmy w XVIII wieku: wielką misję narodową. ...Hiszpania dzisiejsza jest jedynie cieniem tej Hiszpanii, która niegdyś była ramieniem Boga na ziemi. Kiedyż powstanie Hiszpania prawdziwa? Powstać może siłą naszych dążeń i poprzez takiegoż ducha przynagrody, która scudzoziemczyła nas przed dwoma wiekami. Albowiem wszystkie inne próby zostały już uczynione i wszystkie możliwe ścieżki schodzone. Pozostaje nam tylko jedna jedyna droga: nasza własna. Weźmy w dłoń treść naszego XVI i XVII stulecia: ich mistykę, ich religijność, ich moralność, ich prawo, ich politykę, ich sztukę, ich powołanie cywilizacyjne. Obejrźmy to dzieło na pół spełnione, tę misję niedokończoną. Lecz, gdy zwrócimy oczy ku tym ścieżkom, które przewędrowaliśmy w ciągu ostatnich dwóch stuleci, dostrzegamy, że nas nie prowadzą dopikąd».

Europeizacja Hiszpanii? Liberalizm anglosaski? Powszechne prawo wyborcze? Laicyzm w polityce? Postęp cywilizacyjny? «Niech tam inni bawią się w wynalazki!» — pogardliwie machnie ręką Unamuno, ten sam Unamuno, który bez chwili wahania oddawał Immanuela Kanta za jedną stronę mistycznej

prozy świętej Teresy, a przy innej okazji oświadczał z typowo hiszpańskim gestem lekceważenia doczesnych spraw: «Inne narody tworzyły instytucje i księgi; myśmy formowali dusze». W na pół nowelistycznym, na pół publicystycznym szkicu pt. «Hiszpania bezwodna» Azorin przedstawia w mistrzowskim skrócie przełom psychiczny jaki dokonał się w jego pokoleniu, które zaczęło od zapędzania hiszpańskiego narodu do pokutnej włosiennicy, aby wkrótce odkryć, że najskuteczniejszym środkiem uleczenia chorego jest wypędzenie zeń diabła cudzoziemszczyzny, przybyłego tu wraz z francuską peruką, księgami encyklopedystów i monarchią liberalną. Bohaterem tego opowiadania jest ziemianin alikantyjski, Silvino Poveda, który w młodości marzył o europeizacji Hiszpanii, a z czasem oświadczył, że prawdziwa europejskość polega «na zachowaniu wierności przez każdy naród najistotniejszym cechom własnego charakteru». Jeden z folwarków Povedy nazywa się «Secanét», co znaczy «miejsce suche», pozbawione wody. Rosną tam tylko wspinające figowce, dające owoc tak odżywczy i obfity, jakiego nie znajdziesz w żadnym innym kraju. Niegdyś Poveda snuł piękne plany nawodnienia «Secanétu» i nawet sprowadził z Paryża broszurę o poszukiwaniu wody podskórnej pt. «Voyages d'un hydroscope». Nawodnienie musiałoby spowodować zupełną zmianę krajobrazu, więc choć Poveda wie, że jest możliwe, całą siłą opiera się pokusie. Bo «czyż figi staną się przez to większe i bardziej odżywcze?» «Hiszpania jest krajem bezwodnym, to jest jej charakter, jej typowość, część jej istoty, jej duszy. Nie, bezwodna Hiszpania musi pozostać bezwodną Hiszpanią! I «Secanét» musi pozostać «Secanétem»!

Rewizjonizm wartości kulturalnych, nadający główny ton literaturze okresu, prowadzi prostą drogą do studiów nad charakterem rasy i do zdefiniowania jej dróg rozwojowych. W swoich wędrówkach po wyżynie kastylijskiej Ortega y Gasset odkrywa w jakiejś głuchej miejscowości w prowincji Avila, surowej, ascetycznej ziemi, która wydała świętą Teresę, kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Wzgardliwej — Nuestra Señora del Desprecio. Pisarz dostrzega w tej nazwie bodaj najjaskrawszy symbol stosunku Hiszpanów do spraw doczesnego życia, i co znakomitsi badacze charakteru narodowego koincydują całkowicie z jego opinią. Pogarda dóbr doczesnych w imię wartości wiecznych, pogarda rzeczywistości w imię ideału, choćby ten miał okazać się zwykłą chimera. Czy właśnie nie dlatego — zastanawiał się Unamuno, a w samym sposobie postawienia problemu już była zawarta odpowiedź afirmacyjna — czy nie dlatego literatura hiszpańska posiada takich wspinających poetów mistycznych, jak święty Jan od Krzyża, podczas gdy naturalizm powieściowy dał tu tak mizerne wyniki? W historii tego narodu żołnierzowi-zdobywcy zawsze towarzyszył mnich-teolog, nacjonalizm szukał swego ujęcia w uniwersalizmie religijnym, a najważniejszymi tematami życia, literatury i sztuki są śmierć i honor. Pisarz, tak boleśnie odczuwający upa-

dek swego narodu jak Azorin, dojdzie po latach wahań i poszukiwań do absolutnej afirmacji tradycyjnego pojęcia hiszpańskości: «... I widzę w niej tę siłę, tę energię starej rasy, tę obojętność i dumną pogardę wobec życia, tę łatwość heroizmu, ten amalgamat cech najbardziej prozaicznych i najwznioślejszych!»

I tu dotykamy zagadnienia centralnego, które z genialną siłą postawione zostało przez Cervantesa; nie próżno stwierdzono już dawno, że, jeśli «dla cudzoziemców don Kichot jest obiektem boskiego zainteresowania», to dla Hiszpanów «jest problemem ich przeznaczenia». Wróćmy do krajobrazu, pamiętając, że właśnie przez jego zrozumienie pisarze usiłują zbliżyć swe dłonie do ust tajemnicy.

Z szarego lub brunatnego kamienia zbudowane domy wydają się tu wyrastać z samej ziemi, tak samo nagie, surowe i groźne, ślepyimi ścianami zwrócone do przechodnia, zamknięte w sobie, zabite naглуcho, zamurowane w swej pysznej i pogardliwej samotności. Poprzez architekturę kastyljską o ileż łatwiej tym pisarzom zrozumieć duszę swej potężnej i tragicznej rasy, niż poprzez historię wszystkich przewrotów, walk i rewolucji. W architekturze znalazł Ortega y Gasset klucz do przeciwieństw dotąd nieprzejdanych, które od czasu do czasu krwawą burzą przechodzą przez kraj. Oto katedra, bardziej przypominająca fortecę niż świątynię. «Jej dwie wieże, kwadratowe, szeregokie, potężne... idą wprost w niebo, ale bez odrywania się od ziemi, jak to się zdarza gotykowi. Nie wiadomo, co było ważniejsze dla budowniczych: zdobyć niebo czy nie utracić ziemi. Żyjemy wśród przeciwieństw: religia przeciwstawia się nauce, wyrafinowana wrażliwość spontanicznej radości życia, idea kobiecie, sztuki piękne myśli filozoficznej...» I reasumując, pisarz wyznaje: «Przez nasze żyły przepływa tragiczny nurt sprzeczności fizjologicznych». A gdzie indziej czytamy te słowa, które dobrze wprowadzają w sedno rzeczy, choćbyśmy ich ostry krytycyzm mieli uznać za nieco przesadzony: «Kastylija jest szeroka i płaska, jak piersi mężczyzny... W Kastylii widzi się wszystko dokoła lepiej niż gdziekolwiek, ale... jedynie jest takie marnie! Mniejsza o jedzenie, gdyby chociaż myślało się porządnie. Ale nie, tu się nie myśli porządnie, a przede wszystkim nie zna się dobrych uczuć. Trudno o liryzm u ludu, którego serce wytwarza wyłącznie namiętności. Wśród naszych rozżarzonych od słońca pól psychologie są również rozżarzone».

Tak musiało dojść do rewizji ustalonych przez krytykę pozytywistyczną pojęć o tzw. hiszpańskim realizmie. Pierwszego lepszego turystę, gdy wejdzie do Prado, a choćby tylko do któregoś z bogatszych w malowidła kościołów, uderza brutalny realizm ekspresji obok najbardziej serafickich uniesień i wzlotów. Ekstremistyczny charakter hiszpański wyraził się z całą jaskrawością w tym przerzucaniu się z sensualizmem w marzenie, z trywialnością w mistykę, z goyowskich okropności wojennych w czystą ekstazę kontemplacji, z pasybrzuchostwa Sancho Pansów w rycerskie księgi don Kichota. Ale dopiero tam, gdzie

obydwa elementy przeplatają się i łączą nawzajem, gdzie niebo znika się ku ziemi, a ziemia podrywa się ku niebu, natrafiamy na sztukę i literaturę typowo hiszpańską. Wówczas powstaje malarstwo el Greca i Zurbarana, dramaty Calderona i Lope de Vegi, proza Cervantesa. Głęboka religijność, surowość moralna, zamiłowanie do akcji i postawy czynnej, a w dziedzinie formalnej przywiązanie do tradycyjnej estetyki i skłonność do łączenia elementów twórczości ludowej z parnasistowskim wyrafinowaniem — charakteryzowało literaturę hiszpańską w okresach jej najpiękniejszego rozkwitu, i te same cechy, zatracane lub zamazane poprzednio, powrócą wraz z «pokoleniem 1898». Rycerz Smutnego Oblicza znów wyruszy w podróż po La Manchę. «Historia nam pokazuje dwie różne Hiszpanie — pisze Ramiro de Maeztu — jedna z nich to Hiszpania el Greca, mistyczna i marzycielska, druga — to Hiszpania Goyi z całym jego realizmem i skłonnością do plebsu; to samo można wyrazić, budując na przeciwstawieniu don Kichota i Sancho Pansy, na przeciwstawieniu ducha i materii. W rzeczywistości przecież istnieje tylko jedna Hiszpania, a cały problem polega na tym, kto będzie nią rządził: don Kichot, czy Sancho Pansa. Jak dotychczas, triumfuje Sancho; jestem jednak przeświadczony, że nasz lud zwróci się któregoś dnia ku don Kichotowi. Wszystkie nasze nadzieje patrzą ku przyszłości: Ex praeterito spes in futurum».

Ta głęboka wiara w wartość swej rasy i w jej wielką przyszłość znajdzie pełne poparcie ze strony, zdawałoby się, najmniej spodziewanej. Paradoksalnym zbiegiem okoliczności w tym samym przełomowym momencie, gdy Hiszpania, pobita i poniżona, traciła resztki swych posiadłości imperialnych, zaczyna powoli odradzać się idea hiszpańskiego obszaru kulturalnego, ogarniającego kraje Ameryki Iberyjskiej. Kraje te odpadły od metropolii, gdy na półwyspie pirenejskim zatraciła się świadomość misji historycznej, gdy z braku wielkiej idei uniwersalnej zaczęła kruszeć nawet jedność narodowa a odżywać wszelkie możliwe partykularyzmy. Z genialnym lakonizmem określił ten proces pisarz południowo-amerykański, Pablo Antonio Cuadra: «Hiszpania wraz z nami i obok nas ogłosiła swą niezależność od Imperium». I oto teraz, wraz z nawrotem myśli hiszpańskiej na ścieżki, wydeptane przez takich obywateli Uniwersu jak Juan Luis Vives i Ignacio de Loyola, po drugiej stronie Atlantyku budzi się i rośnie poczucie wspólnoty krwi i ducha ze starym krajem, dojrzewa proces «reconquisty» duchowej, wyrażonej z potężną siłą już na początku naszego wieku przez poetę z Nikaraguy, Rubena Dario, najwybitniejszego pisarza modernizmu hiszpańsko-amerykańskiego.

*O, krwi Hiszpanii płodna, raso szlachetna i prężna,
wykaż swe dawne cnoty, co niegdyś triumfem twym były!
Wróć, entuzjazmie miniony, powróć, duchu płomienny,
i posiej języki ognia w świetlanym dniu Epifanii.*

*I kontynenty obydwa, odnawiając stare prozapie,
duchem złęczone i mowę, i dreszczem wspólnych dążeń,
ujrzą nadejście dnia, w którym hymny narodzą się nowe.*

*I tak niech Nadzieja w nas będzie niezmiennym widzeniem.
Raso szlachetna, z krwi Hiszpani! płodnej poczęta!*

W twórczości Rubena Dario, należącego jednocześnie do literatury południowo-amerykańskiej i hiszpańskiej, odbywają się ponowne zaślubiny macierzystego kraju z ludami, którym niegdyś dał swą krew i kulturę, a które opuściły go wówczas, gdy «on sam opuścił swoje przeznaczenie». Na pełnej afirmacji tradycji kulturalnych, zaniesionych do Ameryki przez Hiszpanię, wyrasta świadoma wrogość do świata anglosaskiego i przekonanie o istnieniu antynomialnego konfliktu między dwoma kontynentami amerykańskimi. Historyk, który zechciałby zbadać do gruntu procesy polityczne, rozwijające się współcześnie w krajach Ameryki hiszpańskiej, musiałby w dużej mierze uwzględnić wzajemne wpływy i zależności między modernizmem transatlantyckim a pokoleniem 1898. Powinien zacząć od lektury wiersza Rubena Dario, zatytułowanego «Do Teodora Roosevelta», który stał się niejako rodzajem odwetu duchowego, wziętego przez Hiszpanię za klęskę poniesioną w wojnie o Kubę i Filipiny:

*Ale Ameryka nasza, która rodziła poetów
od czasów prastarych króla Netzahualcoyotla,
która wiernie chowała ślady stóp wielkiego Bachusa,
która paniczny alfabet umiała niegdyś na pamięć;
która radziła się gwiazd, która znała Atlantyde,
której imię dotarło do nas w pismach Platona,
która od chwil najdawniejszych swego istnienia
żyła światłem i ogniem, zapachem ziół i miłością,
Ameryka wielkiego Inki i Montezumy,
Ameryka woniejąca Krzysztofa Kolumba,
Ameryka hiszpańska, Ameryka katolicka,
Ameryka, gdzie niegdyś powiedział szlachetny Guatemoc:
— «A ja, czyż leżę na różach?»; ta Ameryka,
targana przez huragany i żyjąca miłością,
— ludzie o oczach Sasów i duszy barbarzyńskiej — jest żywa!
I marzy i kocha i drży i jest córką Słońca.
Mieście się na baczności. Żyje Ameryka Hiszpańska!
Tysiące szczeniąt urodził Hiszpański Lew.*

*Musiałbyś stać się, o, Roosevelt, Bogiem samym,
strasliwym Strzelcem, najpotężniejszym Myśliwym,
aby nas móc uchwycić w swoje żelazne szpony.*

*Bowiem, choć macie wszystko, brak wam jednej rzeczy: Boga!
(dokończenie nastąpi).*

Józef ŁOBODOWSKI.

Poezje mistyczne

Mroczna noc

W noc mroczną i tajemną,
od żądz wezbraną, szedłam pokryjomu
— och, przygodo przyjemna! —
nic nie mówiąc nikomu,
wyszedłam, gdy już spokój był w mym domu.

Pewnym krokiem się wiodąc
przez drzwi sekretne, by mnie nikt nie słyszał,
— och, przyjemna przygodo! —
szedłam bez towarzysza,
gdy w domu moim spokój był i cisza.

W zupełnej tajemnicy,
w sekrecie, aby nikt mnie nie mógł dojrzeć,
bez żadnej w rękach świecy
szedłam o nocnej porze
prócz tego ognia, co mi w sercu gorze.

Ten mnie wiódł i przyzywał,
pewniejszy niż południa blask różany,
gdzie już mnie oczekiwał
Ktoś, kto mi dobrze znany,
w miejscu, gdzie nigdy nie był spodziewany.

Och, nocy, coś świeciła,
nocy grzeczniejsza niżli jasne rano,
och, nocy, coś złączyła
Kochanka z Ukochaną,
aż się oboje jednym ciałem staną!

Na mej piersi kwitnącej,
którą jedyniem dla Niego chowała,
pozostał czule śpiący,
a jam mu wszystko dała
i z cedrowego okna wóń ku niemu wiała.

Wiatr przemieszany z wonią
kędziory Mu rozsypał na kształt fali,
spokojną swoją dłonią
jagody me osmalił,
aż wszelki zmysł ode mnie się oddalił.

Pamięci się pozbyłam,
oblicze nachyliwszy nad Kochanym,
a tak się zatraciłam,
iż trwał mój sen bez zmiany
pomiędzy białe lilie uwikłane.

Płomień miłości żywej

Och, płomieniu miłości,
którego żar mą duszę
najczulej rani do samego środka!
Jeśli tych przewag dość ci,
zakończ słodkie katusze,
rozerwij przedzę naszych błogich spotkań!

Och, blizny darowane!
Och, niewoli serdeczna!
Och, miękka dłoni, która gładzisz skrycie
wszystkie długie przed Panem!
Och, dłoni, któraś wieczna,
że, zabijając, śmierć zamieniasz w życie!

Och, ogniu lamp widoczny,
który zmysłu wertepy
łacno rozjaśniasz swoim blaskiem do dna!

Zawdy zmysł bywał mroczny,
niezbadany i ślepy,
a teraz światłość bije zeń pogodna.

Jak czule i miłośnie
w łonie mym się poruszasz,
dokąd jedynie w sekrecie zstępujesz,
i tchem swym, w którym rośnie
ku chwale moja dusza,
jakże łagodnie mnie rozmiłowujesz!

Pieśń o Chrystusie i duszy

Samotny pasterz swej pasterki wzywa,
iż bez niej w trosce i żałosci ginie,
każde westchnienie, każda myśl jest przy niej,
i pierś miłośna barzo boleściwa.

Nie płacze przeto, że go miłość rani,
niebaczna iż nie sprostą w bólu więcej,
ani że serce krwawi się w udreće,
lecz płacze jako płaczą zapomniani.

Tak go boleśnie owa myśl przeszywa;
iż piękna panna ma go w niepamięci,
że bronić się swym katom nie ma chęci
ta pierś miłośna barzo boleściwa.

I rzecze pasterz tak: — O, nieszczęśliwa,
która ucieka od mojej miłości
i nie chce pieścić się w mej obecności
miłosną piersią barzo boleściwą!

I chwilę później, że daremnie wzywa,
na drzewie rozpiął przebite ramiona,
i martwa zwiśła, przez złość umęczona,
ta pierś miłośna barzo boleściwa.

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI.

Kwiat Iliady

Z krwi Ajaksa wytrysnął
Kwiat hiacyntu
I rozrósł się, błysnął
W Delphinium Ajacis.
Trojo nasza, a cóż dla ciebie?

Mrok labiryntu,
Lustro wróżebne,
W którym zobaczysz
Ciemność na ziemi
I ciemność na niebie?!

Miałas rycerzy,
Hektorów wśród bitwy,
Walecznych, bez kutej zbroi,
I oto nad tobą
Tylko czerwone
Chmury zakwitły
Gniewną żałobą
Własnej krwi twojej.

Hiacynt poniosły
Wiatry po świecie,
Kwiat niewiedły
Siejba-legenda.
Nad tobą Parki
Schyliły się smutne,
Zły los uprzedził
I jeszcze go przędą.

Ojczyzno legend
Najboleśniejszych,
Która nie schodzisz
Ze swej barykady,
Trzy nocne wróżki
Znad swego przędziwa
Nuca, że Troja
Nie jest prawdziwa
Bez kwiatu Iliady.

I tkają całun
Ciężki, żałobny,
Płaszcz do nowego zgonu:
Przędniczki wieczne,
Nie zginął, nie minął,
Nie prześnił się jeszcze

Epos waleczny
I gminne podanie Mionu.

Po gruzach krąży
Oślepy śpiewak,
Wieści gromadzi
Z pożarów i bitwy,
Zdrady i zniewag.

Za rękę prowadzi go żołnierz
Rodem ze siedmiu miast,
Wędrują po kraju
Zmęczeni i bladzi,
Płyną równiną
Dwa cienie płyną,
W dzień się pod chłopskim
Stogiem przedrzemią,
W noc idą dalej
I schodzą się z ziemią,
Schodzą się z ziemią
Pod jarzębiną
ciężką od gwiazd
I koralu.

Jeden drugiemu
Tajemnym słowem,
Ukrytym ruchem
Coś przepowiada,
Idą i słyszą:
Ja jestem duchem,
Zmęczona i blada
Zbieram milczenie,
Za moją ciszą
Chodźcie, me cienie.
Zaniemowałam, Iliada.

I pójdzie żołnierz
Drogą piaszczystą
Ze ślepym starcem,
Trojańskim lutnistą,
W tę znową milczących wie-
I pójdą z nimi [czorów,
Miasta i gruz,
Losy i rany,
Parki i Muzy
Niewyspiewanej
Niedoli Hektorów.

Aż zajdą dwa cienie
W liliowe dzwonki,
Wysokie trawy,
Puszyste łąki,
Chłopskie ostróżki
I dzikie lewkonie,
Zerwą je srebrne,

Różowe, błękitne,
W labirynt rzuca,
W lustro wróżebne
A Parki zanuca:
Zakwitnie, zakwitnie
Delphinium Poloniae.

Kazimierz WIERZYŃSKI.

Mgła

Na Paryż w zimie spada mgła
Jak oddech melancholii;
Latarnie żółte, ciemność gra
I westchnął cień topoli...

A drugi cień z dalekich bram:
Verlaine'a chwiejne kroki...
W pustej ulicy idzie sam
W melodii gwiazd wysokich...

Choć nie ma liści, słowa drżą:
«Les sanglots longs des violons»...

Na Paryż we mgle patrzę w głąb
I czekam na nowinę...
Na wiosnę wstanie stary dąb
Zielenią trąci gwiazdy...

Jest noc i mgła i cisza,
Paryż jak las się śmieje...
Los mój i twój, świat nasz i wasz...
Widzę senną nadzieję...

Witold NOWOSAD.

Wiersz o siostrze

Posłuchaj wiersza o mojej siostrze
i użycz łagodności i ciszy
martwym słowom, co błysną może ostrzem
prostyh cięć, w wilgoci sklepionej niszy.

Lat przybyło wąskim groblom na stawie,
za ogrodem, za Uszwicą, za szosą,
dźwięk wspomnień zagubionych i niknących prawie
pieśnią budzę, jak pochodnią, jak rosą.

Za tamtych czasów, za młodu
dwoje nas było w domu,
ja cichy, a ona uparta i harda;
stoję czasem zapatrzonej w głąb ogrodu,
sercem błędę po pniach, po koronach,
a ona furkocze warkoczem i kipi kokardą
rozbawiona, rozbrykana, rumiana.

A kiedy matka umarła, tydzień bez przerwy lało,
babie lato omotało ścierniska;
na cmentarz było blisko, październikowo i ślisko;
pamiętam dokładnie jak płakałem.

Szły noce zatajone, noce dobroczynne,
pochylone nad gasnącym ogrodem,
snuły ciche oddechy po pokoju dziecinnym
w okiennice pukały mimochodem;

Ale dnie biegły jak szaleństwo
i odcinały się ostro,
moje dnie były inne, a jej inne;
jak dziś widzę uroczyste zebranie rodzinne, —
z obcych przyszedł ksiądz Nowak,
lubiłaś jego nabożeństwo,
a dziadka Ignacego pamiętasz chyba siostrze,
— wciąż głaskał nas po głowach
i powtarzał «RODZENSTWO».

Przyszła wojna, na szosę patrzyliśmy bezradni,
prerażeni, zdumieni, zziądani,
na ciągnące kolumny, zza pleców panny Wali,
«ach jacy oni ładni» mówiła pokazując mijających moskali
a ty pytałaś «którzy proszę pani?»

Ten agrest niedojrzały, w samym kącie ogrodu,
czernią pleśni splamiony, jakby winą naszą,
jak owoc zakazany spopod krzaków spodu,
za twojemi namowy, rwałem z trwogą ptasią.

Pamiętam cię, rumianą od podskoków i biegań
zdziwioną, gdy gwałtownym objął cię ramieniem
i wreszcie, gdy w pośpiechu obłąkanych nalegań,
pieściłem się twym wstydem i twoim imieniem.

A potem rozpacz, potem zdumienie
i żal nieznany, trwoga sztubacza
i chód strokany w chłodnym podsieniu,
gdzie nagle, nagle, wybuchnęłaś płaczem.

Po całym domu dudnił nasz głos
obco i cudzo w te dni najpierwsze,
kiedyśmy dzikie składali wiersze:
«paraski ris i komas dros»,

«I ene due i peterfiter
i kotme rabe i kotme kos,
Inder cylinder z drewnianych linder
Paraski ris i komas dros».

Szumia wspomnienia nasze, jedyne,
szumia jak lipy przy bramie
płoszył nas —
— wróbel na agawie
kusił chłód czarnej ziemi
śluby ojcowe
i msze matczyne,
dławiły, dławiły prawie,
świecami jarzącymi.

I przyszły gody i niepokoje
i zgony bliskie, i ból wszelaki
i sny po których czułość gubiłem —
pomyśl nad jednym westchnieniem mojem
i przebac, że byłem taki.

Wiersz o miłości

Z rozwąga i ponad głowami
Rośnie wiara, drzewo iglaste,
Zielono lasom poniechanym
Zacisnie miodowym plastrum.

Rude myszy migają w resztkach lata,
Ciągnie jesień za kluczem żorawim,
Nie przemożesz ślepego świata
Opętany miłością i snami.

Ale pytaj jałowców o ziemię
A sosen i świerków o niebo.
Wiedzą, że ziemia jakby drzemie
A niebo modrzewie kolebia.

Wiedzą że nad znoszonym imieniem
Rozpacz zawiśnie pajęczo.
I że miłość — to tylko zamyślenie.
Niepotrzebnie zakochani klęczą.

Bronisław PRZYŁUSKI.

Notatki o impresjonizmie

Żaden «wzór», żaden «ideał», żaden kanon, żaden system «chwytów» — słowem, żaden rezultat, naśladowany czy «powtórzony» nie gwarantuje prawdy. Przepis może być tylko na sposób zachowania się, nie leży więc w sferze techniki, formy, idei, ale w sferze moralności.

Natura, zobaczona cudzymi oczami, nie jest wcale naturą. Cudzy obraz natury jest jako obraz, wraz z całą naturą i kulturą przedmiotem, a więc należy do tworzywa, które nigdy nie ma kształtu, dopóki mu go nie nadamy.

Rezultatem twórczego wysiłku nie jest dzieło, ale osobowość. Dzieło tylko wychowuje osobowość i sprawdza ją; lecz dopóki trwa i rozwija się — jest jej substratem, jej jedyną rzeczywistością. Osobowość i dzieło są dwiema stronami tego samego zjawiska. W historii zjawisku temu na imię: n a z w i s k o.

Poza osobowością nie ma nie tylko prawdy, na co łatwo się zgodzić, ale nie ma także natury. Widzimy tylko to, co pojmujemy; pojmujemy tylko gdy wiążemy, a gdy zaczynamy wiązać wszystko — tworzymy, tzn. tworzymy osobowość. Inaczej jesteśmy tylko refleksem obcych wpływów, elementem grup społecznych, zjawiskiem statystycznym: niezdolni do widzenia cokolwiek prócz odbić w podstawionym nam lustrze, niezdolni do usłyszenia głosu dopóki nie stanie się echem. Emile Bernard słuchał ech z takim namaszczeniem jakby były głosami. To śmieszne namaszczenie wyprowadzało Cézanne'a z równowagi.

Mówiło się o impresjonizmie jako o ruchu anty-intelektualnym. Jeszcze stary Cézanne umiał «idealizmowi» akademików prze-

ciwstawić tylko hasło «Natura, natura, natura!», pozostawiając w ich rękach broń, którą właśnie impresjonizm zwyciężał akademizm. Bernard widział swoją wyższość nad Cézanne'em w intelektualizmie i bardzo mu to poczucie pochlebiało. Mylił się tak samo, jak mylił się Cézanne, gdy przeciwstawiał «idei» Bernarda swoją «naturę». Bernard reprodukował wiedzę o malarstwie — Cézanne tworzył ją. Intelektualizm Bernarda był synonimem pamięci. Intelektualizm Cézanne'a był tak autentyczny, że go sobie nawet nie uświadamiał.

Impresjonizm był wielkim płukaniem pędzli. Co się stanie, gdy środkami, jakimi rozporządzam, namaluję to, co rzeczywiście odczuwam, gdy patrzę? Był to akt przyświadczenia sobie jako podmiotowi sądów i odczuć. Od impresjonizmu zaczyna się w malarstwie protestantyzm.

Akademicy studiowali antyk, średniowiecze i renesans w podręcznikach filologii i historii sztuki, chodząc po muzeach, jak ślepcy. Patrzyli na oryginały jakby były reprodukcjami. Impresjoniści chodzili do muzeów jak na spotkania z rówieśnikami. Tamci mieli kult, oni mieli religię czyli żywy związek. Weronie i Poussin byli dla Cézanne'a ideałami, jak dla biegacza ideałem jest Nurmi. Rafael i Michał Anioł byli ideałami dla akademików, jak dla purytanów nie przestali być ideałami Święci Pańscy, od których różnią się wszystkim prócz anatomii.

Akademicy byli niemoralni: pochlebiali próżności epoki, gloryfikując jej fałszywe wyobrażenie o sobie. I byli szkodliwi przez to, że odwracali uwagę od jej piękna, które ma każda epoka, bo każda epoka ma swoją prawdę, a więc w perspektywie i swoją doskonałość.

Akademicy malowali to, co się o świecie myśli, a właściwie co wypada lub należy o świecie myśleć, tj. co się o nim wie, gdy się pamięta lekcję i gdy się jest wiernym swoim panom. Kto to dyktował? Uniwersytet, państwo, przedsiębiorcy, kler, literaci. Stąd konwencjonalność tej sztuki. Nie stawiał się malarzem, kto czuł w sobie materiał na nazwisko. Malarz był profesorem albo cyganem, a więc kulisem albo pariasem, lokajem albo wyprzedkiem. Impresjoniści, którzy szli «w cygany» jak prorocy wy-

chodzili na pustynię — malowali to, co się o świecie wie, gdy się go obserwuje i gdy się jest wiernym swoim reakcjom.

Oglądając wystawę odczyszczonych obrazów w National Gallery trudno oprzeć się wrażeniu, że ten gruby, żółty werniks, który pokrywał Rubensa, Tycjana, Tintoretta od stu i więcej lat, był intrygą akademickich pompierów, którzy w ten sposób usiłovali wielkich kolorystów, czyli wielkich malarzy w muzeach zamienić na swoich przodków; że umyślnie ukrywano sztukę starych mistrzów pod brudną mgłą werniksu, by materię malarską płótna zamienić na materię *tout court* np. ciała kobiecego, tj. by muzea usprawiedliwiały pseudo-klasyków i naturalistów. To co w ten sposób ukrywano, nazywano wstydliwie «techniką» i zapewne sądzono, że jest to technika bardzo «prymitywna», którą trzeba jakoś zamaskować, żeby w porównaniu z wyrefinowaną techniką XIX wieku nie była dla starych mistrzów zbyt kompromitująca. Oczywiście, jest to domysł złośliwy. Krytycy wyrozumieli podstawiając pod perfidię pompierów — ironię losu i mówią, że dziewiętnasty wiek malował tak źle, bo w dobrej wierze naśladował zczerniałych, nie odczyszczonych mistrzów. Kto wzywa się w walkę impresjonistów, nie może pompierom (świetnie prosperującym i nieprawdopodobnie nadętym) okazywać wyrozumiałości!

«Monet to tylko oko — mawiał Cézanne — ale co za oko!» Monet to nie tylko oko. Chopin znalazł wszechświat w fortepianie, Monet znalazł go w kolorze. Monet jest największym anachoretą impresjonizmu. Nie dbał — jak niemal wszyscy inni — o «nawiazywanie». Nie marzył o muzeum (chyba osobnym, dla niego jednego). Jego sztuka może poczekać. Dla Moneta kolor nie był środkiem, ale żywiołem i to żywiołem o niezgłębionym jeszcze porządku. Po kolor nie można robić wyprawy, by wrócić do pracowni z tygrysem na łańcuchu. Kolorowi trzeba się poddać — w nim jest prawda.

Jan ULATOWSKI.

Pozegnanie

Zapukał do drzwi mojego pokoju i wszedł. Kiwnął ręką w milczeniu; zupełnie tak samo, jak przed trzema miesiącami, kiedy wreszcie dobrnął do Paryża po wszystkich przygodach podróży bez paszportu. I podobnie jak wtedy, usiadł w fotelu.

Jeszcze w gimnazjum nazywaliśmy go «Gandhi» z powodu jego cienkich i długich nóg, okularów w drucianej oprawie i filozoficznego spokoju. Łączyła mnie z nim wielka przyjaźń, właściwie jedyna w życiu. Od szóstej klasy począwszy widywano nas zawsze razem. Byliśmy czymś w rodzaju osobnego organizmu klasowego, wokół którego kręcili się inni koledzy, dopuszczani na bliższą lub dalszą odległość — zależnie od naszego uznania. Decydowaliśmy we dwóch o wielu rzeczach i tworzyli opinie. Profesorowie traktowali nas też jakby osobno i wiem, że na konferencjach sporo o nas mówiono. Doszło w końcu do tego, że gospodarz klasy nie wytrzymał i na jednej z tzw. po krakowsku «wywiadówek» zwrócił się do mojej matki z dosyć kłopotliwym pytaniem: «Czy nie sądzi pani, że — hm — łączy ich ze sobą COŚ więcej, niż — hm — przyjaźń? Przypuszczam, że rozumie pani, o co mi chodzi...?» Moja matka opowiadała nam o tym ze śmiechem. W wielu wypadkach potrafiła być naszym trzecim towarzyszem, a «Gandhi» twierdził z całą powagą, że kocha ją bardziej niż swoją.

Budowaliśmy siebie cegłami tych samych książek, spajali to zaprawą wspólnych rozmów i chociaż po maturze spotykaliśmy się już rzadziej, nie w nas nie pękło ani nie rozluźniło się pod wpływem dalszego życia. Bywa to raczej rzadkie i wiem, że w tym wypadku zdołaliśmy wiele ocalić przede wszystkim dzięki usposobieniu «Gandhiego». Ostatni raz przed wojną widzieliśmy się u mnie w domu, w lutym 1939 r. Był mróz, mała osada podmiejska zapadła głęboko w śnieżnym puchu. Jakoś ten śnieg utkwił mi specjalnie w pamięci i myśląc o śniegu, myślę dotąd zawsze o tym, a nie o innym. «Gandhi» pracował już jako inżynier rolniczy w Kielecczyźnie i będąc służbowo w Krakowie, podjechał do mnie wieczorem zanoć. Byliśmy wtedy obydwa dosyć przygnębieni i rozmowa jakoś nie kleiła się. Pamiętam tylko, że oparty o piec i czyszcząc z niemilościarną dokładnością okulary, opowiadał mi długo i szeroko o swojej

pracy dyplomowej, którą właśnie wtedy skończył pisać. Nie wiem, czy przeczuwał, że było to nasze ostatnie spotkanie w tym etapie życia, ale nazajutrz rano, przy pożegnaniu, przytrzymał moją dłoń dłużej i spojrzał mi głęboko w oczy. Potem szybko poglądził mnie po głowie i odwrócił się. Stałem w drzwiach i patrzyłem jak szedł na swoich długich nogach w stronę lasu. Spód jego obcasów wyskakowały w górę brązowawe grudki śniegu, który znowu spadł w nocy. Niedługo potem straciłem go z oczu.

I oto odnaleźliśmy się nagle w Paryżu, po przeszło ośmiu latach. «Gandhi» zapukał, kiwnął ręką jakbyśmy się przez ten czas widywali wielokrotnie i obejmując mnie mocno, powtórzył tylko kilka razy z wielkim wzruszeniem: «Jak się masz, jak się masz». Potem usiadł i w skrócie opowiedział mi swoje dzieje. Jak zwykle: wrzesień, cywilne ubranie, okupacja, podziemie, powstanie — i rozczarowanie. Już w czasie jego krótkiej relacji odnajdywałem mojego «Gandhiego»; wyczułem, że wszystko to odbyło się w nim w ten sposób, jakby oglądał to na scenie lub na ekranie. Zawsze twierdził, że w każdym człowieku jest rodzaj zimnego oka, nieulegającego żadnym wzruszeniom, pozaczasowego. Nazywał je «okiem ośmiornicy» i mówił, że doskonale je wyczuwa: — «Siedzi w środku i patrzy. Masz dwadzieścia lat, masz trzydzieści, będziesz już stary, a ono zawsze będzie przyglądać się tobie i światu jednakowo: ostro i chłodno. Spróbuj tylko załgać się odrobinę, zgrywać przed samym sobą, a od razu poczujesz to spojrzenie». — Teraz «Gandhi» wolno cedził słowa, uśmiechał się od czasu do czasu i był zawsze tym «Gandhim», z którym rozstałem się tak dawno. Pierwsze rozmowy są zwykle bezładne, ale pomimo to wie się natychmiast, czy wszystko należycie zaskakuje. W ten pierwszy wieczór dogadaliśmy się od razu.

«Gandhi», ogarnawszy wzrokiem mój mały pokój, zapewnił mnie z uśmiechem, że nie będę miał z nim żadnego kłopotu, bo już mieszka w jakimś hotelu i pieniędzy ma dosyć. Zbierał je na tę podróż prawie od dwóch lat. «No i jeszcze ciągle nie jestem żonaty» — dorzucił. Czułem, że zwierzenia z tej dziedziny nastąpią kiedy indziej. Z Polski wydostał się wczesną jesienią 47 r. Po dłuższych popasach w Niemczech i w Belgii, dobrnął do Paryża.

Po tym wieczorze pierwszego spotkania rozpoczął się nasz «miodowy miesiąc», jak to określił «Gandhi», i widywaliśmy się prawie codziennie. Oprowadzałem go po mieście i trzepaliśmy zawzięcie w te osiem lat rozłąki, jak w wyciągnięty ze strychu dywan. Sypał się kurz, a spod niego wyłaniały się przeróżne desenie. Nie mówiliśmy wiele o odleglejszej przeszłości, bo tam już wszystko było poszufladkowane i nadawało się tylko do archiwum. «Gandhi» opowiadał mi raczej o latach ostatnich, o tzw. nowej rzeczywistości polskiej, o ludziach, o kolegach. Ja mówiłem o Francji, o Europie, o Zachodzie. Długie

i wspaniałe gawędy przy kieliszku wina lub w czasie pieszych wędrówek z końca w koniec Paryża.

W komentarzach «Gandhiego» o Polsce współczesnej nie było przesady. Opowiadał mi o tym jakby pod ciągłą kontrolą tego swojego oka. Byłem mu za to bardzo wdzięczny. Na wszystkie moje pytania starał się odpowiadać spokojnie i rzeczowo. Powiedział mi, że nie jest najgorsze to wszystko, co tak chętnie podchwytuje się tutaj w prasie emigracyjnej czy też obcej, bo po prostu kąt spojrzenia na te rzeczy jest często zupełnie inny tam, w kraju; że w wielu wypadkach zachowanie się różnych ludzi jest tam dyktowane motywami, o których tu nie ma się wyobrażenia. Wojna i okupacja ośzlifowały ludzi inaczej, to też ten sam promień załamuje się tam w inny sposób, nieraz bardzo skomplikowany. Twierdził natomiast, że najgorsze jest to, co nazwał «bólami w amputowanej nodze»:

— Wiesz, szereg ludzi, którym odjęto nogę lub rękę odczuwa potem do końca życia bóle w członku «widmie». Te bóle bywają nieraz tak silne, że utrudniają lub wręcz uniemożliwiają inwalidom przystosowanie się do ich nowego życia. Otóż zapewniam cię, że olbrzymia większość ludzi w Polsce cierpi świadomie lub podświadomie... Tu «Gandhi» zamyślił się i po chwili dokończył: «najczęściej jednak świadomie na bóle tego rodzaju. Operują nas pod narkozą, bardzo wielu zgadza się nawet z diagnozą, że niektóre odcinane kawałki były istotnie zgangrenowane, ale boli ich potem w «widmie» — boli nieraz nieznośnie. Odczuwają te bóle nawet zupełnie prości ludzie, choć wiesz, że zasadniczo stan pewnego rodzaju euforii po takiej narkozie trwa w tym elemencie dłużej. Nie mówiąc o tym, że amputacje dokonane wśród nich były o wiele łagodniejsze. To jest może najgorsze, bo sprowadza się jednak do zbiorowego kompleksu.

— A jak określiłbyś ten kompleks? — zapytałem.

— Nie wiem. My staramy się tam nie przyznawać do niego.. Może po prostu jako tęsknotę, najczęściej trudną do określenia. To wszystko jest naprawdę widmowe. U ludzi na pewnym poziomie precyzuje się to jako tęsknota za Zachodem, za jakimś odprężeniem, za oddechem... Poza tym to, co Gałczyński określił raz tak dowcipnie i zarazem głęboko w jednym ze swoich wierszy jako «das ewig polnische» tłamsi się w nas i gniece w sposób chyba dotąd nigdy nie spotykany. To bywa wprost absurdalne i dotyczy nawet szeregu komunistów.»

Objasniał mi mnóstwo rzeczy, które chciałem dostrzec we właściwym świetle. Cieszył się, że otwierałem się na przyjęcie jego słów bez żadnych oporów, bez tej na odmianę tak charakterystycznej dla nas właściwości oglądania teraźniejszości polskiej stąd prawie wyłącznie za pomocą jakichś okularów, nie zawsze dobrze dobranych. Nieraz nie chcąc odpowiedzieć zbyt lekkomyślnie, zapisywał moje pytania w notesiku i odpowiadał w czasie następnego spotkania. Te trudne odpowiedzi

kończył zwykle tym samym zapewnieniem: «Tak, ale wiesz — w sumie to trzeba SAMEMU zobaczyć».

Pomogłem mu załatwić formalności związane z uzyskaniem pozwolenia na pobyt. Tymczasem on chłonał wrażenia. Robił to z wrodzonym mu spokojem, jakby roślinnie. Obserwował i czytał. Rozglądał się trochę za możliwościami pracy, przemysliwał nad wyjazdem dalej. Jego specjalność, inżynieria rolna, dawała mu możliwości zarobkowania nawet na obczyźnie. Błogosławiłem jego przezorność pieniężną, bo nie wiem co by zrobił, gdyby nie miał odpowiedniego zapasu gotówki. Uniknął dzięki temu gorzkich spotkań z bezsilnymi ludźmi dobrej woli lub z instytucjami polskimi, w których pensje pracujących są w gruncie rzeczy ostatnią formą zasiłku, jaki się jeszcze wypłaca. Strzeże się tego zazdrośnie. Rozmawialiśmy o tym i o wielu innych zjawiskach na emigracji. «Gandhi» wykazywał tu więcej opanowania ode mnie. Porównywał to do ciętych kwiatów i twierdził, że jest to prawie nieuniknione. «Jeżeli kwiaty cięte myślą, to ich sposób myślenia musi bardzo przypominać wasz. Zresztą dostrzega się to we wszystkich waszych publikacjach» — mówił. Odpowiadałem mu, że coś bardzo podobnego wynika z pism krajowych.

— Oczywiście, ale to co innego. Jednak zdejść te twoje okulary, a wtedy przyznasz, że pomimo wszystko pisma te są znacznie ciekawsze i bogatsze od tutejszych — i to pomimo ciągłego pogarszania się atmosfery, klimatu. Mam wrażenie, że jeżeli chodzi o wiednięcie, to postępuje ono szybciej jednak tu, a nie tam. To sprawa gleby, mój drogi — trudno. Tam — poza pismami — dzieje się jeszcze bardzo wiele OBOK pism i to jest właśnie gleba.»

Prawdę mówiąc, zgadzałem się z nim bardzo często. Musiałem mu przyznawać rację gdy mi udowadniał, że istnieje w nas zupełnie podświadoma obawa zetknięcia się pierś w pierś z pewnymi zagadnieniami, zagładnięcia w głąb żreńcem pewnym zjawiskom. Te rozmowy prowadziłyśmy nieraz oglądając równocześnie jakieś wystawy obrazów lub przerzucając książki w księgarniach i u bukinistów nad Sekwaną. «Gandhi» przypatrując się czemuś, mówił często o rzeczach zupełnie innych. Zawsze mi się zdawało, że nosi w sobie oprócz swojego «oka» długą rolę filmu. Pstryka zdjęcia i wywołuje je spokojnie, fotografując równocześnie co innego. Raz, gdy na wystawie zbiorów wiedeńskiego Muzeum Sztuki w «Petit Palais» rozpląszaliśmy właśnie nosy na szklanych ściankach klosza, pod którym stała sławna solniczka I-go roboty Benvenuto Cellini, «Gandhi» nagle zapytał:

— Jak myślisz, co jest gorsze: czy szczere zakłamanie, czy nieszczere zakłamanie? Zapatrzone w złoto naszpikowane drogimi kamieniami, w urzekające wzrok krople pereł, w pierwszej chwili nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Odsunąłem się od oświetlonego klosza w mrok sali i patrzyłem na twarz «Gandhiego». Wpatrywał się dalej niby obojętnie, ale widzia-

tem jak łapczywie wypijał to coś, co tkwiło w tej solniczce. Może i jemu przyszło na myśl nasze ulubione niegdyś zdanie Ulricha von Hutten: «Umysły przebudziły się — tak dobrze jest żyć» i może myślał przy solniczce Benvenuta o «Epistolae obscurorum vivorum», które czytaliśmy razem tak dawno? Stojąc w mroku, poza zasięgiem światła padającego ze szklanej gablotki, odpowiedziałem mu po namyśle:

— Chyba szczere zakłamanie jest gorsze...

«Gandhi» obszedł solniczkę i pochylając się aby lepiej obejrzeć jakiś szczegół, wycodził wolno:

— I mnie się tak zdaje... Bo jest zakłamaniem nieuświadomionym. Człowiek nie czuje, że kłamie — dorzucił po chwili.

Przeszliśmy do innych sal. Z okien, w dole, widać było szeroką asfaltową jezdnię, biegnącą w kierunku mostu Aleksandra III-go. Dzień był jasno szary i mglisty. W mokrym asfalcie odbijały się sylwetki samochodów i ludzi, a ponad drzewami Pól Elizejskich rysowały się owalne okienka mansard, podobne do starych medalionów. «Gandhi» długo wpatrywał się w ten widok, a kiedy podszedłem do niego, westchnął prawie z afekcją i przyciągnął mnie do siebie:

— Patrz, co za spokój!... I to pasmo tego jasno żółtego dymu na popielatym niebie. Wygląda tak smacznie, że miałbym ochotę je zjeść; — ugryźć, jak serdelek. We wszystkich salach, w których były okna, «Gandhi» w ogóle nie oglądał obrazów. «Na obrazy przyjdę kiedy indziej — daj mi popatrzeć!»

Cieszyłem się spoglądając na niego. Odczuwałem tę samą przyjemność, jaką miałem raz za dawnych lat, gdy w Gorcach, po całodziennym marszu w deszczu i zimnie, kurowałem go wieczorem w schronisku na Lubaniu. Doszedł wyczerpany, z gorączką. Rozebrałem go i wycierałem grubym lnianym ręcznikiem, pojąc gorącą herbata. Teraz ciągle zdawało mi się, że znowu go wycieram i że on powoli przestaje szczebać zębami.

W jakiś czas potem wyjechałem na wieś. W ciągu tych paru tygodni, otrzymywałem od niego co kilka dni krótkie kartki, w których opowiadał mi pokrótce o swoich «odkryciach», o teatrze, o filmach. Po powrocie do Paryża od razu zatelefono-wałem do niego i po południu zapukał do drzwi mojego pokoju.

Mówiliśmy o moim pobycie na wsi. Interesował go szczególnie polityczny obraz wsi francuskiej i sukcesy komunistów wśród chłopstwa. Gdy mu powiedziałem, że nie wierzę w to powodzenie na dalszą metę, bo taktyka stosowana na wsi jest diametralnie przeciwna i sprzeczna z tym, co mówią oni robotnikom w miastach, i że wobec tego ta sprzeczność prędzej czy później którejś ze stron musi otworzyć oczy, «Gandhi» spojrzał na mnie i rzucił krótko:

— Wcale nie. Ale może miałbyś ochotę wyjść?

Zgodziłem się chętnie. Po kilku dniach spóźnionej zimy, było znowu ciepło i ulice paryskie zaczynały już pachnieć tym czymś nieuchwytnym i rozleniwiającym. Przeszliśmy przez plac z fontanną i schodzili w dół szeroką «avenue» w kierunku

Lasku Vincennes. Przed jakimś sklepem z owocami drzemał na pustych skrzynkach wspaniały kot i obydwa zatrzymaliśmy się, żeby go pogłaskać. Ale w tej samej chwili przebiegł obok pies. Kot wstał, fuknął i wyskoczył na paczkę ułożoną wyżej. «Gandhi» zaczął się nagle śmiać, i to w taki sposób, że spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Wiesz, powiedział, śmiejąc się ciągle nieprzyjemnie, ten kot jest dla mnie ilustracją tego wszystkiego, co dzieje się dzisiaj na Zachodzie. Ten kot, to cały tak zwany Zachód. Skakanie na coraz to wyższe paczki z pełnym pogardy i wyższości fuknięciem w stronę psa.

Zatrzymałem się i powiedziałem «Gandhi»... takim tonem, jakim mówi się «na liłość boską». On też zatrzymał się i pod szkłem okularów zobaczyłem jego twardy wzrok, śmiało wytrzymujący moje spojrzenie. W jego oczach nie było śladu śmiechu. Śmiał się głosem i to mnie zabiło. Zapadła chwila milczenia, w czasie której ruszyliśmy dalej. Zapalił papierosa.

— Chciałem z tobą porozmawiać. Boję się jednak, że źle zacząłem. Właściwie ten kot popsuł mi wstęp, bo czuję, że cię mój śmiech zmroził. Ukłułem za głęboko. Ale to nic nie szkodzi; to utwierdza mnie tylko w moich spostrzeżeniach o swojej wstydlivosti i nawet świętoszkowatości w twoim stosunku do pewnych zagadnień. A może to tylko zwyczajne zaślepienie, to szczere zakłamanie?...

Milczałem i «Gandhi» też przerwał. Nie wiem czemu, ale nagle przypomniałem sobie jak podwożono mnie na stół operacyjny.

— Mów dalej!

Wchodziliśmy do Lasku. Ze stawu unosił się lekki opar. Na cichym, podwieczornym niebie wyraźnie rysowały się kule jemioly wśród nagich gałęzi drzew. Trawniki były już zaśmiecone i jakaś zapóźniona para błakała się jeszcze w łódce po stawie.

— To było dziwne — zaczął «Gandhi» twardo. Od pewnego czasu zacząłem się budzić rano z jakąś zupełnie niehumanitarną ochotą do krzyku. Nie wiem, czy znasz to uczucie, ale to jest potworne. Patrzysz w okno, słyszysz odgłosy ulicy, wyobrażasz sobie jak ludzie wchodzą do sklepów, jak do kiosków podjeżdżają chłopcy z gazetami. Widzisz czarne tytuły, już ktoś kupuje, schodzi do «Métro». Zaczyna się dzień, normalny, powszedni. A ty masz ochotę krzyżeć, dusi cię w płucach rozpiera, chciałbyś zawyc głosem wszystkich syren alarmowych i uprzytomnić tym ludziom tutaj, że warstwa lodu, po którym chodzą, topnieje od spodu, że tam w głębi wszystko rozmarza i staje się płynne... Tak, miałbym ochotę ryknąć, że to, co robi się dzisiaj tu, jest przesycone kłamstwem, szablonem, strachem i obłudą. A przecież właśnie Zachód piętnuje to wszystko tam...

— Albo przestaniesz histeryzować, albo dajmy spokój — przerwałem ostro. Zatrzymałem się. «Gandhi» machinalnie po-

szedł jeszcze parę kroków naprzód i też stanął. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

— Histeryzuję, histeryzuję... W tym, co mówię nie ma cienia hysterii. To ty reagujesz pod wpływem strachu. Boisz się, że ja przyznam się za ciebie do rzeczy, które obchodzisz przy pomocy mówienia, ciągłego i szablonowego, o tym, co dzieje się po tamtej stronie. Starasz się zapełnić pewną próżnię, o której wiesz, że istnieje, słowami «kultura», «wolność jednostki», «Zachód». I czujesz równocześnie, że w tym znaczeniu, w jakim ich używasz, są one wytworem ustroju społecznego, który skończył się dawno; wiesz świetnie, jak bardzo są już one ode-rwane i dla jak cienkiej warstwy ich sens nie jest jeszcze pu-stym dźwiękiem. Nie — «kultura», «wolność jednostki» i «Zachód» nie są żadną ideologią. Ani polityką. To są delikatne ro-słinki, które naprawdę mogą tylko kwitnąć na gruncie jakiegoś systemu czy jak tam to nazwiesz. To są równocześnie wielkie prawdy, które potrzebują jednak oparcia w całym szeregu mniejszych prawd dla mniejszych ludzi. Ale ty wiesz, że ich nie posiadasz; ty wiesz, że nie masz systemu i że wszystko, co mó-wisz jest w istocie bez korzenia. Czepiasz się więc tych pojęć, jak cennych resztek zatopionego okrętu i chłapiasz się na co-raz to wyższej fali. No i pocieszasz się, że JESZCZE pływasz. Pamiętasz, jak opowiadałeś mi, że gdyby w 1940 r. było dosyć pociągów i samochodów, to cały Paryż byłby uciekł przed Niemcami. A dziś — co stałoby się dziś, gdyby Rosjanie szli na Zachód? Odpowiedz!

«Gandhi» patrzył spokojnie i czekał. Mnie przeszły przez myśl słowa jakiegoś robotnika, który wychylając się z okna brudnego domku obok mojego hotelu, wołał do drugiego: «Y a du bon pour nous!» To było w dzień zaprzysiężenia rządu Gottwalda w Czechosłowacji. I przypomniałem sobie także o tej krawcowej w mojej dzielnicy, która dla komunistek szyje o 30% taniej... Odpowiedziałem:

— Myślę, że uciekałoby bardzo mało ludzi... A wśród ucie-kających byłby znikomy procent tych, dla których decydują-cym motywem ucieczki byłoby «kultura», «wolność jednostki» i «Zachód»...

«Gandhi» przypatrywał mi się uważnie i zaśmiał się:

— Chwalebna szczerość. Oczywiście. Tak. Bo cała propa-ganda antykomunistyczna była i — chcesz czy nie chcesz — jest jeszcze ciągle obroną interesów pewnych klas i ich przy-wilejów. Nawet nie koniecznie materialnych... To zawsze gdzieś wyjdzie jak sztydło z worka. Nie przerywaj mi... Po co się okła-mywać? I dlatego ta propaganda przemawia TYLKO do tych klas. Masy czują to instynktownie i czują to specjalnie w tak ciężkim okresie, jak dzisiejszy. A zresztą i ty czujesz to samo. Przeanalizuj swoje uczucia, gdy oglądasz wyniki jakiegokolwiek wyborów. Patrzysz na cyfry, jak na tabelę na loterii; większa ilość niekomunistycznych głosów, to wielka wygrana, szczęś-cie. Dominuje w tobie moment «udania się», jeszcze jednego

zręcznego przeskoczenia fali, a nie moment świadomego wy-grania trudnej gry. Żywiotowości możesz przeciwstawić już tylko takie lub inne «tricki», które tu i ówdzie udają się albo i nie. Ale «tricki» nie oparte o żaden system są bronią bardzo krótką.

— Mój drogi, przecież cały komunizm opiera się na «tric-kach» i sam mi o tym...

— Oczywiście, ale na «trickach» wspartych o fundamenty systemu. To właśnie tłumaczy ich powodzenie i możliwość nie-przebierania w rodzajach chwytów. A jeżeli chodzi o system społeczny jasny, prosty, określony i — co jest dziś najważ-niejsze — dostępny dla każdego, to musisz zgodzić się, że ko-munizm jest w obecnej chwili jedynym, który odpowiada tym warunkom. Zachód nie jest w stanie przeciwstawić tu niczego innego, oprócz tradycyjnych okrzyków na cześć wolności jed-nostki i cywilizacji chrześcijańskiej, okrzyków i subtelnych ro-zumowań, które trafiają do przekonania tylko pewnych warstw społeczeństw... NO I DO PRZEKONANIA OLBRYZYMIEJ WIEKSZOŚCI PO TAMTEJ STRONIE... Ale to tylko tak długo, jak długo nie skończy się wiara w siłę i wyż-szość Zachodu. A ja tej siły i wyższości nie widzę, rozumiesz, bo nie widzę tymczasem niczego innego po-za frazesami i ciągłym liczeniem na jakieś TECHNICZNE zwycięstwo przy pomocy jeszcze jednego «tricku», z których ostatecznym jest Ameryka. Cały Zachód europejski znajduje się dziś w polu magnetycznym komunizmu. Możesz robić, co chcesz, ale nic nie poradzisz na to, że masa ludzkich opilków — właś-nie opilków — uклада się tak i nie inaczej. Wszelkie inicjatywy obrony przed tą siłą przyciągania będą dotąd skazane na nie-powodzenie, dokąd nie przeciwstawisz jej czegoś więcej, niż sensacji spoza żelaznej kurtyny, wyznań sowieckich «niewoz-wraszczeńców» i wzdychania o kulturze zachodniej. I dolarów!

Zaczęło się ściemniać i poszliśmy dalej milcząc. Zatrzymaliś-my się na mostku przerzuconym ponad jednym z dopływów stawu. Szumiał mały wodospadzik. Oparliśmy się o balustradę.

— No i cóż dostrzegasz poza tym? — zapytałem z odcieniem ironii. To co robisz w tej chwili przypomina bardziej narko-terapię, niż rozmowę. Coś jak zastrzyk pentafolu...

— Nie uśmiechaj się. Ja chciałbym to wszystko wyrzucić. Wydaje mi się, że gdyby Zachód potrafił się przyznać do wielu rzeczy, gdyby umiał sobie powiedzieć, że choroba, na którą cierpi w rzeczywistości jest czymś gorszym, niż grypa i wy-maga leczenia nie tylko tabletkami planu Marshalla, to fakt ten oznaczałby już bardzo wiele. Ale nie — w całym szeregu oddziałów tej instytucji ukrywa się bankructwo; uprawia się dalej kombinacje, gwałci się dalej po cichu zasady, o których krzyczy się głośno i które przeciwstawia się tamtej stronie. I jak w to wierzyć? Przeszedłem przez Niemcy, byłem w Belgii, siedzę tu. Patrzę i czytam, słucham. Wszędzie obłuda, bezradna gadanina i polityczno-społeczne łatanie. Mozaika poczyną,

opierających się bez wyjątku na obliczeniach z jakimś błędem, który wyłazi prędzej czy później, a ostatnio coraz prędzej. Czy nie czujesz we wszystkich tego jakiegoś tajemniczego błędu? Ten błąd mnie dręczy. Chciałbym, aby o nim zaczęto mówić i pisać wszędzie, zastanawiać się nad wykryciem go. Ale nie dojdzie się do tego poprzez ciągle przemilczanie pewnych faktów społecznych, uskoki poza frazesy i najrzeczniejsze nawet pociągnięcia polityczne. Bo stamtąd idzie coś więcej, niż rzeczność polityczna. Odpowiesz mi, że genialna demagogia, mistrzowska gra pozorów. Tak, na pewno, ale poza nią jeszcze ciągle jest coś. To coś, czego nie ma się żadna propaganda, to jakieś zagadkowe «ale» człowieka tłum, który odpowie ci na najokrutniejsze prawdy o tamtym systemie. Bo on czuje to samo co i ty, tylko że ty nie powiesz sobie tego nigdy; będziesz płukał gardło «socjalizmami niezależnymi», «demokracją», «wolnością» z cichą i skrętnie ukrytą nadzieją, że przy ich pomocy uda ci się jeszcze przedłużyć choćby o parę lat i choćby tylko cień pocziwego ustroju mieszczańskiego. Krzywisz się, bo nie lubisz tych zwrotów «zapożyczonych» z innego słownika. I wpatrujesz się w Amerykę z napięciem: czy da w końcu dosyć chleba, który na chwilę odwróci uwagę tej masy i stępi jej czujność na twoje manewry bez pokrycia, na te misterne marsze i kontrmarsze opierające się na przebrzmiałej doktrynie społecznej. Czysta i sucha polityka, oparta na kilku pojęciach, których wartość kończy się poniżej pewnego zarobku miesięcznego i poniżej pewnego poziomu wykształcenia, to bardzo mało. Ty myślisz jeszcze ciągle kategoriami jakichś dawnych elit i elitek — tak, tak — sięgnij oburącz do środka i zbadaj wnętrze. Pogrzeb się trochę w tym, szukaj... Odkryjesz wiele ciekawych rzeczy. Chociaż bardzo być może, że nie odkryjesz wiele, bo cała twoja uwaga skierowana jest tylko tam. Ach — tam sobie używasz; od razu ci rażniej na duszy i ciele, gdy możesz wyiskać coś z «tamtej strony»... Wtedy ciężar, który się gniecie tu, wydaje ci się lżejszy. Krawczyką i Valtinem upychasz skwapliwie te szpary, z których ciągnie zimnem i pustką. To pozwala ci zapomnieć o koszmarze, jakim byłby nagły kryzys gospodarczy w Stanach Zjednoczonych. Już Wallace cię niepokoi, gnębi — przyznaj się. Ale liczysz że «jakoś» sobie z nim dadzą radę. Nie chcesz słyszeć o tym, że twoje nadzieje zawieszone są na kursach Wall-Street, jak na cienkich nitkach i że ustrój społeczny Stanów zawdzięcza jeszcze swą jednolitość i zwartość czynnikowi, który może dziś przestać istnieć w bardzo krótkim czasie i który pomimo wszystko stale maleje: SZANSIE — tej szansie szarego człowieka dojścia do wysokiego poziomu materialnego, tej samej szansie, która przez tak długi czas była dźwignią podobnego ustroju w Europie. Tu resztki jej istnieją już tylko dla pewnych warstw, tam jeszcze dla wszystkich, przynajmniej w teorii. Ale i gdy tam jej czar przestał by działać, gdyby i tam skończyła się ta szansa, to co? To może znowu «kultura», «wolność jednostki»

i «Zachód»? Nie — bo liczysz po cichu, że Ameryka wydobędzie się «jakoś» z trudności. I w tym «jakoś» godzisz się na rzeczy, które cię tak oburzają po tamtej stronie i które codziennie piętnujesz? Będziesz mniej wrażliwy na bicie pałkami strajkujących robotników, na strzały policji, na aresztowania przywódców «dzikich» syndykatów i na różne inne — jak to określasz uskokowo — «nieuniknione konsekwencje». Dlaczego milczysz i nie chcesz opowiadać tego, co wiesz o «niewowraczszceńcach», o ich dalszym losie już tu, po tej stronie? Bo ci wstyd, bo znowu chcesz widzieć tylko to, że oni «wydostali się» i «odetchnęli». Na jak długo? Co myślisz? Dostrzegasz niemal tylko wakacyjną stronę zagadnienia i sam nawet nie czujesz, do jakiego stopnia Zachód stał się dla ciebie synonimem przede wszystkim jakiegoś uzdrowiska o łagodnym klimacie, pełnego jeszcze smaczków życia i resztek ukochanego 1900...

«Gandhi» mówił to wszystko spokojnie, spoglądając na czarną powierzchnię wody. Ja patrzyłem w niebo, ciemniejące powoli, łagodne i głębokie. Gdzieś z daleka dolatywała muzyka — pewnie głośnik karuzeli lub elektrodromu w wędrownym lunaparku.

— «Gandhi» — zacząłem tonem lekarza pochyłającego się u wezglowia chorego — ależ to wszystko, co dzieje się po tamtej stronie jest jeszcze stokroć gorsze. Przecież wiesz lepiej ode mnie...

— Milcz! — krzyknął gwałtownie. Przede wszystkim nie mów do mnie tym głosem. Kiedy brak ci argumentów, a przy dotknięciu dna brakuje ci ich dotąd z reguły, ty zaczynasz przemawiać tonem psychiatry. Czy nie widzisz, że jest to znowu jeden z twoich sposobów ucieczki? Za wszelką cenę chcesz dostać się z powrotem w pobliże powierzchni, pływać w tej warstwie letniej wody rozumowań, intelektualnych płasów, efektownych cytów, którym grozi jednak natychmiastowy skurecz, gdy dotkną niższych prądów. A ściągnięty tam, bronisz się jak sztubak krzycząc, że tamten jest jeszcze gorszy. To twój jedyny mocny argument gdy docisnąć cię łopatkami do muru. Ale to argument już bardzo zdarty — zapewniam cię — i co gorsze, implikujący brak zasadniczego KONTRASTU. Tak, tak — zasadniczego. Zanik kontrastu, to twoja śmierć. I znowu miej odwagę przyznać się, że jedynym kontrastem staje się teraz już prawie tylko to, co nazwałem «ciszą uzdrowiska»... Och, tak, zgadzam się, to bardzo wiele. Tęskniłem za tym potwornie, każdym nerwem i po przyjeździe tu upijałem się tym do nieprzytomności. Ale w chwilach otrzeźwienia, krótkich i odpychanych gwałtownie, czułem z przerażającą ostrością, do jakiego stopnia dla nas, młodych, nie może to być wszystkim... A przecież do jeszcze młodszych nie przemawia w ogóle. Bo między 15-tym a 25-tym rokiem życia szuka się soków, żywych i wartkich, ruchu wszystko jedno jakiego, a nie owoców. Tu roi się jeszcze od owoców, ale świeży sok przestał krążyć. Spójrz na młodych i posłuchaj co o tym myślą. A tam dzieje się bardzo wiele, tam

pomimo wszystko daje się młodemu coś. To nie jest takie proste, jak myślisz...

Przestań na mnie patrzeć, jak na chorego i spróbuj zdjąć okulary. Sztancą myśli, nie mówieniem, nie przyznawaniem się nie ujedziesz daleko. Pragniesz wojny, niemal modlisz się o nią, bo tylko atomem uranu jesteś jeszcze zdolny rozsądzać. A co dasz po niej? Pociągasz nosem i niecierpliwisz się. Słowa, słowa, słowa. Ale to śmieszne ile rzeczy cię niecierpliwia, jak bardzo stałeś się podejrzliwy i jak bardzo spłycieś się od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Wtedy nie bałeś się pewnych określeń — dziś sam fakt posługiwania się nimi przez takich każe ci je uważać «a priori» za błędne. Unikasz ich tym bardziej, im bardziej czujesz, że obiektywnie są one słuszne. To, że używa się ich tam dla pewnych celów, w wielu wypadkach na pewno sprzecznych z prawdziwym postępem człowieka, odbiera ci odwagę zastosowania ich do siebie. Chodzisz na palcach wokoło «burżuazji», «dwustu rodzin», «trustów» i «kapitalizmu». Jeżeli bronisz struktury społecznej, która zapewnia im możliwość istnienia, to czemu nie powiesz tego otwarcie? Ale nie, ty jesteś postępowy i wolisz chować się za... ech, sam wiesz lepiej za co. Dużo tu pomysłów, wiele «trzech sił», «akcji republikańskich», ale czemuż mijają bez echa? Powiem ci: bo wszystkie mniej lub więcej świadomie są tylko parawanami...

— A czy tam wszystko nie jest też jednym olbrzymim parawanem? — parsknąłem już ze złością.

— Wracasz z uporem do twojego argumentu. Ale na Boga czyż nie widzisz, że żyjemy w czasach, w których musi się w końcu zaprzestać odrzucania piłki? Zastanów się, że na tych wyżynach przekonania o swojej wyższości i wiary w prawdę głoszonych zasad, ten sport podrywa może najbardziej zaufanie tych, na których ci najbardziej zależy. Bo chyba nie zapominasz o tym, że w tej chwili nie jest to jeszcze walka dwóch światów, ale raczej spotkanie drużyn. Przyglądają się mu miliony widzów, a sympatie publiczności są paradoksalnie przeciwnostawne; czerwoni mają za sobą większość publiczności białych, a biali większość kibiców czerwonych. Ale dalsze poprzestawanie z tej strony na technicznej obronie kruchej bramki i odkopywanie piłki w ten sposób, w jaki tamci chcą, żeby była odkopywana, może zmienić sympatie także i tamtej połowy. A co wtedy? Ostrzegam cię, że pomimo wszystko ten proces jest już w toku. I o nim warto pomyśleć...

Spojrzałem na «Gandhiego» i zląkłem się. Przeraził mnie jego spokój, chłód tych «pomimo wszystko» wypowiedzianych twardo i zdecydowanie.

— «Gandhi», szepnąłem, pomyśl ilu ludzi stamtąd ucieka...

— A ilu wraca? Jakie jest saldo? Jakże są motywy powrotu? Czy w końcu nie najczęściej to wszystko, o czym ci mówię? I kto ucieka? Jak się ich przyjmuje? Czytałeś ostatnio o ucieczkach Rosjan do strefy amerykańskiej. I co napisano? Że «użytecznych», sowiecką inteligencję, przewiezie się do Stanów, a

co do innych, to zachodzi możliwość wydania ich z powrotem na zasadzie jakiegoś układu o «zwracaniu dezertów»...

— Daj spokój! Tylko tak mówią...

«Gandhi» uderzył nagle pięścią w poręcz mostu i zaczął prawie krzyczeć. Było już ciemno.

— Tylko tak mówią, tylko tak mówią — zachłysnął się — to cała twoja odpowiedź. Odpowiedź «włajemniczonego». Ale dziś nie wolno już «tylko tak mówić», kręcić, żonglować zasadami, o których się trąbi na cały świat, że są «święte» i «nie-naruszalne». Chwycił mnie za kłapy płaszcza i krzyczał prosto w twarz jakby z łkaniem w głosie: «Słuchaj, w obecnej chwili nie tylko napisanie czegoś takiego, ale w ogóle myśl tego rodzaju jest zbrodnią. Tam — jestem pewny — tam szeptana wieść o tym biega już po tysiącach kilometrów kwadratowych... tam, tam gdzie siedzi wasza publiczność. Czepiam się głupstw? Nie — w tej dziedzinie nie ma dzisiaj głupstw. Nie masz idei, więc dotrzymuj z żelazną konsekwencją i troskliwością choćby tych kilku pięknych zasad, którymi obracasz od rana do wieczora, jak terkotką. Ale ty i tego nie potrafisz, bo zbyt wiele egoizmów obsiadło je jak muchy — egoizmów, z którymi musisz się po cichu liczyć. Stajesz się niepostrzeżenie bigotem jakiejś mglistej religii. A tam wypadki pędzą...

Oderwałem ręce «Gandhiego» od kłap mojego płaszcza i podałem mu papierosa. Sięgnął po ogień. Ręka drgała mu tak silnie, że płomień nie mógł trafić do tytoniu. W nikłym świetle zapalki zauważyłem krople potu na jego czole i policzkach.

— Chodź, powiedziałem spokojnie. Wziąłem go pod rękę i wolno prowadziłem. Wyszliśmy pogrążeni w milczeniu. Potem szliśmy jedną z tych małych uliczek, oświetlonych z rzadka gazowymi latarniami. Pod jedną z nich «Gandhi» nagle przystanął. Było zupełnie cicho i tylko nad nami syczał siny płomień gazu. «Gandhi» odsunął się ode mnie o krok i już znowu zupełnie spokojnie powiedział:

— Słuchaj, właściwie chciałem pożegnać się z tobą. Ja — wracam!

Patrzył na mnie. Wyciągnąłem spokojnie z kieszeni tytoni i nabijając wolno fajkę, uśmiechnąłem się do niego:

— Domyślałem się tego. Dziękuję ci, «Gandhi». Oparłem rękę na jego ramieniu: Wiesz, chlusnąłeś mi na łeb taką ilością zimnej wody, że martwy mógłby powstać. Jestem ci wdzięczny za to, bo to dobrze robi. Tego nie należy unikać, nie trzeba się bać. Wszystko, co dzieje się dzisiaj jest w znacznej mierze wynikiem milczenia, obchodzenia na palcach... A zresztą sam to już powiedziałeś. I ja się z tobą zgadzam. Zgadzam się całkowicie — tak — aż do... aż do... Zaśmiałem się: Aż do tej latarni.

Podałem mu rękę i mocno ścisnąłem jego gorącą dłoń. Potem szybko poglądałem go po głowie. Odwrócił się i odszedł. Znikł w mroku i tylko w skośnym świetle długo migały jego chude nogi.

Andrzej BOBKOWSKI.

Zielony promień

Opowiadanie *«Zielony Promień»* wyjęte zostało z nowej powieści Mariana Czuchnowskiego *«Tyfus, teraz słowiki»*. Tematem powieści są dzieje Trzeciego Szpitala chorób zakaźnych na Starym Mieście, w Taszkencie, podczas zimy 1941/42, i wiosny 1942.

Wyśmienity blask; mogło to być czyste światło księżyca, albo może światło jakiejś dużej gwiazdy, zasrebrzył dokładnie górne szyby, wyglądające teraz jak płyty ze stężalej rtęci. Lecz nie był to blask, ani księżyca, ani wielkiej gwiazdy, tylko wczesne światło świtu.

Świt rozlewał się po suficie i wsiąkał zaraz w woskowe, złote płomyki żarówek, bure i nieprzyjemne.

Na oddziale trzynastym akurat tak samo, jak i na innych oddziałach z oknami wychodzącymi na wschód, przenikanie świtu przez górne szyby, było podobnie silne.

Chorzy jęczeli skuleni pod kocami, majacząc lub rżąc; czasem krzycząc w gorączce w różnych niezrozumiałych językach i narzeczach. Na kocach tworzyły się powoli kałuże światła idącego brzasku. Siniaty, potem błękitniały, a kiedy różowa, zdrowa, zimna zorza zapaliła okna, w fałdach koców, na łóżkach, i na twarzach chorych, cienie i ich załomy błyszczały podniecającymi, szkarłatnymi barwami.

Noc przeszła i zaczynał się dzień. Za oknami, na dole, na podwórzu i na szerokiej drodze obok, pchały się w oczy śnieżne, nieoczekiwane, białe pola. Dziwny był to widok, gdy góra padały na sufit i na ściany ruchome słupy światowego różu, a na dolne szyby oraz na podłogę sali wchodził równocześnie inny, biały, kredowy chłód od śnieżnych pól.

Za oknami rzeczywiście leżał śnieg. Dziwił się teraz temu ten czarny chłopak, przyniesiony tu ostatniej nocy stycznia, podczas zacieklej wichury i deszczu. Obudził się (jeśli w ogóle pamiętał cokolwiek) na tym samym łóżku i przytomnymi oczami śledził miejsce, w którym znowu znalazł się — nie wiadomo jak, i nie wiadomo, kiedy. Patrzył na sąsiednie łóżka, marszczył czoło, mrugał zabawnie powiekami, coś sobie chyba przypomi-

nał, lecz trudno mu było zrozumieć, skąd się tu wziął, co robił przez cały czas i dlaczego tu jest jeszcze teraz.

Żywsza, następna fala różowego światła wlała się zwinnie w okna.

Chory próbował unieść się na rękach i popatrzeć w okienną różaność. Gramoląc się spod koca, uniósł się nieco, i nagle ujrzał białe, nisko leżące tuż za dolną szybą, oślepiające pole śniegu. Chciał coś powiedzieć, kogoś zawołać, lecz nie mógł się zdobyć na żaden wysiłek. Twarz jego była szara; wszystka krew z niej ściekła. Strasznie śmieszne, różowe światło świtu odbiło się na skórze jego policzków, że wyglądały, jak pomazane czerwoną farbą, policzki drewnianej maski.

Na sali nie było nic ciekawego. Łóżka stały w rzędach, nakryte niebieskimi lub czarnymi kocami, pod którymi wili się, jęcząc, jacyś nieznani ludzie.

Obok stolika siedziała na krześle stara, zmęczona kobieta. Może spała? Jedną rękę miała opartą martwo o róg stołu. Lampa oświecała jej pół twarzy z kurczowo przymkniętym lewym okiem, druga połowa twarzy była w niebieskim cieniu.

W przeciwnym końcu sali stały trzy łóżka nakryte straszliwie białymi prześcieradłami. Chory mrugał powiekami patrząc uporczywie na te trzy przykryte łóżka, lecz niczego nie mógł sobie przypomnieć.

Wtem zadzwonił ostro dzwonek na korytarzu i zaraz potem w całym gmachu zatupotały ciężkie kroki i szybko ucichły.

Siwa, stara kobieta zerwała się, zgasła natychmiast lampę, podeszła do drzwi, przekreśliła kontakt i zgasły również te wszystkie bure, nieprzyjemne żarówki.

Na sali został najpierw wapienny, potem niebieski mrok.

Różowe szyby na górze też zgasły od razu, a dolne, te śnieżne, jeszcze bardziej wybielały, naciągając salę zimnem.

Otworzyły się cicho drzwi i weszła grupa ludzi w białych kitlach i w takich samych białych płaszczach. Wśród nich był doktor Nikitin. Stara pielęgniarka widać dawno czekała na to, bo podeszła i mówiła monotonnym głosem:

— Trzech trzeba wynieść natychmiast; czy mogę zadzwonić?
— Nie trzeba. Cementarnicy już wiedzą i zaraz przyjdą.
— Ten chłopak pod oknem na drugim łóżku, prawdopodobnie odzyskał przytomność.

— Aa, — ożywił się Nikitin — czy jesteście tego pewna?
— Tak, oczywiście.
— A może przywidziało się wam we śnie, Nadieżda Pietrowna? Oczywiście, spaliście znowu, — mówił żartobliwie.

— Niet, jej Bohu, niet — widziałam wyraźnie, że jest przytomny, na własne oczy widziałam, Włodimir Nikołajewicz.
— Dobrze, dobrze — mówił doktor — zaraz to stwierdzimy — dziękuję wam. — Możecie teraz iść spokojnie spać do domu.

Stara ukłoniła się, i lekko, szybkim, kokosim kroczkiem podreptała ku drzwiom.

Poranny przegląd zaczynał się wcześnie. Wielka ilość cho-

rych, ciężki stan wielu pacjentów, brak wystarczającego personelu medycznego, to wszystko zmuszało do tym czujniejszej obserwacji pozostałych przez lekarzy i pielęgniarki. Nikitin nie tracił czasu, lecz dawał niezbędne rozporządzenia, pytał po kolei tych, co byli przytomni, o ich samopoczucie, przyspieszał polecenia w sprawie uprzątnięcia zmarłych, liczył wolne łóżka dla przyjęcia nowych, czuwał nad pielęgniarkami i mierzeniem gorączki.

Na salę weszły kamfoterki, duże, chude kobiety, w szarych kitlach i rozpoczęły od razu czyszczenie i mycie podłogi, wynoszenie kubłów i wiader. Pielęgniarki myły tymczasem chorych, budząc ich i nachylając nisko nad dużymi, blaszanymi miednicami. Niektórzy byli jednak tak słabi, że tylko można im było obmyć ręce i wytrzeć twarz mokrym płótnem. Okropny zaduch zionął z odkrytych łóżek, na których często widać było ludzkie odchody pozostałe z nocy. Jedno z łóżek specjalnie zaciekawiło doktora. Leżał tam, obrośnięty nieludzko siwą szczecią, stary człowiek, któremu kał przysechł do ciała, świecąc podejrzanymi, czerwonymi plamami.

— Jak dawno on tu leży? — spytał.

— Cztery dni.

— Czy był badany na czerwonkę?

— Nie, lecz wiadomo, że ma również czerwonkę.

— Czy jest jeszcze trochę kwasu solnego w apteczce?

— Nie. Już nie ma, Włodimir Nikołajewicz, — odparła pielęgniarka, i dodała potem szybko:

— Mamy przecież w naszym pawilonie dwunastu ludzi chorych na czerwonkę i tyfus równocześnie. To z transportu białoruskiego. Uciekinierzy.

— Proszę zapisać — powiedział spokojnie. — Zarządzam przeniesienie na oddział dwunasty. — Można już przykryć go kocem. — Która godzina?

— Dochodzi siódma.

— Dobrze. Idźmy dalej.

Przechodzili kolejno łóżka. Pytał ustalonym zwyczajem o zdrowie, chorzy bąkali coś albo żalili się, lub narzekając, dodawali płaczliwie:

— Ot, koniec, d o r o g o j w r a c z !

Uśmiechał się i mówił zawsze:

— Nic się nie bój, dziecko, wszystko będzie w najlepszym porządku. Przecież przywieźli cię tu na wyzdrowienie, a nie na śmierć.

Wielu dziękowało doktorowi z przejęciem, a on szedł dalej, od łóżka do łóżka, i wszystkim mówił to samo.

O czym w istocie myślał po drodze, Włodimir Nikołajewicz Nikitin, nikt — nawet jego najbliżsi — nie wiedzieli.

Cmentarnicy weszli na salę podstępnie, cicho i bezszelestnie. Postawili nosze, przewinęli zręcznie łóżka, nakryli nosze tymi samymi prześcieradłami, które tak przedtem białeły, i zniknęły równie cicho, jak weszli, tylko czarne koce zasłane teraz gładko,

świadczyły, że łóżka są puste. Za cmentarnikami znikły kamfoterki, unosząc swoje wiadra, blaszane miednice i szmaty do wycierania podłóg.

Zrobiło się prawie jasno. Pierzchyłe stare cienie i barwy, znikły jaskrawe, pierwsze kolory, sala wróciła do zwykłego, zimnego wyglądu szpitalnego.

Przegląd miał się ku końcowi. Zostały jeszcze trzy łóżka. Doktor Nikitin spoglądał coraz częściej w stronę drzwi.

Wreszcie drzwi uchyliły się i ktoś stanął w nich; — słychać było jak rozmawia dzwiecznym głosem z kimś na korytarzu. Wszystkie pielęgniarki zwróciły głowy w tę stronę.

Weszła Natasza. Chorzy poruszyli się w łózkach.

— Dzień dobry! — powiedziała.

— Dzień dobry! — odpowiadali, a ona szła od łóżka do łóżka, każdego wesoło, dzwiecznie pozdrawiając, rumiana, krzepka i przeraźliwie zdrowa. Mrużąc błękitne oczy, uśmiechała się, a na białym, mocnym karku, wiła się szczególnie złota miedź jej włosów, która żywo podkreślała śnieżność czepka i sztywnego, białego kołnierza.

Podeszła do Nikitina, przywitała się i poprosiła o termometr. Doktor dał jej termometr i spojrzał na nią zdziwiony. Wyglądała świeża i wypoczęta, jak nigdy. Bujna jej uroda krzyczała na tej ponurej sali radosnym głosem zdrowia, szczęścia i młodości. Zauważył, że Natasza ma dzisiaj na szyi jedwabny, drukowany w czerwone, dzikie maki, piękny szal, który widział raz w mieszkaniu Miszy, gdy przyjechał z Moskwy.

Natasza zauważyła spojrzenie Nikitina. Wziąwszy termometr odeszła zaraz, kierując się prosto ku łóżku nowego, czarnego chłopaka.

Powiedziała «dzień dobry». Odpowiedział tak samo, i spojrzał na nią szybko, czarnymi, palającymi oczami. Wsunęła mu delikatnie termometr pod pachę, poleciła trzymać ostrożnie, i wróciła do Nikitina. Stała cicho i wpatrzyła się, w śnieżne pola za oknami, jakby po raz pierwszy zauważyła śnieg.

Zamyślenie przerwał Nikitin:

— Czy «on» zdaje sobie sprawę z tego, gdzie jest?

— Chyba nie, myślę, — odpowiedziała z wahaniem.

— Czy mogę zobaczyć wykres jego gorączki?

— O, o, tu jest wykres. Ależ oczywiście, proszę!

Doktor wpatrywał się pilnie w kartę, na której trzy razy dziennie, a często dwukrotnie w nocy, wypisywały dyżurne wysokość gorączki pacjentów, zakreślając następnie linię od jednego punktu do drugiego. Krzywa tyfusowej gorączki biegła zawsze w nagłych skrętach. Niebieski ołówek oznaczał ilość stopni według Celsjusza, a czerwona linia zygzaków skręcała się w nagłych spiralach, i rzadko kiedy spadała poniżej trzydziestu ośmiu stopni, wijąc się przeważnie między trzydziestym dziewiątym a czterdziestym, skacząc czasem raptownie do czterdziestego pierwszego.

Gorączka nowego wykazywała dwa raptowne spadki do trzydziestu siedmiu i pięć dziesiątych nocą pierwszego lutego oraz jeden do trzydziestu ośmiu stopni, również nocą, trzeciego lutego. W kilka godzin jednakże potem krzywa podeszła wyżej i zatrzymała się na czterdziestu.

— Czy mogę zobaczyć również inne karty? — zapytał szepem Nikitin.

— Leżą tu wszystkie.

Oglądanie odbywało się w milczeniu.

— Nie ma tu nadzwyczajnych różnic — powiedziała Natasza. — Często ci, którzy umierali, miewali tylko trzydzieści dziewięć stopni Celsjusza, a ci — zrobiła ruch ręką — jak na przykład «on», mieli powyżej czterdziestu, i serce wytrzymało.

— Serce? — podchwycił doktor. — To nie serce, droga Nataszo! To chyba coś więcej. Właśnie to «coś więcej» jest dla mnie medyczną zagadką. — Właściwie oni wszyscy powinni umrzeć według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze przed kryzysem. Jedno jest pewne, że ci, którzy nie dostają dodatkowo zapalenia płuc lub mózgu, wychodzą zdrowi. — Czy nie dziwne?

— Tak, to prawda — mówiła — lecz dziewięćdziesiąt procent z nich dostaje zapalenia płuc, mózgu lub opon mózgowych już po pięciu dniach.

Lekarz znowu spojrzał uważnie na siostrę i zapytał tym samym rzeczowym tonem:

— Czy «on» wie o tym, że od jego przybycia minęło pięć dni i nocy; i że podczas tego był tylko na krótką chwilę dwukrotnie przytomny?

— Nie. Jestem pewna, że nie wie. Nie pamięta on także swego imienia i nazwiska, ani nie pamięta niczego ze swej dotychczasowej choroby. — Czy wy myślicie, Włodzimierzu Nikołajewiczu, że można uchronić go od zapalenia mózgu lub płuc i — że przeżyje?

— Prawdopodobnie. Prawdopodobnie. — Możliwe, wszystko możliwe, — mruczał doktor oglądając z zaciekawieniem coraz to inne karty.

Przerzucił wszystkie i wziął następnie leżącą na samym wierzchu jego kartę, i czytał ją półgłosem. Zamyślił się, i zwracając się potem do Nataszy, akcentował każde słowo osobno:

— Czy dane te są wzięte z oficjalnego dokumentu?

— Tak. Wzięte są z udostowierenia wydanego przez NKWD Ucht - Izm - Łagieriej, z których go wypuścili.

— Polacy mają dziwaczne nazwiska. Nieprawdaż? Cóż to za nazwisko — «Jan Stanisławowicz Rawa»? Rawa — Rawa.

— Dziwne, prawda? — A może to jego nieprawdziwe nazwisko? — Czy myślicie, że tak?

Natasza była zaskoczona tym, co mówił doktor. Nie myślała nawet czy nazwisko byłego więźnia jest prawdziwe, czy po prostu skłamane. Cóż to miało zresztą do rzeczy!

— Swoją drogą — zaniepokoiła się teraz — Rawa, Rawa, tak, to rzeczywiście dziwne nazwisko.

Przypomniała sobie nagle, że chory od dawna trzyma termometr pod pachą i że najwyższy czas zobaczyć wysokość gorączki. Przeprosiła Nikitina i podeszła do Rawy.

Leżał tym razem naprawdę spokojnie i śledził uważnymi, nieco nerwowymi oczami jej postać i ruchy. Czuła, jak jakaś niezrozumiała dla niej, wielka energia zaczęła się w tych oczach, które chcą ją zapamiętać, zapamiętać tak strasznie. O samym chorym, Natasza nic nie wiedziała, prócz tego może, że obserwowała go, nie wiedząc dlaczego — bardziej uważnie przez oba dzidy, pierwszego i trzeciego lutego. Jedno wiedziała z całą pewnością: nikt, żaden chory nie tracił tak bardzo głęboko przytomności, jak właśnie on.

Noc trzeciego lutego zaliczała Natasza do najgorszych nocy, jakie w ogóle spędziła w ciągu trzech lat pracy w szpitalach. Umarło bowiem siedmiu ludzi; prawda — pięciu z nich było nie do uratowania w ogóle, i zmarli oni jeszcze przed kryzysem, na zapalenie płuc, lecz dwóch szalało w agonii, rzucając na cały pawilon tak, że trzeba ich było nakryć ciężkimi kocami, gdyż reszta chorych słuchała ich śmiertelnego wycia w najwyższym przestraszu. Uciszyło się na chwilę, kiedy cmentarnicy, wezwani niezwłocznie, uprzątała ruchami hien, zasłane zwłokami łóżka; i wówczas zaczęła się sprawa Rawy.

Zmierzyła mu gorączkę. Gorączka nie była nawet specjalnie wysoka, bo miał tylko trzydzieści dziewięć stopni Celsjusza. Otarła mu twarz chłodnym ręcznikiem, obmyła ręce.

Zdziwiło ją jednak, że miał u lewej ręki dwa palce sztywne, jak z drewna. Nacisnęła boleśnie jeden, aby się przekonać, czy czuje cokolwiek.

Palec był zimny, sztywny; bez czucia.

Dłoń i ciało chorego żarzyły się gorące, suche, rozpalone, i tylko te dwa palce — jak kredowe, pośótkle trupki — wisały martwo i niezgrabnie, lodowato zimne.

Lecz takie lokalne paraliże zdarzają się zresztą przy wysokiej gorączce. Co innego zastanowiło poważnie Nataszę: oczy. Oczy Rawy, jeśli czasem kryły się w cieniu, płonęły rozpaczliwie fioletowym blaskiem, tak silnie fioletowym, że połysk padał na rzęsy. Przestraszyła się, gdyż zdarzyło się jej to widzieć po raz pierwszy.

Ułożyła go wygodnie. Był spokojny, pozwalał się obsługiwać, myć, podnosić, przykrywać, i milczał cały czas. Zostawiła go więc i odeszła do tych, którym już nie pomóc nie mogła, lecz przy których powinna była czuwać.

Bez przesady, lęku czy podniecenia, z zawodową, spokojną zręcznością narzucała białe prześcieradła na zmarłych i uspakajała sąsiadów leżących obok, że wszystko jest w porządku i że nic się nie stało.

Przez chwilę tylko czuła fizyczne obrzydzenie. Było to może chwilowe osłabienie, i dlatego światło żarówek płonących pod

sufitem wydawało jej się odrażająco ohydne. Napila się, nie zastanawiając się nad tym zupełnie, zimnej wody z dzbana stojącego na stole, umyla ręce i usiadła na krześle.

Niedługo jednak siedziała.

Gdy cmentarnicy uprzątnęli już ostatnie zwłoki i zniknęli z noszami na korytarzu, rozległ się na sali długi, wstrząsający krzyk.

Z początku nie wiedziała, kto krzyczał. Przełękła się, że może krzyknął na korytarzu któryś z wyniesionych przez cmentarników, co się czasem zdarzało. Lecz nie. Krzyk dochodził z sali.

Zerwała się z krzesła i usłyszała nieprzytomne wołanie Rawy:

— Siostra! Siostra! Siostrzyczka!

Pobiegła natychmiast. Nigdy jeszcze nie widziała tak strasznych, przerażonych oczu. Świeciły czerwono, jak oczy królika. Chory był nieprzytomny; szara piana lśniła na jego skrwawionych, spękanych wargach.

Nachyliła się nad nim, aby mu obetrzeć pianę i zwilżyć wodą twarz. Chwycił ją za rękę i ścisnął mocno. Mówił coś niezrozumiałe, szybko, z lękiem. Potem głos jego stał się czysty z powrotem.

Puścił jej rękę, mówiąc bez przerwy:

— Nie odchodź nigdzie. Zostań przy mnie. Nie odchodź. — Nie odchodź nigdzie.

Mówił jeszcze jakiś czas, i znowu złapał jej rękę i ujawnił ją obiema dłońmi, nie chciał puścić. Zęby mu szczekały, ciało drżało w konwulsjach. Szeptał:

— Nie opuść mnie teraz. Bądź przy mnie.

Nachyliła się, jak tylko było można blisko, gdyż gnuśny zapach gorączki odpychał ją nieznośną wonią, i powiedziała wprost, nie zdając sobie sprawy, co mówi:

— Nie opuszczaj mnie, nie opuszczaj. — Będę z tobą. Ciszej! Ciszej! — Wszystko będzie dobrze. Czy słyszysz, co mówię?

Ścisnął jej rękę i mówił, śpiesząc się, rwąc wyrazy, kalecząc akcent:

— Słysz, słysz! Jak to dobrze, że ja cię słysz tak blisko.

— O dobrze, tak dobrze! — mówiła Natasza, uspakajając go, i trzymając rękę w jego gorących, suchych dłoniach, chciała się wyrwać z żaru, który buchał od niego.

W chwilę potem wydawało się jej, że uspokoił się. Wszystko istotnie wskazywało na to.

Zaniepokojeni z początku krzykiem i hałasem, chorzy ułożyli się z powrotem pod kocami, każdy osobno, każdy nieludzko samotny ze swą własną tragedią, i sala znowu zasypiała.

Nie trwało to jednak długo. Rawa dostał znowu gwałtownych konwulsji. Był to dziwny szok, który zaczynał się w okolicy kręgów szyjnych, i rozdławiając się na dwa nurty, atakował kręgosłup i równocześnie czaszkę.

Drgał, podzucany nagłymi zrywami, otrząsał się i znowu się

uspakajał, ale zaraz po tym ponowny skurcz przeszywał go na wskroś.

Po trzecim ataku, najdłuższym ze wszystkich, Natasza uwolniła rękę z jego rozpalonych dłoni i usiłowała wytrzeć mu twarz.

Drżał wstrząsany równomiernymi podrzutami, trząsł się w dzikiej febrze, szczekał zębami.

Potem na chwilę znów się uspokoił.

Gdy najmniej spodziewała się tego, nastąpiło najstraszniejsze. W pewnej chwili zaczął błędzić rękami po kocu, szukając czegoś, następnie wodził po powietrzu palcami. I jakby nic, niespodzianie powiedział zupełnie normalnym głosem:

— Siostrzyczko, siostrzyczko! Siostro! — Gdzie jesteś?

— Gdzie jesteś? — powtórzył.

— Tu, koło ciebie jestem — odpowiedziała. — Tu, jestem przy tobie.

— Słysz, cię, lecz cię nie widzę! — powiedział martwo, a potem zaczął krzyczeć:

— Siostro, słysz, cię, lecz cię nie widzę!

Stała na wprost i nachyliwszy się bliżej, powiedziała:

— Czy widzisz mnie teraz?

— Nie, nie widzę cię, choć cię słysz.

Przeszło ją obce, wielkie zimno. Czyżby to już był początek końca? Opanowała się z wysiłkiem i powiedziała bardzo głośno:

— Nie myśl o tym, to drobiazg. Tu jest ciemno. Nie możesz mnie widzieć. — Zaraz zapalę lampę i znowu mnie zobaczysz.

Podeszła do stolika i skierowała jaskrawy krąg prosto w jego twarz.

— No, a teraz mnie widzisz?

Nie otrzymała odpowiedzi. Przerażona, spojrzała w jego oczy. Były szeroko otwarte, lecz martwe, suche, bez blasku.

— Czy mnie widzisz? — spytała. — Słuchaj, odpowiedz, widzisz mnie? — Musisz mnie teraz widzieć.

Nie odpowiedział. Zobaczyła, że krąg płonącej lampy objął jego źrenice, wypełnił je całkowicie swym martwym światłem, ale nie czuły one już ani światła, ani blasku.

— Słysz! Słysz! — łamał się coraz cichszy głos. — Lecz mów głośniej, bo gdzieś bardzo daleko odeszłaś. — Zbliź się do mnie, słabo cię słysz.

Tu urwał się szept. Natasza, umoczywszy ręcznik w wodzie, wyżyła go pośpiesznie, potem przykryła mokrym płótnem jego twarz, postawiła z powrotem lampę na dawnym miejscu, i natychmiast wyszła. Weszła do dyżurki.

— Centrala? — Doktora Fomina, proszę. Szybko! Tu oddział trzynasty.

— Michaił Pawłowicz, bardzo proszę, jak najszybciej. Natychmiast. Potrzeba co najmniej dwa zastrzyki.

— Agonia?

— Zdaje się, tak. — Czegoś podobnego jeszcze nie widziałam!..

Maszynka paliła się i już woda bulgotała w miseczce na stole, gdy przyszedł Misza. Bez słowa oddał Nataszy strzykawkę, igły, ampułki, a sam podszedł do łóżka chorego.

Rawa dyszał, ciężko oddychając pod mokrym ręcznikiem. Lekarz dotknął z przyzwyczajenia pulsu.

— Tak, być może, że to agonia.

Wrócił do stolika, i wzięwszy od Nataszy strzykawkę, spokojnie zakładał igłę.

— Jodyna, wata; czy macie wszystko przygotowane?

— Jodyny już nie ma ani kropli. Wczoraj wyszła wszystka. Jest trochę drzewnej waty.

— Nic nie potrzeba, jak nie ma! Obejdzie się! — burknął gniewnie. — Przygotujcie chorego.

Zdjęła szybko ręcznik z jego twarzy i przeraziła się znowu. Ręcznik był gorący.

Rawa leżał nieruchomo z otwartymi, zgastymi oczami.

Ręka lekarza mocowała się z suchą, twardą, wapienną skórą. Nie namyślając się długo, Fomin wbił igłę, lecz ugięła się od razu. Pchnął ją jeszcze raz bardzo zręcznie, ale igła nie chciała w ogóle wejść w mięsień.

Syknął:

— Ot, ścierwo, nie igła, złamała się, widzicie?

— Jeszcze mamy dwie igły wszystkiego. — Ech, nieprzyjemny wypadek!

Wstał z gniewem i podszedł znów do stolika, wyjął z wody drugą igłę, umocował ją, wrócił, i jednym drapieżnym ruchem wbił ją w mięsień przedramienia tak mocno, że obok igły pojawiła się natychmiast blado-różowa kropelka krwi.

— Otwórzcie teraz kofeinę — powiedział. — Tylko szybko!

Sprawnie wciągnął czystą, kroplistą rosę do strzykawki, błyszczącą w niej, jak perlista woda, i nie czekając długo, wbił igłę tuż obok blado-różowej, krwawej kropelki i powoli, nieustępliwie, naciskał tłoczek.

— Natasza!

Głos lekarza był czuły, jak najdelikatniejszy błysk muzyczny.

— Proszę, otwórzcie również jeszcze jedną kofeinę. Szybko!

— Michaił Pawłowicz — błagalnie szepnęła Natasza, i nie wiedziała, co powiedzieć. — Michaił Pawłowicz — ależ nie można tyle naraz. Proszę, poprzestańcie na tym.

W jej głosie drżał lęk.

Misza spojrzał na nią ostro, że się jeszcze bardziej przeraziła. Skończył zastrzyk, i powtórzył, przedrzeźniając jej szep:

— «Nie można». — «Nie można». — Otwieraj następną kofeinę! Otwieraj natychmiast!

Delikatne, cienkie szkło dźwięczało żałośnie, gdy pilowała maleńki łebek ampułki, trzymając drżącymi rękami kruchą próbówkę.

Doktor Fomin wciągnął do ostatniej kropli lekarstwo, odstaąpił na krok od łóżka, i jakby to była demonstracja w klinice, powiedział sucho:

— Proszę teraz odwrócić pacjenta, Natalia Karolewna, i przygotować do zastrzyku pośladkiem do góry. Ten zastrzyk damy w pośladek dla większej pewności. Jasne?

Machinalnie, nawykła do posłuchu, wykonywała wszystkie polecenia zręcznie i bez zarzutu. Przewróciła chorego, który był obecnie bez woli i czucia. Zastrzyk odbył się spokojnie, lecz znowu wokół igły pojawiła się taka sama maleńka kropelka krwi, nie blado-różowa jak tamta, lecz czerwona i gęsta, jak farba.

— Położyć go na prawy bok, poprawić głowę, podłożyć poduszkę, by płuca były swobodne. — Ot, i wszystko zakończone spokojnie, jak trzeba, Natalia Karolewna...

Przykryła Rawę kocem. Leżał bez ruchu, lecz oddech znowu się pojawił nieco głośniejszy i bardziej intensywny.

Przy stoliku już czekał Misza.

Podeszła do niego, nie śmiejąc mu spojrzeć w oczy. Powiedziała cicho:

— Bardzo was przepraszam, Michaił Pawłowicz.

On jakby czekał rzeczywiście na to. Uśmiechnął się wesoło i z ulgą. Przysunął się do dziewczyny, wpatrzył się w jej błękitne oczy, i mówił prosto i szczerze:

— Śmierć jest zawsze okrutna i straszna. — Życie jest prześliczne. — Prześliczne jest zdrowe, młode ciało. — Prześliczne jest niebo, rzeki i kwiaty. — I szczęśliwe oczy są też prześliczne...

Śluchała niespodziewanego zwierzenia z prawdziwą rozkoszą, która była tym większa i pełniejsza, ponieważ wokół leżały same cienie: cienie nocy na ścianach i cienie ludzi na łóżkach.

To, co mówił Fomin po wszystkim, — co tu niedawno zaszło, było tak wstrząsające, świeże i prawdziwe, że Natasza poczuła, że robi się jej słabo z rozkoszy. Zachwiała się i byłaby może upadła, gdyby mocne ręce nie objęły jej szybko.

— Przemęczona? Chora? — pytał.

— Nie. Nie — szeptała. — Już wszystko w porządku.

Uśmiechnęła się.

— Tak, być może, byłam zanadto zmęczona.

Usiadła na krześle. Fomin patrzył na nią, i gdy zauważył, że jest jej lepiej, powiedział:

— Och, cóż za okropny smród i lęk wiszą w tej sali!

Potem położył rękę na ramieniu siedzącej, nachylił się i mówił:

— Na, proszę przyjść rano do mojej dyżurki po skończeniu pracy. — Chciałbym tym razem o was pomówić.

Oczy jej zabłyśły zdziwieniem. Wargi napłynęły pasowym, tkliwym ciepłem. Spojrzała gorąco na Fomina, i obnażając w uśmiechu wszystkie zęby, zatrzepotała rękami.

— Do свидания — Natasza.

— Wsiewo horoszego, Michaił Pawłowicz — szep-tem odpowiedziała, patrząc za odchodzącym.

Nachylając się obecnie nad Rawą, Natasza przypomniała sobie tę noc tak wyraźnie, że na wspomnienie jej czuła znowu trwogę.

— Prześliczne jest zdrowe, młode ciało. — I szczęśliwe oczy są też prześliczne.

Oglądnęła się bezwiednie, ulegając złudzeniu, że Misza stoi i mówi do niej teraz właśnie, a ona słucha go z rozkoszą przenikającą ją do głębi.

— Misza! Doktor Fomin! — Ha, ha! — Zaśmiała się nagle głośno, że wszyscy: chorzy, pielęgniarki, doktor Nikitin oglądali się równocześnie i spojrzeli na nią.

— Misza! — Miły chłopak... — żeby tylko tak nie biegał za Marfą Nikołajewną, telefonistką o różowych, tęgich, smukłych nogach, i dzikich, burych włosach.

Wyciągnęła termometr i ucieszyła się szczerze. Termometr wskazywał 38 stopni i dwie dziesiątne Celsjusza.

Poszła z tą wiadomością do Nikitina.

Tymczasem weszła już obsługa ze śniadaniem, złożonym z wywaru ziołowego, małego cukierka zamiast cukru i lekkiej, niedużej porcji sucharów chlebowych. Chorzy gorączkujący i przechodzący kryzys nie mogli jeść nawet tego. Natomiast chętnie pili wywar, byleby był zimny jak lód.

Najchętniej zaś piliby kryształową, świeżą wodę prosto ze źródła, w której pływałyby grube kostki lodu.

Wszystkie ręce wyciągnęły się od razu do wody. Umierający nawet budzili się w środku swej ostatniej walki i prosili o napój. Instynkt życia, zadławiony trawiącą, śmiertelną chorobą, budził się ponownie, gdy tylko słyhać było w blaszanym kotle głuchy bulgot płynu i później rozkoszny szmer napoju rozlewającego przez służbę na gliniane miski.

Dzisiejszego ranka sprawiono wszystkim chorym prawdziwą i miłą niespodziankę. Zamiast zwyczajnego wywaru ziołowego, przyniesiono kocioł polewki z suszonych sliwek. Kwaskowaty, rzeźwiący zapach owocu rozszedł się po sali i przytłumił na jakiś czas zgnily, zabójczy zaduch potu i ludzkich odchodów.

Nikitin śledził chorych z uwagą. Taki kryzys, jak dzisiaj utworzył się w szpitalu chyba po raz pierwszy od dwu miesięcy, odkąd zwała się tutaj gwałtowna fala tragicznej epidemii.

Doktor musiał kończyć obchód. Śpieszył się na inne oddziały. Wysłuchał sprawozdania Nataszy, odesłał pielęgniarki na następny oddział, i wzięwszy ją pod ramię podszedł do łóżka Rawy.

— Dzień dobry — powiedział wesoło — no, czujemy się dobrze, prawda?

Chory odpowiedział cicho, po czym usiłował sobie przypomnieć, gdzie widział przedtem tego człowieka. Lecz niczego nie mógł sobie przypomnieć. Gdy zobaczył Nataszę, uśmiechnął się do obojga.

— Panie doktorze, nie wiem, co się stało, bardzo mało słyszę

teraz w dzień. Słyszę tylko w nocy, i to gdy huczą samoloty. Samoloty ciągle latają nad moją głową. Strasznie mnie to męczy. — Czy nie można by poprosić, panie doktorze, aby lotnicy przestali latać nocą nad naszą salą?

Doktor spojrzał pytająco na Nataszę, a potem uśmiechnawszy się, rzekł, bagatelizując całą sprawę:

— Jest przecież wojna, to lotnicy muszą latać — nic nie poradzimy. — Może mają właśnie nocne ćwiczenia?

— Ależ nie, panie doktorze; oni nie mają wcale nocnych ćwiczeń, bo ja ich słyszę w nocy, jak oni latają w jasny dzień. Ja wiem, że to jest noc, a ja ich widzę w dzień, i to mnie tak właśnie strasznie męczy.

— To bagatelka — powiedział Nikitin. — Ja chciałem pana o coś innego zapytać. — Czy czasami boli pana głowa?

— Głowa mnie bardzo boli, a specjalnie boli mnie tył czaszki. — Zdaje mi się ciągle, i czuję wyraźnie, że w moim mózgu świeci zielony promień rOPY.

— Gdzie pan to odczuwa? — Gdzie, mówi pan, świeci w pańskim mózgu zielony promień rOPY?

Nikitin był zaskoczony. Szybko jednak wrócił do przerwane-go badania i spytał:

— Czy wie pan to na pewno, czy pan to tylko czuje, czy pan to tylko myśli?

— Być może, że ja to tylko myślę. — Lecz ja czuję, że gdy to myślę, to właśnie mnie tak strasznie boli.

— Hm — doktor zamyślił się poważnie. — Zielony promień rOPY! — A czy duży jest ten promień?

— Nie; nie jest duży. Jest on tylko długi może na palec, w samym tyle czaszki. Taka zielona nitka długości może palca.

— Dobrze, dobrze, to też jest drobiazg. — Proszę o tym również nigdy nie myśleć. — A jeszcze chciałem pana zapytać o jedno: — czy pan czuje go również, jak ma pan gorączkę? Wie pan o tym, że ma pan czasem nawet dość dużą gorączkę.

Zastanowił się i odpowiedział dopiero po chwili:

— Właśnie jak mam gorączkę, to myślę, i w mózgu zbiera się ropa i ten promień wtedy świeci.

— A jak się pan czuje teraz? Czy świeci teraz?

— Nie; teraz jestem w porządku, tylko mnie bolą uszy wewnętrzne.

— To też jest drobiazg. Kochani, siostra Natasza będzie panu przepłukiwała uszy codziennie, kiedy tylko będzie miała dyżur. To panu ulży doskonale. — A jeszcze chciałem zapytać o jedno: — Czy pan wie, ile dni jest pan u nas?

— Nie. Nie pamiętam.

— Dobrze. — A czy pamięta pan miejsce, z którego pan przybył?

— Nie. Niestety, panie doktorze, też nie pamiętam.

— A imię, otczestwo i swoje nazwisko pamięta pan?

— Zaraz. — Zaraz sobie przypomnę. — Pamiętam. — Nazywam się Jan Rawa.

— A otczestwo?

— W Polsce nie używamy otczestwa.

— Wiem o tym. — Ale może pamięta pan wobec tego imię ojca.

— Ojca? — Ojciec mój nie żyje. — Imię ojca? — Ależ oczywiście... pamiętam. Stanisław. Teraz wiem. Nazywam się Jan Stanisławowicz Rawa.

— Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. — Czy pan zna dobrze język niemiecki? — Sprechen Sie deutsch?

— Ja! Jawohl!

— Proszę teraz słuchać uważnie, co będę mówił do pana.

— Będę słuchał uważnie, panie doktorze.

Doktor Nikitin mówił powoli, wyraźnie, choć z cudzoziemskim akcentem:

— Herr Rawa, Sie müssen gesund sein!

Słuchał z wielkim zajęciem. Nie zrozumiał jednakże tego zdania.

— Czy pan doktor nie mógłby powtórzyć jeszcze raz?

— Owszem, powtórzę. — Herr Rawa, Sie müssen gesund sein.

Zastanawiał się długo, myśl jego pracowała uporczywie, nie mogła jednak złapać całkowicie normalnego biegu. Mózg wyniszczony doszczętnie gorączką, nie odżywiany należycie podczas obłądnych ataków febry tyfusowej, reagował słabo na nerwowe podniety i nie mógł uporać się z łatwym zadaniem, wykraczającym teraz poza szpitalną rzeczywistość.

Myślał; myślał długo, wreszcie, kiedy zaniepokojona Natasza biorąc jego milczenie za dowód zaniku pamięci, miała już prosić doktora o zaniechanie pytań, uśmiechnął się, i powiedział beztępidnie po rosyjsku:

— Panie Rawa, pan musi być zdrow.

I uśmiechnął się łagodnie po tych słowach.

— Dziękuję. Dziękuję — wołał ucieszony Nikitin. — A teraz do widzenia panu. Zobaczymy się przy następnej wizycie.

Doktor uklonił się z uśmiechem i szybko opuścił salę.

Siostry skończyły rozdawać śniadanie. Rawa wziął miskę ze śliwkową polewką i pił chętnie. Gdy nasycił pierwsze pragnienie, położył miskę na drucianym stoliku, i przykrywszy się kocem, zaczął drzeć.

Widząc, że zasypia, Natasza podeszła cichutko do niego i patrzyła. Wówczas na sześć jej kroków poruszył się i jakimś chrapliwym, zmienionym głosem, szepnął jakby do siebie z wielkim smutkiem:

— Znowu zaczyna świecić.

— Co zaczyna świecić? — spytała Natasza.

— Zielony promień zaczyna znowu świecić. — Ach, jak mnie boli głowa. — Aaa...! — Aaa...!

Jęczał zrazu cicho, potem głośniejsze, i skronie jego znowu paliły ognie powrotnej, tyfusowej gorączki.

Marian CZUCHNOWSKI.

Najnowsza historia Polski

Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 r.

II.

18 wrzesień 1939. Poniedziałek.

Koło godziny 10-ej rano, bezpośrednio po przyjeździe do Czerniowiec, udałem się do pałacu gubernatorskiego, gdzie mieszka min. Beck.

W zasadzie, Rumuni ofiarują nam swoją gościnność i swobodny przejazd przez Rumunię. Jednak, przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rumunii, nieśmiało i po przyjacielsku zaproponowali min. Beckowi, czy nie byłoby dobrze, by każdy minister polski podał się do dymisji i przejechał Rumunię w charakterze osoby prywatnej. Byłoby to wielkim odciążeniem trudnej sytuacji rządu rumuńskiego, który chce być ściśle nieutralny. Min. Beck odpowiedział, że Rumuni są naszymi aliantami i że podziwia metody sojusznicze rumuńskie. Nikt z ministrów polskich nie zrzeknie się swej funkcji w tak trudnej chwili, natomiast zgadzamy się na przejazd przez Rumunię incognito, bez podkreślania naszego stanowiska ministrów sojuszniczego państwa.

Zawstydzeni przedstawiciele rządu rumuńskiego zgodzili się, iż wyjeżdżamy dzisiaj po południu specjalnym pociągiem dalej i szczegóły będą omówione później.

Sytuacja więc nie jest pomyślna, gdyż Rumuni, jak sami ponownie przyznają, znajdują się pod silnym naciskiem przedstawiciela Niemiec w Bukareszcie i to już od paru dni. Trzeba więc przejechać Rumunię jak najprędzej, co odpowiada całkowicie również nastrojom naszych gospodarzy Rumunów.

Koło południa meldujemy się z min. Beckiem u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, w obecności Marszałka Śmigłego. Wobec ustalonej przez min. Becka sytuacji, wybitnie niepewnej,

zapada uchwała najszybszego przejazdu przez Rumunię, by nie pozostawać w kraju, którego rząd drży przed Niemcami i Sowietami. Kwestie formalne będzie min. Beck załatwiał z Rumunami później.

Wydane w Kutach orędzie Pana Prezydenta zostaje wysłane do Paryża i Londynu dwiema drogami: przez pocztę i kurierów dyplomatycznych.

W sprawie Marszałka Śmigłego i Wojska Rumuni odpowiadają, że sprawa jest trudniejsza, niż Rządu Polskiego, ale że musi jakoś być załatwiona.

Opieka nad uchodźcami polskimi, których pełno w Czerniowcach, powierzona zostaje konsulatom naszym w Czerniowcach i Bukareszcie, a sprawę wojska omawia nasz attaché wojskowy w Bukareszcie. Ze względu na to, że ilość uchodźców wraz z wojskiem może wynieść około 23-ch tysięcy, powierzamy troskę ogólną i koordynację opieki nad nimi specjalnemu Komisarzowi Generalnemu dla spraw Uchodźstwa Polskiego, wice-min. Arciszewskiemu. Do pomocy ma mieć min. Grażyńskiego i wojewodę Bocińskiego.

Mimo, że Arciszewski ma wiele znajomości i stosunków w Rumunii, nie uzyskuje dla swej pracy dostatecznego poparcia władz rumuńskich. Od samego początku widać u Rumunów tendencję rozbięcia urzędników poszczególnych ministerstw na drobne grupki, rozsyłane do różnych miejsc zamieszkania. W wojsku starają się oddzielić szeregowych od ich oficerów przy rozlokowaniu w obozach internowania. Nie chcą więc, by Rząd Polski miał wpływ na los uchodźstwa. Jest to zły znak dla szczerości zamiarów Rumunów. Trzeba więc szybko przejechać Rumunię.

Ponieważ, w przeznaczonym dla Rządu pociągu rumuńskim jest ilość miejsc ograniczona do paru set osób, mamy więc brać ze sobą tylko tych urzędników, którzy nam będą potrzebni do natychmiastowej pracy po przybyciu do Francji. Reszta będzie podciągnięta następnie, gdy ustalimy się na miejscu.

Nie chcemy targować się na razie o większą ilość miejsc w pociągu, by nie dawać Rumunom pretekstu do tworzenia nowych trudności w naszej podróży.

Samochody nasze idą drogą kołową i dojdą jutro na miejsce naszego etapu, którym jest miejscowość Słanic w Mołdawii, powiat Bakau. Stamtąd można jechać na wschód do Constanzy, na południe do Bukaresztu, a stąd do Bułgarii lub Jugosławii. Jedziemy więc w dobrym kierunku.

Przez zatłoczone uchodźcami i samochodami polskimi ulice Czerniowiec, wracam do mego «miejsca pobytu» i wydaję wice-min. Brzozowskiemu następujące zarządzenia: Odjeżdżamy do Słanic w Mołdawii. Zabieramy tylko urzędników najpotrzebniejszych w tej chwili do pracy.

Wobec tego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zostaje na miejscu, z wice-min. Klukowskim i Korsakiem na czele. Będą

podciągnięci naprzód za kilka dni. Zostaje również sekretarz naczelnik Stawicki.

W sprawach utrzymania urzędników wice-min. Klukowski porozumie się z konsulem naszym w Czerniowcach i Komisarzem Generalnym, wice-min. Arciszewskim.

Z Prezydium Rady Ministrów zabieram ze sobą: wice-min. Brzozowskiego, oraz dyktorów: Olpińskiego, Paprockiego, Jagiełłę i Krajewskiego.

Z ministerstwa Spraw Wewnętrznych biorę: dyr. Żyborskiego z Departamentem Politycznym, zredukowanym jedynie do naczelników Krzymowskiego i Piotrowicza. Poza tym jedzie ze mną dyr. Robaczewski i sekretarz z Prezydium radca Karwowski. Każdy z nich będzie miał ściśle określoną funkcję przy dalszej pracy Rządu.

Jest to bardzo mała ilość urzędników do zabrania, ale wobec skąpej ilości, którą mieć przy sobie mogą inni ministrowie (wyjątek stanowi Ministerstwo Spraw Zagranicznych z 56 urzędnikami do pracy), więcej urzędników niestety zabrać na razie nie mogę. Muszę pozostawić na miejscu również przodowników policji, którzy dotąd byli tak pożyteczni w sekretariacie.

Tymczasem Rumuni nagle przyspieszają godzinę odjazdu pociągu z naszym Rządem. Jedziemy więc na stację. Na wielkim placu przed dworcem stoją nasze samochody. Ma je prowadzić pan w średnim wieku, który przedstawia się, jako urzędnik rumuńskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, hrabia de La-scala. Mówi doskonale po polsku, gdyż ma majątek na granicy sowieckiej. Pytam go się, czy będziemy dużo później w Słanicu, niż pociąg. Odpowiada, że pociąg będzie zatrzymywał się w nocy, wobec czego nie przypuszcza, byśmy jadąc samochodami byli później, nawet śpiąc parę godzin w nocy.

Decyduje się, wobec tego, jechać samochodem, który daje więcej swobody ruchów w terenie. Dyr. Żyborski jedzie ze mną, by dopilnować samochodów, jako środka komunikacji Rządu.

Wiceministrowie Brzozowski i Garbusiński wolą również jechać samochodami. Z dyr. Żyborskim jedzie naczelnik Krzymowski, poza tym jadą z nami sekretarz Karwowski i naczelnik Piotrowicz.

Słońce zachodzi, gdy ruszamy sprzed dworca w Czerniowcach. Zaraz za miastem zaczynamy miesić tłuste błoto czarnoziemu, co opóźnia naszą jazdę.

Po paru godzinach, już wieczorem, dojeżdżamy do Storożynca, przez który przejeżdżaliśmy tej nocy z Wyżnicy, zrobiwszy zaledwie około 30 kilometrów od Czerniowiec. Tu pan De La-scala nagle oświadcza, że szoferzy nasi są zbyt zmęczeni, gdyż nie spali nocy poprzedniej, wobec czego proponuje zrobić tutaj dłuższy odpoczynek i wyjechać skoro świt. Zauważam, że szoferzy są rzeczywiście zmęczeni, ale można by jechać i w nocy. Twierdzi na to, że drogi rumuńskie w nocy są zbyt wyboiste i boi się połamania resorów. Zrezygnowani zostajemy w samochodach.

19 września 1939. Wtorek.

Tracimy całą noc na czekaniu w samochodach, potem od 5 do 7 rano bierzemy benzynę. Jesteśmy już wyraźnie spóźnieni, w porównaniu z pociągami. Jedziemy dosyć wolno, spotykając często nasze transporty wojskowe. Rozmawiam parę razy z żołnierzami, mówiąc, że jedziemy tworzyć Wojsko Polskie we Francji. Podnosi to nastroje.

Ludność wiejska Bukowiny wita nas kwiatami, owocami i mlekiem.

Jest już po południu, gdy dojeżdżamy do miasta Roman. Tu tracimy 3 godziny czasu na obiad i branie benzyny. Miejscowi Rumuni udają, że nie wiedzą o co chodzi i chcą rekwirować nasze samochody, bo u nich jest mobilizacja i rekwizycja pojazdów. Tu rozumiemy dopiero na własnej skórze i kieszeni, co to znaczy: «kto smaruje — ten jedzie».

W Roman spotykam szefa Misji Wojskowej Francuskiej w Polsce, generała Faury. Jest mocno zgnębiony. Na moje pożegnanie: «Vive la Victoire» — ledwie coś odpowiada, co jednak nie ma nic wspólnego z zapalem do zwycięstwa. Jego oficerowie patrzą na mnie też zupełnie inaczej niż w Polsce.

Zły znak!

Wojskowi rumuńscy patrzą na nas też zimno.

Pod wieczór mijamy Bacau i, jadąc wolno w górzystej okolicy, docieramy do uzdrowiska Slanic.

Przed Slanicem spotykam rumuńskiego starostę z Bakau. Wysiada on z samochodu i twierdzi, że wyjechał, by mię powitać w swym terenie. Kiedy jednak proponuję, by jechać razem, tłumaczy się sprawami służbowymi.

Zły znak!

W Slanicu Rumuni przeznaczają mi oddzielną willę, ale dziękuję, prosząc o umieszczenie mnie w hotelu z ministrami, celem ułatwienia współpracy.

Na korytarzu hotelu spotykam chodzącego nerwowo ministra Rolnictwa Poniatowskiego. Na moje zapytanie: «Co słychać?» — odpowiada krótko: «Zle!»

Proszę więc do siebie min. Becka i dowiaduję się, co następuje: Pan Prezydent w drodze został «zaproszony» do Zamku Królewskiego w Bicz i wagon jego odczepiono w nocy od pociągu.

Marszałek Śmigły odwieziony został do miejscowości Craiova, niedaleko granicy bułgarskiej i jugosłowiańskiej.

Rumuni, po dawnemu, prawią o swej gościnności i chęci przepuszczenia nas przez swe terytorium, ale pod warunkiem złożenia przez nas urzędów ministerialnych.

Gdy min. Beck spytał ich: «Czy wam nie wstyd stawiać takich żądań, wobec rządu sprzymierzonego?» — mówią, że są pod strasznym naciskiem Niemców, których samoloty już «omyłkowo» zbombardowały fabrykę pod Czerniowcami. Muszą więc spełnić żądania niemieckie gdyż chodzi im o los własny.

Ambasador angielski przy rządzie rumuńskim złożył protest z powodu internowania Głowy Państwa i Rządu sprzymierzonej Polski, ale Francuzi są mniej niż poprawni, nie reagując na nasze zatrzymanie.

Jutro mają być dalsze pertraktacje z Rumunami, którzy poza tym oskarżają nas, żeśmy naruszyli neutralność, wysyłając przez pocztę z Czerniowiec do Paryża i Londynu orędzie Pana Prezydenta. Czekamy więc jutra i dalszych pertraktacji z Rumunami. Prócz rządu znajdują się tu Marszałkowie Sejmu i Senatu oraz Prezesi Najwyższej Izby Kontroli i Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

Slanic, 20 września 1939. Środa.

Rano, o godzinie 9, w pokoju radcy Karwowskiego odbyła się Rada Ministrów. Min. Beck zreferował sytuację, która wygląda tak samo, jak wieczorem dnia wczorajszego. Liczy on jednak na dalsze pertraktacje z Rumunami. Cały dzień przeszedł mi na telefonowaniu. Naprzód zatelefonowałem do gen. Szalliego z gabinetu wojskowego Pana Prezydenta. Na pytanie moje: «Jak się ma Pan Prezydent?» — gen. Szally odpowiedział: «Pan Prezydent ma się dobrze, ale jest w tej samej sytuacji, co panowie. Właśnie u Pana Prezydenta jest Ambasador Raczyński».

Więcej nie można było przetelefonować w pokoju gdzie siedzą 3 osoby z obsługi telefonów. No a z budki telefonicznej jest ta sama «pewność» dyskrecji. Uzyskać połączenie telefoniczne jest tu nadzwyczaj trudno, a może to tylko dla nas.

Płk. Wenda, przy Marszałku Śmigłym, na moje pytanie, czy pan Marszałek przyjedzie tu do nas, odpowiedział, że to jest niemożliwe.

Ładna historia, jesteśmy więc unieruchomieni, jeżeli nie chcąc jeszcze powiedzieć brzydkiego słowa: «internowani». Tacy to sojusznicy z tych Rumunów.

I, zamiast powiedzieć od razu, co mogą zrobić dla nas, a czego nie mogą, wciągnęli nas w kabałę, a teraz tłumaczą się naszym «naruszeniem neutralności» i swym strachem przed Niemcami.

Slanic, 21 września 1939 r. Czwartek.

Pertraktacje min. Becka z Rumunami nie poszły naprzód i jego referat na dzisiejszej Radzie Ministrów, o godzinie 9 rano, nie dał nic pocieszającego.

Bolszewicy dochodzą już do granicy węgierskiej w Polsce.

Hitler wypowiedział triumfującą mowę w Gdańsku.

Na moją propozycję wyjazdu do Bukaresztu, by tam omówić z rządem rumuńskim sprawę naszego dalszego przejazdu, przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych Rumunii ostrzegł mnie, że wywoła to fatalny wpływ na naszą sprawę, gdyż zwię-

kszy presję ambasady niemieckiej na rząd rumuński, że więc on radzi być cierpliwym jeszcze i czekać. Grają więc Rumuni wyraźnie na zwłokę. Tymczasem w Slanicu widać coraz więcej żandarmów rumuńskich dla utrzymania porządku i naszego «bezpieczeństwa». Na jedynej drodze, idącej ze Slanica «w świat» ustawili Rumuni szlaban, za który żołnierze rumuńscy wychodzić nikomu nie pozwalają.

Slanic, 21 września 1939 r. Czwartek.

Rumuni mają pretensję do min. Becka, że odbywamy Rady Ministrów! Jest to, ich zdaniem, dalsze naruszenie neutralności z naszej strony, które może odbić się fatalnie na naszej sprawie, gdy dowiedzą się o tym Niemcy.

Sowiety, podobno, nie są zainteresowane w zatrzymaniu nas, jako ministrów.

Do Slanic przybywa coraz to więcej urzędników, tak, że obecnie na obiady, wydawane na koszt rządu rumuńskiego, chodzi już kilkaset osób. Rumuni znoszą to wszystko z podejrzaną cierpliwością.

Wreszcie, ich istotne myśli o naszej sytuacji mamy wyłożone w przedziwnym Aide Mémoire, które doszło do naszych rąk przez Ambasadę Polską w Bukareszcie. Muszę je tu przytoczyć:

Oto, Aide Mémoire rządu rumuńskiego, złożone Ambasadorowi Rzeczypospolitej w Bukareszcie, Racyńskiemu, w odpowiedzi na jego interwencje w sprawie internowania w Rumunii Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Mościckiego, Wodza Naczelnego Wojska Polskiego Marszałka Śmigłego Rydza i Rządu Polskiego. Po stronie lewej jest oryginał rumuński w języku francuskim, po stronie prawej — moje tłumaczenie polskie.

Oryginał rumuński.

Dans la matinée du 17 septembre 1939, Mr. Gafenco, Ministre des Affaires Etrangères de Roumanie a reçu une communication téléphonique urgente de la part de Mr. Grigorcea, Ambassadeur de Roumanie en Pologne, se trouvant à Kutu, auprès du Gouvernement Polonais.

Mr. Grigorcea informait Mr. Gafenco que, vu la situation militaire, le Gouvernement polonais se voyait obligé de prendre en sérieuse considération l'éventualité de devoir quitter le territoire polonais et de passer sur le territoire

Tłumaczenie polskie.

Rankiem 17 września 1939 roku, Pan Gafenco, Minister Spraw Zagranicznych Rumunii, otrzymał nagłaśnięcie telefoniczne od P. Grigorcea, Ambasadora Rumuńskiego w Polsce, znajdującego się w Kutach, przy Rządzie Polskim.

P. Grigorcea zawiadomił P. Gafenco, że na skutek sytuacji wojennej, Rząd polski widział się zmuszony wziąć pod poważną uwagę możliwość konieczności opuszczenia terytorium polskiego i przejścia na terytorium rumuńskie. P.

roumain. Mr. Grigorcea demandait également au nom de Mr. Beck, si le Gouvernement roumain pourrait accorder le droit de libre transit sur son territoire au Chef de l'Etat et aux membres du Gouvernement polonais. En réponse à cette demande Mr. Gafenco a donné sur le champs les instructions suivantes à Mr. Grigorcea :

«A la suite de la demande, qui vous a été adressée par Mr. Beck, je vous prie de lui faire savoir que le Gouvernement roumain est prêt à accorder l'hospitalité sur son territoire ou le transit vers un pays neutre au Président Mościcki et aux membres du Gouvernement polonais — mais non en leur qualité officielle.»

Mr. Grigorcea s'empresait de porter ce qui précède à la connaissance du Chef de la maison civile et de celui de la maison militaire du Président de la République, qui vinrent le trouver à Vijnitza, pour lui annoncer le désir du Président de se retirer en Roumanie accompagné des membres du Gouvernement. Mr. Beck s'était réservé de formuler expressément les désirs du Gouvernement à la dernière heure, ce qui se fit par les 2 émissaires sus-dits.

Ayant cette démarche, Mr. Grigorcea s'était entretenu avec Mr. Beck au sujet du déplacement éventuel des membres du Gouvernement polonais en Roumanie en observant les règles de la neutralité.

Mr. Beck a — à maintes reprises — souligné, qu'il enten-

Grigorcea pytał również w imieniu P. Becka, czy Rząd rumuński mógłby udzielić prawa swobodnego przejazdu przez swe terytorium dla Głowy Państwa i członków Rządu polskiego. W odpowiedzi na to pytanie p. Gafenco dał od razu Panu Grigorcea następujące instrukcje:

«Na skutek pytania, które postawił panu P. Beck, proszę pana o zawiadomienie go, iż Rząd rumuński gotów jest udzielić gościny na swym terytorium lub przejazdu do kraju neutralnego Prezydentowi Mościckiemu i członkom Rządu Polskiego, ale nie w ich charakterze oficjalnym».

P. Grigorcea pośpieszył zawiadomić o powyższym Szefa kancelarii cywilnej i szefa gabinetu wojskowego Prezydenta Rzeczypospolitej, którzy przybyli szukać go w Wyżnicy, by zawiadomić go o zamiarze Prezydenta przejazdu do Rumunii, w towarzystwie członków Rządu. P. Beck zastrzegł sobie wyrazić życzenie Rządu w ostatniej chwili, co też zostało zrobione przez dwóch wyżej wspomnianych wysłanników.

Przed tą demarche, P. Grigorcea rozmawiał z P. Beckiem na temat ewentualnego przejazdu członków Rządu polskiego do Rumunii, przy zachowaniu zasad neutralności.

P. Beck wielokrotnie podkreślał, że rozumiał poszanowanie neutralności Rumunii.

dait respecter la neutralité de la Roumanie.

Les événements militaires se précipitent, le Président Moscicki et les membres du Gouvernement ont passé en groupe sur le territoire roumain dans le courant de la nuit du 17 au 18 septembre.

Dès l'arrivée «in corpore» des membres du Gouvernement polonais, il est devenu manifeste que ceux-ci n'entendaient pas avoir l'attitude de personnes ayant renoncé à toute qualité officielle — mais, au contraire, qu'ils tenaient à ce qu'il soit bien établi, qu'ils continueraient à exercer leurs pouvoirs.

Le gouvernement roumain — qui avait bien précisé qu'il ne pouvait accorder l'entrée en Roumanie qu'à des personnes non-officielles — s'est trouvé placé dans une situation des plus difficiles étant donné les obligations de la neutralité de la Roumanie.

Afin d'écartier tout malentendu et de faciliter une solution, les représentants du Gouvernement roumain qui se trouvaient à Cernauti ont proposé à Mr. Beck que le Président de la République et les membres du Gouvernement donnent des déclarations individuelles par lesquelles ils affirmeraient avoir renoncé à toute attribution constitutionnelle, politique ou administrative.

Mr. Beck a répondu que les membres du Gouvernement polonais ne pouvaient faire de pareilles déclarations et — en tous les cas — qu'il devrait consulter préalablement son Conseiller Juridique.

Ponieważ wypadki wojenne potoczyły się szybko, Prezydent Mościcki i członkowie Rządu przeszli razem, w grupie, na terytorium rumuńskie w ciągu nocy z 17 na 18 września.

Wobec przybycia członków Rządu polskiego «in corpore» stało się oczywiście, iż nie uważali się oni za osoby, które zrezygnowały ze swego charakteru oficjalnego — lecz, przeciwnie, iż trzymali się mocno zasady że będą w dalszym ciągu wykonywać swą władzę.

Rząd rumuński, który ściśle określił, iż może zgodzić się na wjazd do Rumunii jedynie osób nieoficjalnych — znalazł się w nadzwyczaj trudnej sytuacji, gdyż udzielił zobowiązań co do neutralności Rumunii.

Celem usunięcia wszelkich nieporozumień i ułatwienia wyjścia z sytuacji, przedstawiciele Rządu rumuńskiego, którzy byli w Czerniowcach zaproponowali P. Beckowi, by Prezydent Rzeczypospolitej i członkowie Rządu złożyli indywidualne deklaracje, celem stwierdzenia zrzeczenia się wszelkich właściwości konstytucyjnych, politycznych i administracyjnych.

P. Beck odpowiedział, iż członkowie Rządu polskiego nie mogą złożyć podobnych deklaracji a — w każdym razie — iż musi on naradzić się uprzednio ze swym Doradcą Prawnym.

W czasie czekania ostatecz-

En attendant que Mr. Beck donne une réponse définitive à ce sujet, le Président de la République et les membres du Gouvernement ont continué leur voyage. Son Excellence M. Moscicki s'est rendu au Château de Bicaz qui a été mis à sa disposition par S.M. le Roi de Roumanie.

Les membres du Gouvernement polonais se sont rendus à Slanic, où un hôtel et des villas leur avaient été réservés.

Sur ces entrefaites s'est produité un acte qui a créé une situation nouvelle dont le Gouvernement roumain est forcé de tenir compte : Pendant qu'il se trouvait encore à Cernauti, le Président Moscicki a lancé une proclamation, au peuple polonais. Le texte de cette proclamation, signé par S. E. Mr. Moscicki, a été remis au Bureau de Poste de Cernauti, pour être transmis à Paris et à Londres. D'autres textes identiques de cette proclamation ont été également remis à des personnes qui se sont chargées de les transmettre à l'étranger et de lui donner toute publicité.

Dans cette proclamation le Président de la République déclare entre autres : «...j'ai décidé de transférer le siège du Président de la République et des autorités centrales de l'Etat dans un des pays alliés. De ce nouveau lieu, dans des conditions leur assurant une pleine souveraineté, elles pourront veiller aux intérêts de la République et poursuivre la guerre à côté de nos alliés ».

nej odpowiedzi P. Becka w tej sprawie, Prezydent Rzeczypospolitej i członkowie Rządu kontynuowali swą podróż. Jego Ekscelencja P. Mościcki udał się do Zamku Bicaz oddanego do jego dyspozycji przez J. K. Moś Króla Rumunii.

Członkowie Rządu polskiego udali się do Slanic, gdzie zarezerwowano dla nich hotel i wille.

W międzyczasie zaszedł fakt, który wytworzył sytuację, z którą liczyć się musi Rząd Rumuński. Jeszcze w czasie swego pobytu w Czerniowcach, Prezydent Mościcki wydał Orędzie do narodu polskiego. Tekst tego orędzia, podpisany przez J. E. P. Mościckiego, został oddany w biurze poczty w Czerniowcach, celem wysłania do Paryża i Londynu. Inne identyczne teksty tego orędzia otrzymały osoby, które podjęły się wywieźć je zagranicę, celem ich opublikowania.

W tym orędziu Prezydent Rzeczypospolitej między innymi oświadcza: «...powziąłem decyzję przenieść siedzibę Prezydenta Rzeczypospolitej i władz centralnych Państwa do jednego z krajów sprzymierzonych. W tym nowym miejscu będą mogły one, w warunkach zapewniających ich suwerenność, czuwać nad sprawami Rzeczypospolitej i prowadzić dalej wojnę u boku naszych sprzymierzeńców».

Le Gouvernement roumain s'est trouvé ainsi placé devant un acte qui était contraire à sa neutralité. Il avait accepté d'offrir l'hospitalité sur son territoire ou de faciliter le passage vers un pays neutre à des réfugiés politiques. Il ne lui était pas possible, par contre, de permettre que des actes du Gouvernement soient effectués sur son territoire. Et cela d'autant moins que, par ces actes de Gouvernement, s'exprimait publiquement la décision des membres du Gouvernement réfugiés en Roumanie de « *poursuivre la guerre* ». Un pareil geste rendait malheureusement insoluble le problème de transit à travers un territoire neutre. Le Droit International — à défaut de textes conventionnels ou de précédents formels — ne peut être interprété que sur la base de principes généraux. Or, l'essence même de la notion de neutralité est de ne commettre aucun acte qui puisse favoriser un belligérant.

Cały ten Aide Mémoire jest nieudolnym wyszukiwaniem wykrętów, celem usprawiedliwienia niegodnego postępowania rządu rumuńskiego wobec sprzymierzonego rządu polskiego. Wiedzieli przecież Rumuni, że wjedziemy do nich «in corpore», gdy bolszewicy następowali nam na pięty.

Byli naszymi aliantami, a «neutralność» wobec nas mieli okupić przepuszczeniem nas i polskiego wojska przez swe terytorium. Za tę przysługę zwalnialiśmy ich od walczenia z Sowietami, w myśl wymagań naszego sojuszu.

Marszałek Śmigły jest wodzem wspólnym naszej i ich armii, na wypadek zaatakowania nas przez Sowiety, który to wypadek właśnie ma miejsce.

Nie żądali od nas złożenia urzędów ministrów, jako warunku przejazdu przez rumuńskie terytorium przed wjazdem naszym do Rumunii. To żądanie postawili dopiero wtórnie.

My zaś zobowiązaliśmy się przejechać Rumunię, jako minis-

Rząd rumuński znalazł się wobec aktu, który sprzeciwiał się jego neutralności. Zgodził się na okazanie gościnności na swym terytorium, lub ułatwienie przejazdu do kraju neutralnego uchodźcom politycznym. Niemożliwym zaś było dla niego dopuścić, by na jego terytorium wykonywane były czynności Rządu. I to tym bardziej, że przez tę czynność Rządu wyrażona została publicznie decyzja członków Rządu, który schronił się do Rumunii... «prowadzić dalej wojnę». Czyn podobny sprawił, niestety, niemożność rozwiązania problemu przejazdu przez terytorium neutralne. Prawo Międzynarodowe — w braku ścisłych tekstów i formalnych precedensów — może być interpretowane jedynie na podstawie ogólnych zasad. Otóż zasadą pojęcia neutralności jest nie popełnić żadnego aktu, który mógłby się przyczynić do faworyzowania jednej ze stron wojujących.

trowie, w charakterze prywatnym, czyli odbyć podróż incognito, czego też dotrzymaliśmy.

Sami Rumuni dali nam specjalny pociąg do dyspozycji, nie bojąc się tego «in corpore», zebrania wszystkich ministrów razem.

Orędzie Pana Prezydenta, jak to wiedzieli dobrze Rumuni, wydane zostało na Polskiej Ziemi, w Kutach, z datą 17 września, a wysłanie go pocztą w Czerniowcach nie może być uważane za ogłaszanie «prowadzenia dalej wojny» na terytorium Rumunii.

W żadnym wypadku wysłanie dwóch listów pocztą nie może być rozdęte do rozmiarów wydarzenia, zmuszającego Rumunów do internowania Głowy Państwa i Rządu Państwa Sprzymierzonego.

Właśnie Prawo Międzynarodowe wymaga lojalności i wierności wobec zawartych dobrowolnie traktatów sojuszniczych.

Oto argumenty, które musimy jeszcze przeciwstawić Aide Mémoire rumuńskiemu. Zresztą ulegają oni jawnemu naciskowi Niemców, cichemu Sowietów, przy słabej obronie naszych praw przez Aliantów: Anglię i Francję. Ambasador Anglii w Bukareszcie złożył protest u rządu rumuńskiego z powodu naszego internowania. Francuzi nie zrobili nic, gdyż pan Noel, ambasador Francji w Polsce, przekonał rząd francuski pana Daladier, że lepiej jest mieć świeży Rząd Polski, utworzony we Francji, niż wytrzymywać nacisk i wyrzuty od starego Rządu Polskiego, który będzie miał pretensje (jakże słuszne!) z powodu braku okazania przez Francję pomocy, do której była zobowiązana. Nie tylko nie wyszła wielka, umówiona, ofensywa francuska na zachodnią granicę Niemiec, ale nawet nie okazano nam pomocy lotniczej, przez bombardowanie obiektów wojennych niemieckich, co odciałyłoby od nas przynajmniej część lotnictwa niemieckiego.

Musimy jednak bronić się dalej, mimo wszystkie trudności nam stawiane.

Slanic, 22 wrzesień 1939 r. Piątek.

Nadszedł do mnie list z Bukaresztu od posła Katelbacha. Piśze on w uprzejmej formie, iż nastroje wśród uchodźstwa są tak rozgoryczone i wrogie dla mego Rządu, iż, jego zdaniem, Rząd mój powinien podać się do dymisji. Wiedząc, iż jestem odcięty od świata w Slanicu, uważa on za swój obywatelski obowiązek poinformować mnie o tych nastrojach.

Z innych źródeł wiemy również, iż nastroje wśród urzędników ewakuowanych do Rumunii są złe, gdyż pozbawieni są oni dostatecznej pomocy.

Najgorsze nastroje jednak sięgają ci uciekinierzy, którzy z własnej i nieprzymuszonej woli wiali z Polski aż do Bukaresztu i tu twierdzą, iż: 1) biliśmy się haniebnie źle, 2) broniliśmy się tak krótko, iż oni, obywatele polscy, muszą się rumienić za

rząd i dowództwo wobec sprzymierzonych i obcych narodów, 3) zhańbiliśmy imię Polski, a rząd, uciekając z Polski, zachował się jak dowódca polscy w klęsce Piławieckiej, 4) nie może być tak wielkiej klęski i tak mało ofiar (sami siedzą w Bukareszcie!), 5) powinni być zabici wśród rządu, który powinien był walczyć, a nie uciekać zagranicę, 6) most w Kutach jest miejscem zhańbienia rządu polskiego — na latarnię!

W atmosferze niedostatku i głodu, w której znalazło się wielu uchodźców, te hasła, puszczone w ogonkach przed Ambasadą i Konsulatem, przyjmowane zostają z uczuciem ulgi, że oto wiemy, kto jest winien temu wszystkiemu. Cała zawziętość na Hitlera i Niemców spadła obecnie na Rząd Polski.

W obozach wojskowych są również szerzone złe nastroje przeciw rządowi, władzom wojskowym i wogóle wyższym oficerom.

Na Radzie Ministrów referuję te nastroje i odczytuję list pła Katelbacha. Zapada jednolita uchwała, iż nie wolno nam się podawać do dymisji w tej ciężkiej sytuacji i pod naciskiem Rumunów. Nie po to przeszliśmy granice Polski. Natomiast trzeba koniecznie pomóc w szerszym zakresie urzędnikom, którzy przyszedli aż tu z rozkazu władz, oraz wszystkim uciekinierom polskim, którzy pomocy tej potrzebują.

W tym celu konsul polski w Bukareszcie Mikucki, Bank Polski w Bukareszcie z dyr. Barańskim oraz konsul w Czerniowcach otrzymują polecenie wymiany w ograniczonej kwocie złotych po cenie 20 lei za 1 złoty, podczas gdy na czarnej giełdzie spekulacja obniżyła ten kurs do 2—4 lei za złoty. Transakcję tę, do której Rząd ma oczywista dołożyć, opieramy na odmrożeniu naszych należności handlowych w Rumunii i sprzedaży 250 kg. złota Bankowi Rumuńskiemu.

Poza tym uchwaliliśmy na Radzie Ministrów wypłacić urzędnikom pobory za październik w wysokości 20—30% poborów otrzymywanych w Polsce. Są to środki niewystarczające, ale wykażą przynajmniej, iż rozumiemy nasz obowiązek wobec niewątpliwie najlepszych urzędników, którzy opuścili Polskę na nasz rozkaz i będą na pewno jeszcze służyć Polsce swymi zdolnościami i doświadczeniem. Ta sama pomoc odnosi się do Wojska, które przeszło do Rumunii.

Wykonanie tych uchwał spada na wicepremiera i min. Kwiatkowskiego, min. spraw wojskowych Kasprzyckiego i min. Opieki Społecznej Kościalkowskiego.

Min. Kościalkowski próbował już dotrzeć do ośrodków uchodźców i wojska, by bezpośrednio okazać zainteresowanie się i pomoc Rządu dla ich potrzeb. Niestety Rumuni odpowiedzieli, iż w tej chwili wyjazd ministra ze Słanic nie jest możliwy. Tak więc nie jesteśmy w stanie okazać pomocy wojsku, urzędnikom i uchodźcom, w stopniu należnym.

Mając na sumieniu pozostawienie w Czerniowcach wiceministrów i urzędników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wyszukałem telefonicznie wicemin. Klukowskiego i zakomunikowa-

łem mu uchwały Rady Ministrów. W odpowiedziach jego wyczułem żal, iż zostawiłem ich bez dostatecznej opieki i użycia ich w służbie. Nic na to nie poradzę. Kiedyś zrozumieją, że inaczej postąpić nie mogłem.

W pertraktacjach min. Becka z Rumunami nie zaszła niestety żadna korzystna dla nas zmiana.

Dziś otrzymaliśmy na piśmie od Rządu Francji potwierdzenie oświadczenia danego ustnie przed kilku dniami min. Beckowi przez Ambasadora Francji w Polsce Noela, iż rząd francuski uzna w pełni prawo suwerenności Naczelnych Władz Państwowych Polskich na terytorium Francji, w razie ich przybycia na ziemię francuską. Teraz chodzi tylko o to, by tam przybyć. Wobec tego, na dzisiejszej Radzie Ministrów zaproponowałem, by każdy z ministrów, który może przejechać indywidualnie do Francji, niezwłocznie tam się udał, jako członek Rządu Polskiego i poruszył opinię Francji, w kierunku żądania zwolnienia naszego Rządu przez Rumunów.

W myśl otrzymanego oświadczenia rządu francuskiego, każdy nasz minister który dotrze do jego terytorium, będzie miał prawo rozpocząć urzędowanie, porozumiewając się z nami przez ambasadora Łukasiewicza we Francji i Ambasadora Racyńskiego w Rumunii.

Ten sam przejazd do Francji proponuję Marszałkom Makowskiemu i Miedzińskiemu oraz prezesom Krzemieńskiemu i Hełczyńskiemu.

Wszyscy zgodzili się, że środek ten może okazać się pomocnym w naszej sytuacji przez przejazd paru choćby ministrów i równorzędnych do Francji.

Prawdopodobnie wkrótce dojdzie do Francji również nasze złoto, które opuszcza już Rumunię. Sprawa jednak ruszenia z miejsca internowania Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i naszego Rządu nie posuwa się wcale naprzód.

W dniu dzisiejszym otrzymaliśmy do wiadomości Rządu następujący Rozkaz Naczelnego Wodza Marszałka Śmigłego-Rydza do Wojska Polskiego w Rumunii:

Żołnierze,

Najazd bolszewicki na Polskę nastąpił w czasie wykonywania przez Wojsko nasze manewru, którego celem było skoncentrowanie się w południowo-wschodniej części Polski tak, by mając dla utrzymania zaopatrzenia i materiału wojennego komunikację i łączność przez Rumunię z Francją i Anglią, móc dalej prowadzić wojnę. Najazd bolszewicki uniemożliwił wykonanie tego planu.

Wszystkie wojska nasze, zdolne do walki, były związane działaniem przeciwko Niemcom. W tej sytuacji obowiązkiem moim było uniknąć bezcelowego przelewania krwi w walce z bolszewikami i ratować to co da się uratować. Strzały oddane przez K.O.P. do bolszewików stwierdziły, że nie oddajemy naszego terytorium dobrowolnie. Ponieważ bolszewicy w pierwszym

dnia do naszych oddziałów nie strzelali, ani też ich nie rozbrajali, zdecydowałem wykorzystać możliwości wycofania dość dużej ilości wojsk na terytorium Węgier i Rumunii. Postanowiłem to zrobić w tym celu, by móc Was następnie przewieźć do Francji i tam zorganizować Armię Polską. Chodziło mi o to, by Polscy Żołnierze brać w dalszym ciągu udział w wojnie i, by — przy zwycięskim zakończeniu wojny — istniała Armia Polska, która by reprezentowała Polskę i Jej interesy.

O tym najważniejszym dziś celu musicie pamiętać, choćby warunki Waszego życia były najcięższe. Musicie przetrwać, nie zapominając, że jesteście żołnierzami, których obowiązuje dyscyplina i Honor żołnierski.

Ci, którzy ulegają słabości ducha, albo podszeptom obcych agentów, siejąc wśród Was zwątpienie, chcąc w wasze szeregi wprowadzić rozprężenie — ci ludzie są na usługach wroga.

Trzeba zacisnąć zęby i przetrwać. Położenie się zmieni. Wojna jeszcze trwa. Będziecie się jeszcze bić za Polskę i wróćcie do Polski, przynosząc Jej zwycięstwo.

Rumunia, dn. 20 września 1939 r.

(—) Edward Smigły-Rydz
Naczelný Wódz.

Slanic, 23 września 1939 r. Sobota.

Dziś Rumuni znów odmówili min. Kościakowskiemu wyjazdu do Bukaresztu i ośrodków uchodźczych, celem udzielenia pomocy na miejscu. Ten sam los spotkał zamiar wyjazdu min. Kasprzyckiego do obozów wojskowych. Wicemin. Spraw Wojskowych Głuchowski i Litwinowicz są internowani gdzieś z wojskiem. Min. Kasprzycki będzie więc szukał łączności ze swymi wiceministrami, by przez nich pomagać wojsku.

Dowiadujemy się o kapitulacji Lwowa wojskom sowieckim, stojącym na wschód od miasta, po uporczywej obronie miasta przez gen. Langnera, przeciw Niemcom nacierającym od zachodu.

Usiłowałem dzisiaj rozmówić się telefonicznie z Ambasadorem Raczyńskim, celem omówienia Aide Mémoire rządu rumuńskiego.

Po wielu trudach otrzymałem Bukareszt i Ambasadę Polską. Przy telefonie był zastępca ambasadora Poniński, oświadczając, że ambasador jest u Pana Prezydenta.

Ledwie zacząłem mówić o internowaniu i Aide Mémoire Rumunów, gdy p. Poniński przerwał mi: «Cicho, o tym trudno jest mówić. To zaszkodzi naszej sprawie. Czy pan Premier ma jeszcze co do powiedzenia?»

Oświadczyłem, że chciałem mówić właśnie tylko o Aide Mémoire i położyłem słuchawkę.

Wobec tego, że do Bukaresztu, choćbym próbował, na pewno nie dojadę, bo po drodze jest zbyt dużo posterunków policji, postanowiłem wybrać się w nocy do Pana Prezydenta, który konferuje z ambasadorem Raczyńskim, a więc będzie znał rze-

czywistą prawdę naszej sytuacji. Droga byłaby wśród gór dosyć trudna ze Slanica przez Targa Ocna, Bacau, Piotra Neant do Bicz, co wymaga około 4½ godzin jazdy, ale dowiedziałbym się, co zamierza Pan Prezydent. Trzeba jutro przepracować plan jazdy no i «posmarować» na miejscu, by jechać. W każdym razie, sprawę trzeba odłożyć do jutrzejszego wieczora, bo przygotowania nie są ukończone.

Slanic, 24 września 1939 r. Niedziela.

Dzisiaj w nocy uciekł min. Grażyński. Wczoraj wieczorem oświadczył mi chęć wydobycia się ze Slanicy do Bukaresztu, później do Jugosławii i Francji. Oczywiście, poparłem jego śmiały zamiar całkowicie. Nie ma go od rana, więc ucieczka przynajmniej do Bukaresztu musiała się udać. Zjawienie się jego, jako ministra Propagandy naszego Rządu w Paryżu będzie miało duże znaczenie dla naszej sprawy.

Okazało się w dniu wczorajszym, że Rumuni nie uważają za internowanych: Marszałka Sejmu — Makowskiego, marszałka Senatu — Miedzińskiego, Prezesa Najwyższej Izby Kontroli — gen. Krzemieńskiego, Prezesa Najwyższego Trybunału Administracyjnego — Helczyńskiego, wreszcie Prezesa Sądu Najwyższego — Supińskiego. Wobec tego panowie ci postanawiają wyjechać się stąd do Bukaresztu, a stamtąd, o ile się da, do Francji. Popieram tę myśl, gdyż zjawienie się przedstawicieli naszych ciał parlamentarnych na terenie Francji uważam za bardzo ważne. Nie ustajemy więc w walce o nasze uwolnienie się z rąk zastraszonych Rumunów. Trzeba używać wszelkich środków, gdyż całodzienne pertraktacje min. Becka z Rumunami nie dają wyników. Płaczą, że nas kochają, ale nie mogą nic zrobić, bo ministerstwo w Bukareszcie... Gdy więc chcemy jechać do ich ministerstwa spraw zagranicznych twierdzą, że to niemożliwe, bo zjawienie się nasze w stolicy zwiększy nacisk Niemców i Sowietów. I tak ciągle w kółko. My mamy przewagę argumentów i słuszności, a oni przewagę siły. Żadna strona nie chce zerwać pertraktacji pierwsza.

Dzisiaj tydzień, jak przekraczaliśmy granicę rumuńską, a wydaje się, że to było rok temu, tyle niespodziewanych faktów i zawodów naskoczyło na nas w tym krótkim czasie.

Rumuni nagle zaczęli robić drobne formalne trudności z wyjazdem marszałków Sejmu i Senatu, ale wszystko się wygładza i będą oni mogli wyjechać jutro. Członkowie Ciał Ustawodawczych różnych krajów są bardziej solidarni niż członkowie Rządów, pomagają więc zapewne naszym marszałkom w ich wyjeździe do Francji. Pomagają im, przynajmniej, w wyjeździe ze Slanicy.

Gdy dzisiaj dzwoniłem do Bicz ze zwykłym pytaniem, co słychać, otrzymałem odpowiedź: «Pan Prezydent robi wielką zmianę».

Zrozumiałem, lecz, by się upewnić, spytałem: «Co do swej osoby?»

Otrzymałem odpowiedź: «Tak».

Przeknąłem parę chwil, po czym powiedziałem: «Proszę zameldować Panu Prezydentowi, że zastosujemy się do wszystkiego, co uzna za pożyteczne dla Polski».

Odpowiedź: «Tak jest Panie Premierze!»

Teraz więc, już wiedziałem, o co chodzi. Pan Prezydent, korzystając z artykułu 13-go naszej Konstytucji, zamianuje zamiast Marszałka Śmigłego Rydza, który był dotychczas następcą Prezydenta Rzeczypospolitej, kogoś innego, kto jest wolny we Francji i ten zostanie Prezydentem Rzeczypospolitej.

Bierzemy z wicemin. Brzozowskim książkę pod tytułem: «Ustawa Konstytucyjna z dnia 23 kwietnia 1935 roku» i tu znajdujemy w artykule 13: «Prezydent Rzeczypospolitej korzysta z uprawnień osobistych, stanowiących Jego prerogatywy. Do prerogatyw należy: ... b) wyznaczanie na czas wojny następcy Prezydenta Rzeczypospolitej».

Artykuł zaś 24 Konstytucji postanawia: «W razie wojny okres urzędowania Prezydenta Rzeczypospolitej przedłuża się do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju. Prezydent Rzeczypospolitej osobnym aktem, ogłoszonym w Gazecie Rządowej, wyznaczy wówczas swego następcę, na wypadek opróżnienia się urzędu przed zawarciem pokoju.»

Tak więc, dzięki przewidującej naszej Konstytucji, będziemy mieli, mimo internowania Prezydenta Mościckiego i naszego Rządu, nowego Prezydenta Rzeczypospolitej, który zamianuje nowy pełnoprawny i suwerenny Rząd Polski na sojuszniczej ziemi francuskiej.

Teraz, telefonuję do Craiova, do Marszałka Śmigłego. Pułkownik Wenda mówi, iż Pan Prezydent porozumiewał się w sprawie mianowania nowego następcy z Marszałkiem.

Wszystko się więc potwierdza.

Omawiamy wytworzoną sytuację na Radzie Ministrów z uchwałą natychmiastowej dymisji Rządu nowemu Prezydentowi Rzeczypospolitej, gdy tylko dowiemy się, kto nim jest.

Wymieniane są pewne nazwiska osób, którym Pan Prezydent Mościcki powierzy następstwo swego urzędu, ale oczywiście pewnością, a nawet prawdopodobieństwa żadnego nie ma.

Tak więc, rola nasza, jako Rządu, nagle staje się bierna: czekać aż do wyznaczenia nowego Prezydenta Rzeczypospolitej, by zgłosić mu naszą dymisję. Postanawiamy: 1) walczyć dalej z Rumunami o nasze uwolnienie, 2) walczyć o uwolnienie Prezydenta Rzeczypospolitej, Wodza Naczelnego i Wojska, 3) użyć czasu, który zostaje nam do urzędowania na poprawę warunków bytowania naszego wojska, urzędników i uchodźców polskich w Rumunii, gdyż zajęcie się uchodźcami na Węgrzech i na Litwie, jest dla nas zupełnie niemożliwe. Wiemy o nich jedynie z gazet. Tak samo nieznany jest mi los szeregu wojewo-

dów oraz ich urzędników. Nie wiem więc, gdzie jest wojewoda Ostaszewski z Białegostoku, Sokołowski — z Nowogródka, Maruszewski z Wilna. Odcięci zostali przez nagłe wejście wojska sowieckiego, mamy o nich jedynie głuche, niesprawdzone wiadomości.

Slanic, 25 września 1939 r. Poniedziałek.

Wobec wiadomości o zamierzonej abdykacji Pana Prezydenta Mościckiego na rzecz nowo wyznaczonego następcy, odpada sens odbycia mej ryzykownej podróży do Biczaz.

Co dzień głębiej osiadamy w naszej niemożności działania i reagowania na wypadki. Jesteśmy zamknięci nie tylko przez Rumunów. Już Ambasada nasza w Bukareszcie, pod różnymi pozorami, nie honoruje naszych asygnat pieniężnych, wystawianych dla ludzi, których wysyłamy do Francji, mimo że jesteśmy ciągle prawowitym Rządem Polski.

Czyżby Ambasada nasza podzielała zdanie Niemców i Sowietów, którzy kwestionują nasze prawa, jako Rządu?

Sprzymierzeni bowiem uznają nas jako Rząd Polski, znajdujący się w chwilowej opresji.

Czy ci panowie z Ambasady, z którą łączności nawiązać nie możemy i, która nie honoruje naszych wydatków państwowych, zdają sobie sprawę, że żaden Rząd następny nie może mieć zaufania do ludzi, którzy byli nielojalni wobec Rządu poprzedniego?

Ale mamy większe zmartwienia. Jest to nasz obowiązek pomżenia wojsku, urzędnikom i uchodźcom. Tu również nasze izolowanie od świata bardzo utrudnia wypełnienie obowiązku, wobec naszych obywateli i podwładnych urzędów. Tymczasem jakieś usta, dobrze wiedzące co robią, puszczają wieści wśród wojska, urzędników i uchodźców, że Rząd Polski «wypoczywa» w świetnych warunkach i nie troszczy się o nic więcej.

Wyjechali marszałkowie Sejmu i Senatu oraz Prezesi Najwyższej Izby Kontroli i Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Będą starali się dostać do Francji, by pomóc nowemu Prezydentowi Rzeczypospolitej i nowemu Rządowi w ich pracy dla Polski. W tych warunkach obecność, choćby pewnej tylko ilości członków ciał Ustawodawczych Polski na terenie parlamentarnej Francji, przyczyni się niewątpliwie do autorytetu nowego Rządu na ziemi francuskiej. Pożegnaliśmy się z nimi, życząc wydatnej pracy w wywalczeniu zwycięstwa Polski. Im mniej ludzi w tym naszym więzieniu, tym lepiej.

Slanic, 26 września 1939 r. Wtorek.

Okręt naszego urzędowania sunie jeszcze dawnym rozpadem napróżd, ale już bez nowego dopływu pary.

Pertraktacje min. Becka utknęły na martwym punkcie. Przystaliśmy świadomie być napastliwi w obronie praw naszego

Rządu, nie chcąc utrudnić akcji Pana Prezydenta, której szczegóły śledzimy chciwie, ale która nie może być objęta ramami tego «Zarysu».

Najwięcej pracy przez telefony i przy pomocy wysyłanych urzędników, załatwiają jeszcze: wicepremier Kwiatkowski i ministrowie: Opieki Społecznej — Kościalkowski i Spraw Wojсковych — Kasprzycki, w zakresie udzielania pomocy naszym w Rumunii. Nie jest ona jednak wystarczająca.

Slanic, 27 września 1939 r. Środa.

Po bohaterskim oporze przeciw przewadze Niemców, Warszawa, po wytrzymaniu strasznych bombardowań artyleryjskich i lotniczych, kapituluje, nie zdobyta walką, lecz zniewolona do tego brakiem wody, żywności i amunicji, wreszcie wybuchem epidemii. Bohaterami są: żołnierz polski w mundurze i cywilu, dowodzony przez generałów Czumę i Rómmla, którego nie zdołał pokonać żołnierz niemiecki.

Ducha obrony podtrzymywał codziennie nominowany Prezydent Miasta Warszawy — Starzyński.

Jakże niewdzięczna jest, w tym zestawieniu, rola naszego internowanego przez sojuszników Rządu Polskiego, zmuszonego do bierności, gdy działać trzeba.

28 września 1939 r. Czwartek.

Jedyną prawie naszą funkcją jako Rządu zaczyna być to, że trwamy, by przekazać ciągłość władzy następnemu rządowi, który nie będzie działał pod przymusem, lecz w myśl odezwy Prezydenta Mościckiego w Kutach — będzie mógł czuć, w pełni praw suwerennych, nad dobrem Rzeczypospolitej i prowadzić dalej wojnę.

Nasze codzienne posiedzenia Rady Ministrów stają się coraz krótsze i obejmują przeważnie przywożone z Bukaresztu wrzenia o niepoehlebnym dla nas nastrojach wśród wojska i uchodźstwa.

Ale, nie to jest najważniejsze. Ważne jest, by Rząd Polski prowadził dalej wojnę o całość Polski.

Slanic, 29 września 1939 r. Piątek.

Wszyscy oczekujemy utworzenia nowego Rządu.

Zamierzamy wstąpić do wojska, by dalej walczyć i pracować dla sprawy całości Polski, o którą zaczęliśmy wojnę. Ja, jako zawodowy oficer, będący na urlopie, melduję się do wojska natychmiast po zwolnieniu mnie z obowiązków «dotychczasowych», do pełnienia których zostałem urlopowany. Korzystając z wolnego czasu, wypisałem już podanie, które wysię, gdzie trzeba, zaraz po dymisji Rządu. Brzmi ono:

«Do...

Proszę posłusznie o przyjęcie mnie do Wojska Polskiego, w

każdym stopniu i funkcji, w której mogę być użyteczny. Jestem lekarzem chirurgiem i pragnę służyć rannemu i choremu żołnierzowi polskiemu.

Dr. Sławoj Składkowski.

Generał dywizji.

Trzeba będzie służbę wojskową zaczynać od małego, bo na pewno, dużo stanowisk generałów dywizji w nowej armii polskiej nie będzie. Inni koledzy też szykują się do wstąpienia do Wojska.

Slanic, 30 wrzesień 1939 r. Sobota.

Dzisiaj Niemcy wchodzą do Warszawy.

Zawarty został niemiecko-sowiecki pakt o Czwartym Podziale Polski.

Koło południa przysłała wiadomość, że na następcę Prezydenta Mościckiego wyznaczony został Prezydent Władysław Raczkiewicz, który złożył już przysięgę w Ambasadzie Polskiej w Paryżu.

Zbieramy niezwłocznie Radę Ministrów, ostatnią w naszym Rządzie, po trzech i pół latach wspólnego urzędowania. Wobec przyjęcia do władzy nowego Prezydenta Rzeczypospolitej podajemy się, jako Rząd, do dymisji w następującej depeszy:

30. IX. 1939 r.

«Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w Paryżu.

Rząd polski, pod bezpośrednim naciskiem sił zbrojnych najeźdźców, nie mogąc dopuścić do dostania się Władz Naczelnych Rzeczypospolitej w ręce nieprzyjaciół, zmuszony był do opuszczenia granic państwa. Rząd został następnie pozbawiony warunków, koniecznych do wykonywania swych zadań. Zawiadomiony w dniu dzisiejszym o przekazaniu Panu Prezydentowi najwyższej władzy państwowej, Rząd wyraża Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej hołd i zgłasza równocześnie swą dymisję.

(—) Sławoj-Składkowski. Eugeniusz Kwiatkowski. J. Beck. T. Kasprzycki. Antoni Roman. J. Poniatowski. M. Kościalkowski. W. Świętosławski. Juliusz Ulrych. E. Kaliński. Witold Grabowski. Michał Grażyński. Wacław Kostek-Biernacki.»

Jednocześnie uchwaliliśmy wysłanie do Prezydenta Mościckiego depeszy tej treści:

«Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego.

Rząd Rzeczypospolitej wyraża najgłębszy hołd Panu Prezydentowi za Jego długoletnią pracę, podejmowaną zawsze w imię najwyższych celów Rzeczypospolitej oraz za decyzję powziętą obecnie — w poczuciu pełnego poświęcenia — dla utrwalenia legalnej i czynnej władzy w okresie największych trudności Państwa Polskiego.

(—) Sławoj-Składkowski. Eugeniusz Kwiatkowski. J. Bęck. T. Kasprzycki. Antoni Roman. J. Poniatowski. M. Kościakowski. W. Świętosławski. Juliusz Ulrych. E. Kaliński. Witold Grabowski. Michał Grażyński. Wacław Kostek-Biernacki.»

Na zakończenie ostatniej Rady Ministrów podziękowałem Kołegom Ministrom za współpracę, za męską jedność w przeciwnościach, za solidarne zwalczanie przeciwności, zamiast dozukiwania się, kto winien.

Jako Premier Rządu wyraziłem głębokie przekonanie, że Rząd wypełnił swój obowiązek.

Po Radzie Ministrów zameldowałem telefonicznie Marszałkowi Śmigłemu Rydzowi o dymisji Rządu.

Pod wieczór zebraliśmy się znowu, by odczytać depezę od Prezydenta Rzeczypospolitej Raczkiewicza, która minęła się z naszą w drodze:

«Generał Felicjan Sławoj Składkowski, Prezes Rady Ministrów, Slanic.

Objawszy dzisiaj urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej widziałem się zmuszony odwołać Pana Generała ze stanowiska Prezesa Rady Ministrów, które z takim poświęceniem pełnił, a którego okoliczności obecne wykonywać Mu nie pozwalają.

(—) Władysław Raczkiewicz,
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.»

Na depeze nasze, wysłane 30 września do Panów Prezydenta Raczkiewicza i Prezydenta Mościckiego, otrzymaliśmy następujące odpowiedzi:

«Generał Sławoj Składkowski, Hotel Ferdinand Baile Herculane. 5. X. 39. Potwierdzając telegram Pana Premiera i członków Jego gabinetu z dnia 30 września, przyjmuję dymisję Rządu i dziękuję każdemu z ministrów za to, czego dla dobra Rzeczypospolitej dokonał.

(—) Władysław Raczkiewicz,
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.»

A od Pana Prezydenta Mościckiego:

«P. T. Premier Generał Sławoj Składkowski. Slanic (Mołdowa). Bicz 1. X. 1939. Z głębokim wzruszeniem przyjąłem serdeczne słowa, jakie nadesłał mi Pan, Panie Premierze, i Rząd w dniu dzisiejszym. Stosunek mój do Pana i Jego Rządu polegał do ostatniej chwili na pełnym moim zaufaniu. Ze wszystkimi poczynaniami Rządu solidaryzowałem się. W ten sposób stworzona została i moralna wspólna odpowiedzialność za wszystkie decyzje, dotyczące losów naszego narodu i państwa. Rozważając nad minionym czasem, aż do ostatnich naszych najcięższych przeżyć, stwierdzam i dziś, moi drodzy, że ze wszystkich możliwości, jakie posiadaliśmy w naszych rozstrzygnię-

ciach, wybieraliśmy zawsze najlepsze, to jest te, które zgodne były z honorem i godnością narodu.

Ignacy Mościcki.»

Podaję tu te depeze dla całości obrazu pracy naszego Rządu we wrześniu 1939 roku, chociaż nadeszły one już w miesiącu październiku.

Slanic, 1 października 1939 r. Niedziela.

Jest to rzeczywiście «niedziela». Po szamotaniu się dzień i noc z wypadkami wojny o całość Polski, w ciągu całego miesiąca września, dzisiaj jesteśmy zupełnie pozbawieni pracy. Jest więc czas i pora, myśląc o dramatycznym zakończeniu czynności naszego Rządu zrobić krótki:

RACHUNEK SUMIENIA.

NIE!, które odrzuciliśmy Hitlerowi na jego zaborcze żądanie Polskiej Ziemi, było wyrazem dumnej odpowiedzi całego Narodu Polskiego. Wypełniliśmy Jego wolę i, w tej chwili historycznej, mieliśmy za sobą cały Naród. Jako Rząd byliśmy wiernym sługą Narodu w powzięciu decyzji walki o całość Polski.

Hitler zaatakował Polskę w okresie stałego wzmagania się Jej pokojowego i wojennego potencjału, zaatakował Ją właśnie dlatego, że za lat parę byłoby jeszcze trudniej Ją zwalczyć.

To stałe wzmaganie się sił Polski i bohaterski odpór dany Niemcom, ta piękna, dumna, kosztowna karta w dziejach Polskiego Narodu, przypada na czas trwania służby narodowej naszego Rządu i nikt nam tego nie odbierze.

Ciężką decyzją opuszczenia Ziemi Polskiej pod bezpośrednim naporem wojsk sowieckich, umożliwiliśmy powstanie legalnego Rządu Polskiego z pełnią praw suwerennych na Sojuszniczej Ziemi Francji.

Nowemu Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i Rządowi Polskiemu życzymy szczęśliwszego, niż nasz, okresu wojny, życzymy pełnego zwycięstwa.

Wzamian za te życzenia, stawiamy jedno żądanie:

Muszą być tak samo nieustępliwi co do całości Ziemi Polskich, jak byliśmy my, w chwili rozpoczęcia, z woli Narodu, wojny o całość Polski.

Wtedy wysiłek bohaterski Narodu Polskiego nie pójdzie na marne, lecz zgotuje Polsce mocną i pewną przyszłość.

Felicjan SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI.

W następnym numerze Władysława Pobóg-Malinowskiego:

«NA RUMUŃSKIM ROZDROŻU».

Teksty zapomniane

Zbrodnia rozbiorów

Józef Conrad-Korzeniowski, wielki Polak, który stał się pisarzem angielskim, ma w swym dorobku, prócz powieści i nowel „głośniejszych na całym świecie”, także artykuły polityczne, zebrane w zbiorze pt.: „Notes on Life and Letters”, wydanym w r. 1921. Są one poświęcone sprawie polskiej i zostały napisane w czasie pierwszej wojny światowej. Mało na ogół znane, stanowią one nie tylko niezbitą dowód polskiego patriotyzmu Conrada, ale zawierają tyle momentów aktualnych w ujęciu zagadnień polsko-rosyjskich i w ogóle europejskich, że warto przypomnieć je polskiemu, a przezeń i angielskiemu czytelnikowi. Tu podajemy w nowym tłumaczeniu J. M., z pewnymi skrótami, najświetniejszy z tych artykułów „Zbrodnie rozbiorów” (napisany w roku 1919).

Gdy z końcem XVIII wieku podział Polski stał się faktem dokonany, świat określił go od razu jako zbrodnię. Oczywiście, że to surowe potępienie wyszło z zachodu Europy; trudno było oczekiwać, aby mocarstwa Europy Środkowej, Prusy i Austria przyznały, iż grabież ta podpada pod kategorię czynów moralnie nagannych i noszących piętno zbrodni przeciw ludzkości. Co do Rosji, trzeciej współniczki przestępstwa i twórczyni jego planu, nie miała ona w owym czasie w ogóle narodowego sumienia. Wola jej władców była zawsze przyjmowana przez naród, jako wyraz wszechmocy pochodzącej wprost od Boga. Do usprawiedliwienia rozbiorów, aktów zwykłego rozboju, wystarczyło Rosji to, że przypadek umożliwił ich dokonanie: popełniono grabież i miało się sposobność zatrzymania rzeczy zagrabionej. Kata-

rzyna Wielka z cynicznym zadowoleniem spoglądała na to powiększenie obszaru, którym władała. Użyty przez nią argument polityczny, że zniszczenie Polski oznacza stłumienie idei rewolucyjnych i zahamowanie wzrostu jakobinizmu w Europie, był pretekstem szczególnie bezwstydnym. Tu i ówdzie znajdowały się zapewne wśród Rosjan umysły, które pojmowały, lub może tylko przeczuły, że Rosja przez zabór większej części Rzeczypospolitej Polskiej przybliżyła się do wspólnoty narodów cywilizowanych i przestała być, przynajmniej terytorialnie, mocarstwem azjatyckim. Faktem jest, że dopiero po rozbiorach Polski zaczęło państwo rosyjskie odgrywać poważną rolę w Europie. W oczach takich mężów stanu, jakich Europa wówczas posiadała, ów akt rozboju musiał zatem uchodzić za dowód głębokiej mądrości politycznej.

Jednakże duch Narodu Polskiego nie chciał pozostać w grobie. Nawiedzał on obszary dawnej Rzeczypospolitej, na kształt upióra straszącego w swym dziedzicznym dworze, gdy obcy próbują się w nim osiedlić, upióra, którego się spotwarza, ośmiesza, lekceważy, a który mimo to napełnia rodzajem trwogi, dziwnym uczuciem niepokoju, serca bezprawnych posiadaczy. Tych ostatnich nic tak nie dręczyło, jak fakt, że naród, ugodzony w samo serce, nie chciał ostygnąć i oćpieć na kształt trupa. Ta żywotność, uparta i wprost niesamowita, była czasem i dla reszty Europy bardzo niewygodna. Narzucała ona bowiem swe nieodparte żądania każdemu problemowi europejskiej polityki, zasadzie równowagi europejskiej, sprawie Bliskiego Wschodu, zagadnieniu włoskiemu, kwestii Szwajcarii i Holsztynu i doktrynie nacjonalistycznej. Ten upiór, niezadawalając się obrzydzaniem grabieżcom swego dziedzicznego dworu, nawiedzał również gabinety europejskie i powiewał bezwstydnie swymi skrwawionymi szatami w uroczystej atmosferze pokojów obrad, gdzie kongresy i konferencje odprawiają się przy zamkniętych oknach.

Z biegiem lat wyłoniło się jednak inne niebezpieczeństwo, będące naturalnym następstwem nowych przymierzy politycznych, które podzieliły Europę na dwa zbrojne obozy. Było to niebezpieczeństwo milczenia. Niemal bez wyjątku prasa zachodnio-europejska XX-go wieku wzbraniała się poruszać

sprawę polską w jakiegokolwiek postaci. Fakt żywotności polskiej nie był nigdy dla europejskiej dyplomacji bardziej kłopotliwy, niż w przeddzień zmartwychwstania Polski.

Kiedy wojna wybuchła było coś obrzydliwie komicznego w odezwach cesarzy i arcyksiążąt, odwołujących się do niezwykłej duszy narodu, któremu, ponad przeciąg stulecia, odmawiali najbezczeńniej istnienia lub moralnej wartości. Może w całym rejestrze ludzkich poczynań nie znajdzie komedii równie bezwstydných i podłych, jak manifesty cesarza Niemiec, oraz rosyjskiego wielkiego księcia Mikołaja; a w moim pojęciu nie zadano ludzkiemu sercu i rozumowi bardziej gorzkiej obelgi nad sposób, w jaki proklamacje te ciśnięto w twarz historycznej prawdy. — Było to, jak scena z farsy cynicznej i ponurej, której absurdalność stawiała się niemal bezdenną, jeżeli się zważy, że nikt chyba na świecie nie mógłby być tak nikczemny i głupi, aby dać się zwieść, chociaż na jedną chwilę.

Dobrze byłoby pamiętać, że niepodległość Polski ucieleśniona w Państwie Polskim, nie została nam darowana przez żadną działalność dziennikarską, ani nie zrodziła się z jakiegóż szczególnie życzliwego nastawienia, ani tym bardziej z czyjegóż jasno uświadomionego poczucia winy. Wiem, co mówię, jeżeli twierdzę, że pierwotną i jedynie aktywną koncepcją polityczną w Europie była myśl oddania losu Polski w ręce caratu rosyjskiego. A pamiętajmy, że przypuszczano wówczas, iż będzie to carat zwyczajski. Myśl ta była wypowiedziana otwarcie, rozważana poważnie, przedstawiana jako wyraz dobrej woli, z dziwnym niedowidzeniem jej groteskowego i koszmarnego charakteru. Według tej koncepcji miano z uprzejmym uśmiechem i ufny zapewnieniem, że «wszystko będzie dobrze» wydać ofiarę w ręce niepoprawnego mordercy, który przez sto lat i więcej podrzynał z pasją jej gardło, a po którym obecnie spodziewano się, że nagle się ze swą ofiarą zaprzyjaźni i ucałuje ją w oba policzki, na mistyczną rosyjską modłę. Był to szczególnie koszmarny wymysł polityki międzynarodowej, lecz oficjalnie nie zezwalano nawet na szeptanie o jakimkolwiek innym.

W tym leży siła i przyszłość tego, co nie dawniej, niż jakieś

dwa lata temu było tak surowo zabronione — niepodległości Polski, wyrażającej się w Państwie Polskim. Przychodzi ono na świat wolne moralnie, nie na mocy swych cierpień, lecz na mocy swego cudownego odrodzenia i pradawnych roszczeń — z tytułu oddanych Europie usług. Natomiast ani jeden z kombatanów, na wszystkich frontach świata, nie poległ świadomie za wolność Polski.

Lojalność Polski wobec Europy nie wypływa bynajmniej z czegoś tak przykrego i uciążliwego, jak poczucie niezmiernego zadłużenia, z owej wdzięczności, która w pojęciu świata uchodzi czasem za wieczną, ale która narażona jest zawsze na wyczerpanie i, wskutek niestałości uczuć ludzkich, musi się w końcu nieuchronnie przerodzić w sprzeciw. Lojalność polska ma swe źródło w czymś znacznie rzetelniejszym i trwalszym. Ma ona źródło w charakterze narodowym, będącym omalże jedyną rzeczą na świecie, której można zawierzyć. Ludzie mogą stawać się gorsi, lub lepsi, ale nie zmieniają się zasadniczo. Niestety jest twardą szkołą, która potrafi albo udoskonalić, albo zepsuć charakter narodowy, lecz słusznie można wysunąć twierdzenie, że długi ciąg najokrutniejszych niepowodzeń nie podważył istotnych cech Narodu Polskiego, który wykazał swą odporność w obliczu najbardziej demoralizujących przeciwności. Wielorakie fazy, jakie przechodził polski instynkt samozachowawczy, walcząc przeciw zagrażającym mu siłom i nie mniej groźnemu chaosowi mocarstw sąsiednich — należy osądzić bezstronnie. Podsuwam myśl o bezstronności a nie o pobłażliwości po prostu dlatego, że oceniając kwestię polską, nie trzeba odwoływać się do tkliwszych uczuć. Trochę spokojnego zastanowienia się nad przeszłością i teraźniejszością — oto wszystko, czego potrzeba ze strony świata zachodniego, aby osądził postępowanie społeczeństwa, którego ideały są takie same, ale które znajduje się w sytuacji całkiem wyjątkowej. Tę sytuację uświadomiłem sobie żywo, w toku pewnej dyskusji, przed 18 przeszło miesiącami.

«Niech pan pamięta» — powiedziano mi wtedy «że Polska musi żyć w zetknięciu z Niemcami i Rosją do końca swych dziejów. Czy rozumie Pan powagę tego wyrażenia «do końca dziejów»? Fakty muszą być brane w rachubę, a zwłaszcza przerażające fakty tego rodzaju, na które nie ma na świecie ratunku. Z przyczyn, które są, mówiąc właściwie, fizjologiczne, per-

spektywa przyjaźni z Niemcami czy Rosjanami jest nawet w najdalszej przyszłości nie do pomyślenia. Jakikolwiek przymierze serc, czy umysłów byłoby tu rzeczą potworną, a potwory, jak nam wszystkim wiadomo, nie mogą żyć. Nie wolno swego postępowania opierać na koncepcji potwornej. Możemy zasługiwać, albo nie zasługiwać na byt niepodległy, ale groza sytuacji psychologicznej, w jakiej się znajdujemy, wystarcza, aby obłąkać umysł narodu.»

Nie mogłem przeczyć słuszności tych wywodów, widząc równie jasno, jak mój rozmówca, niemożliwość wytworzenia kiedykolwiek w przyszłości najsłabszego bodaj węzła sympatii między Polską a jej sąsiadami. Jedyna droga, jaka pozostaje odrodzonej Polsce, jest opracowanie, wprowadzenie w życie i utrzymanie jak najbardziej poprawnego systemu stosunków politycznych z sąsiadami, dla których samo istnienie Polski musi być upokorzeniem i obrazą. Jest to, rozważając na zimno, trud przerażający, można jednak pokładać nadzieję w polskim usposobieniu narodowym, które jest całkowicie wolne od ducha agresji i rewanżu. W nim tkwią podstawy wszelkiej nadziei. Powodzenie odrodzonego życia tego narodu, którego losem jest pozostać na wygnaniu — zawsze w odcięciu od Zachodu, we wrogim otoczeniu — zależy od życzliwego zrozumienia jego problemów, przez jego odległych przyjaciół — mocarstwa zachodnie, które muszą uznać, w swoim demokratycznym rozwoju, istnienie moralnego i umysłowego pokrewieństwa z tą odległą placówką ich własnej cywilizacji, co stanowiła jedyną podstawę polskiej kultury.

Jakakolwiek będzie przyszłość Rosji i ostateczny ustrój Niemiec — nic nie zdoła złagodzić dawnej wrogości, a zasadniczy antagonizm musi trwać nadal. Zbrodnia rozbiorów została popołniona przez rządy autokratyczne, właściwe swojej epoce; ale rządy te były nacechowane w przeszłości i będą nacechowane w przyszłości, narodowymi rysami swoich ludów, które to rysy nie dają się zgoda pogodzić z polską umysłowością i z polskim uczuciem. — Zarówno niemiecka uległość (choćby miała charakter idealistyczny), jak i rosyjskie bezprawie (wyrosłe z rozkładu wszelkich cnót) są w zupełności obce Narodowi Polskiemu, którego zalety i wady należą do zgoda innego rodzaju — zmierzając raczej do pewnego wybudowania indywidualizmu i — być może — do bezgranicznej wiary w moc dobrowolnej zgo-

dy — jedynej istotnej i niezmiennej zasady w wewnętrznych rządach dawnej Rzeczypospolitej.

Conrad napisał w roku 1916 jeszcze inny artykuł, poświęcony Polsce pt. „Uwagi o sprawie polskiej”. Dla pełni obrazu, trudno zeń nie przytoczyć następującego ustępu o sile wręcz proroczej i o dużym dla stosunków polsko-rosyjskich znaczeniu:

«Nie podobna przypuścić, by państwo tej potęgi i o takich tradycjach jak Rosja, zniosło w łonie własnego imperium uprzywilejowaną grupę narodową, niejednorodną z Rosją. Historia wykazuje, że tego rodzaju kombinacje, choćby chronione najbardziej uroczystymi umowami i oświadczeniami, nie mogą być trwałe. W tym szczególnym wypadku koniec musiałby być tragiczny. O wchłonięciu polskości przez Rosję nie podobna myśleć. Ostatnich sto lat historii europejskiej dowiodło tego niezbić. Pozostaje wytracenie do szczętu, drogą krwi i żelaza; i oto ostatni akt polskiego dramatu rozegrałby się wówczas przed oczyma Europy, zbyt zmęczonej aby mu zapobiec — i przy poklasku Niemiec.

Niesłusznym byłoby również twierdzenie, że zniknięcie Polski przyda sił słowiańskiej ekspansji. Sił by to nie przydało, natomiast zniknęłaby w ten sposób skuteczna zaporą przeciw niespodziankom, jakie przyszłość może nieść w swym zanadrzu dla mocarstw Zachodu».

Józef CONRAD-KORZENIOWSKI.

Archiwum polityczne

Middle East, Azja a mocarstwa Zachodu

1

Aktualny zarys podłoża sytuacji Bliskiego i Środkowego Wschodu streścić by można do obrazu wyzwalania się krajów tego terenu spod kurateli mocarstw zachodnich. To dążenie posiada cechy nieomal prądu religijnego: jest potężne i sięga najgłębszych podstaw świadomości ludów Wschodu. W wyniku tego procesu wyzwolenczego ustąpiła z Lewantu Francja a obecnie powoli kurczą się wpływy W. Brytanii w najważniejszych krajach Azji Przedniej.

Egipt, do niedawna brytyjska kolonia polityczna, uważany dziś być może za kraj istotnie suwerenny. Przebywanie wojsk brytyjskich w strefie kanału Suezkiego nie posiada już większej wymowy politycznej: jest poza tym gwarancją stabilności politycznej kraju. Faktem jest, że jakkolwiek próba potraktowania Egiptu jako państwa *minorum gentium* jest nie do pomyślenia. Egipt obecnie prowadzi ofensywę i w ofensywie tej, odnosi sukcesy polityczne, choć płaci za nie ciężki podatek strat materialnych.

Drugi co do znaczenia kraj arabski, Irak, zmanifestował swą postawę suwerenną odrzuceniem umowy iracko-brytyjskiej, podpisanej uroczystie w Portsmouth 15. 1. 1948, i potraktowanej przez najwplywowszych, jak się okazało, kierowników życia politycznego kraju, za prowadzącą do dalszego utrzymania u władzy żywiołów zbyt uległych wobec Londynu.

Trzecia domena wpływów brytyjskich na M. E. — Palestyna i Transjordania — wyłamują się, choć w nierównym stopniu, spod rządów brytyjskich. Większy niż dotychczas stopień autonomii tych krajów będzie nieuniknionym wynikiem zachodzących tu przemian. Przed żydowską — zaś częścią Palestyny

stoi realna możliwość budowy niezawisłości politycznej. Jakakolwiek zaś forma związków brytyjsko-żydowskich czy amerykańsko-żydowskich, która niewątpliwie zaistnieje, będzie musiała uzyskać placet nie tylko mocarstw anglosaskich, ale i kierowników politycznych żydostwa.

Wraz z wycofaniem się z Bliskiego Wschodu Francji — uzyskały niezależność polityczną Liban i Syria.

Procesy wyzwolencze nurtują wśród ludów Afryki Arabskiej; europeizuje się powoli i wyrasta politycznie Saudii Arabia, choć czyni to kosztem zysków czerpanych z koncesji amerykańskich.

Uniezależnia się, po okresie przejściowej okupacji w okresie drugiej wojny światowej, Iran. Wycofały się z jego terytorium wojska sowieckie, amerykańskie i brytyjskie. Powrót północnych prowincji tego kraju, okupowanych przez Sowjety, odbywa się równolegle ze zwiększeniem się wpływów Teheranu na obszarach naftowej koncesji brytyjskiej i dopominaniem się praw Iranu do wysp Bahrein.

Niezawisłą jest Turcja, stanowiąca mocarstwo w skali Bliskiego Wschodu.

Jak długa i szeroka — Azja Przednia opanowana jest dążeniem do samookreślenia narodowego, podminowana chorobliwym chwilami poczuciem własnej godności narodowej i ambicją urzędzenia własnego życia własnymi siłami. Nacjonalizm — w edycji czerwonej jak i konserwatywny — stanowią główną siłę motoryczną procesów politycznych Bliskiego i Środkowego Wschodu.

2

Analogiczne procesy dają się zaobserwować w całej Azji. Po walkach, strajkach, biernym i czynnym oporze milionowych mas — Indie uzyskały niepodległość i prawo decydowania o swej przyszłości. Pozostanie w ramach Brytyjskiej Wspólnoty lub opuszczenia jej szeregów zależne jest dzisiaj od wyłącznie zimnej kalkulacji strat i zysków płynących z tej przynależności. Kalkulacji tej dokonywać będą tacy bojownicy o wolność Indii jak Pandit Nehru, pięciokrotnie więziony przez władze brytyjskie za akcję niepodległościową, i jemu podobni.

Niepodległość stała się udziałem Burmy. 4 stycznia 1948 opuścił Rangoon, stolicę kraju, ostatni brytyjski gubernator, a na gmachu Rządu zawisł sztandar burmański. W odróżnieniu od Indii i Pakistanu — Burma nie pozostała w ramach Wspólnoty Brytyjskiej.

Ceylon uzyskał statut dominium pod koniec 1947 r.

W ogóle zasięg Imperium Brytyjskiego skurczył się do obszarów najbardziej zacofanych lub o nieokreślonym i mieszanym charakterze etnicznym i politycznym, jak do kolonii na Czarnym Lądzie, do skrawków południowego Arabistanu, Cy-

pru, Malty, Gibraltaru, Hong-Kongu i paru innych podobnych terenów.

Likwiduje się jednocześnie imperium Holandii. Indonezja walczy z metropolią i wszelkie próby załagodzenia kryzysu w drodze połowicznych ustępstw autonomicznych nie odnoszą skutku. Ostatnio dążą Holendrzy do przekształcenia Imperium w federację niezależnych w polityce wewnętrznej państw Indonezji i Holandii.

Podobnie jak na Lewancie kurczy się władza Francji i w Indo-Chinach. Pozostałe wysepki wpływów mocarstw zachodnich — to «wstydlive zakątki» konspirowane przez wzrokiem tubylców i zagranicy. Pozyskiwanie lokalnych władz, zakazy ukazywania się umundurowanych wojsk w miastach, ograniczenia w odwiedzaniu dzielnic tubylczych, zamykanie się poza kolczaste druty obozów i wydzielone strefy — oto ostatnie okopy Świętej Trójcy kolonializmu XIX stulecia, znikające z widowni całej Azji jak długa i szeroka.

3

Nakreślony wyżej obraz przemian jest jednostronny. Głębsza analiza procesów dokonywujących się w Azji ujawnia bardziej złożony charakter uwalniania się ludów Wschodu spod opieki mocarstw. *Exodus kolonializmu i panowania białego człowieka nad Żółtym Lądem i Azją Przednią* zbiega się z jednoczesnym procesem odwrótnym; *powracania Zachodu i białego człowieka w nowych szatach i z nowymi hasłami politycznymi*. Zwalnianie się Azji z «pęt kolonializmu» jest jak gdyby zrywaniem więzów ze złymi i ujemnymi formami kontaktu Zachodu i Azji, jest jak gdyby środkiem do pozahawania Zachodu od strony lepszej, nieznaney dotychczas w Azji.

Podłożem tego procesu jest utrzymująca się nadal przewaga kultury i cywilizacji Zachodu nad kulturą i cywilizacją azjatyckich ludów. Chcąc nie chcąc, siłą wymogów życia codziennego zarówno gospodarczego jak i politycznego — ludy Azji muszą wchłaniać cywilizację Zachodu, albo dostosować się do niej i utrzymywać z nią przyjazny kontakt, jeśli nie chcą ulec procesowi degradacji kulturalnej. Politycznie zaś biorąc, wyrzekanie się kontaktu z cywilizacją Zachodu jest dla tych ludów ztracaniem zdolności obronnych zarówno wobec własnych azjatyckich sąsiadów jak i wobec ofensywy politycznej i ekonomicznej Zachodu. Najbardziej zdumiewającą cechą tego zjawiska jest zależność Wschodu nie tylko w dziedzinie techniki i wiedzy ścisłej, ale i w dziedzinie kultury duchowej. Jaskrawym dowodem tego twierdzenia jest Japonia.

Jedynie mocarstwo azjatyckie XIX i XX wieku poniosło ono w bilansie swej polityki ekskluzywizmu duchowego i korzystania jedynie z techniki Zachodu — kompletną klęskę. Zamiast być stałym place d'armes kontrofensywy Azji i stać się punk-

tem oparcia duchowego renesansu ludów azjatyckich — Japonia jest w obecnej chwili place d'armes Zachodu na Dalekim Wschodzie. Klęska Japonii jest klęską tych elementów japońsko-narodowych, które są jaskrawym zaprzeczeniem (bądź co bądź) prześwietlonej promieniami chrystianizmu, cywilizacji Zachodu. I jedynie szarmonizowanie narodowych wartości z zachodnimi może odrodzić Japonię. W myśl tych właśnie zasad rządzi Japonią generał Mac Arthur, dążący do demokratyzacji ustroju, do zaszczepienia zasad chrześcijańskiej cywilizacji i wytepienia niektórych destrukcyjnych zasad Szinto.

Charakterystycznym przejawem *złożonego* i «obosiecznego» charakteru exodusu człowieka białego i jego imperialnych systemów z Azji jest również fakt amerykańskiej ofensywy na prawie całym obszarze Azji. I w Chinach, i w Indiach, w ostatnim przewrocie w Sjamie, i w Japonii, w świecie arabskim, w Persji i w Turcji występują wpływy Waszyngtonu. Penetracja amerykańska jest zjawiskiem nowym i niedostatecznie określonym. Charakter jej jest złożony: to czysto handlowa i rzeczowa oparta na zasadach *do ut des*; to znowu brutalna i nacierająca dzięki swej przewadze materialnej; to znowu subtelna i znakomicie dostosowująca się do terenu i warunków lokalnych. Ten ostatni moment jest szczególnie ważny, gdyż warunkuje dużą przyszłość ekspansji amerykańskiej. Przykładem tego rodzaju polityki jest m. in. zachowywanie się kierownictwa naftowej koncesji amerykańskiej w Saudii Arabii. Władze koncesji uznały piątek za dzień świąteczny, skasowały dzwony w kaplicy — by nie obrażać uszu fanatycznych wyznawców Proroka, wprowadziły przymusową naukę arabskiego dla swych pracowników, pozakładały szkoły dla tubylców, szpitale, przychodnie oraz podjęły szkolenie lokalnych kandydatów na posady w koncesji, pragnąc w najbliższym czasie zastąpić nimi (drogich) pracowników pochodzenia amerykańskiego. Polityka tego rodzaju, obok hojności w określaniu dochodów państwa z tytułu koncesji, spowodowała, że kategoryczne żądania innych państw arabskich zerwania umów saudyjsko-amerykańskich w związku z poparciem przez U.S.A. podziału Palestyny — były z góry skazane na niepowodzenie.

Najbardziej znaczącym przejawem nawrotu Zachodu w Azji jest jednak nie nieuchwytna przewaga i wzmożona penetracja cywilizacji zachodniej, ani nie ofensywa kapitału inwestycyjnego Stanów Zjednoczonych, ani amerykańska okupacja Japonii... lecz powrót do Azji W. Brytanii z hasłem (formalnie wcześniej sformułowanym) Wspólnoty Ludów. Jest to proces najświeższej daty, którego objawem jest rodzaj nagłej rewolucji w nastrojach ludów Dalekiego Wschodu, jaka dokonała się po uznaniu przez Londyn niepodległości Indii, Pakistanu, Burmy i Ceylonu. *Samolikwidacja* brytyjskiego kolonializmu na Dalekim Wschodzie, idące w parze z poważnymi ustępstwami Londynu na rzecz nowych dominiów i nowych państw, prowadzona równoległe z zawieraniem nowych umów i akcją propagandową

wydzwignęły W. Brytanię na piedestał czołowej siły moralno-politycznej w Azji. Przyczyniło się do tego i wiele innych momentów: i przekonanie się w toku ostatniej wojny jak dalece fałszywe są hasła wyzwolenia Azji spod dominacji białego człowieka, głoszone przez Japonię, która pragnęła jedynie zastąpić imperializm białej rasy imperializmem Japonii; i błędy polityki Holendrów, którzy po wojnie, odcięci od Indonezji przez okupację niemiecką, powrócili nagle do zdezaktualizowanych zasad rządów kolonialnych sprzed 1939 roku; i wpływanie Anglików na Hagę, by uwzględniła wolnościowe dążenia swych kolonii; i naiwna brutalność Amerykanów; i daleko posunięte zerwanie z hasłami wolnościowymi Wielkiej Rewolucji ze strony Francuzów. W tym samym kierunku działały również katastrofalne chwila niepowodzenia wyzwolonych narodów w urządzaniu swych krajów. Masowe morderstwa polityczne w Burmie, rzezie w Indiach i migracja milionowych mas, trudności z podziałem Indii i Pakistanu, walki wewnętrzne, wojna o Kaszmir, brak specjalistów technicznych, kompletny brak wyższych dowódców wojskowych, brak zmysłu organizacyjnego i państwowego, itp. — wywołały tendencje ugodowe u przywódców politycznych wyzwalających się ludów Azji. Obok tych momentów wystąpiły na jaw, niedoceniane w toku walki niepodległościowej, momenty korzyści jakie dawała łączność z Imperium Brytyjskim. Sprawy finansowe, handlu zagranicznego, organizacji przemysłu a przede wszystkim sprawy wspólnych interesów obrony brytyjskich szlaków łączących Londyn z Australią i N. Zelandią, jak i z drugiej strony obrony basenu Oceanu Indyjskiego i granicy północnej Indii — zmuszają dwa dominia do ścisłej współpracy wojskowej z Albionem.

Na powyższym tle polityka brytyjska okresu poprzedniego oceniana jest z większym niż dotychczas umiarem, zaś jej nowe tendencje, na czele z hasłem Wspólnoty Ludów, potraktowane zostały jako szczyt możliwości międzynarodowego urządzania Azji i świata.

Kolosalne bogactwa naturalne Azji, leżące odłogiem, mogące stanowić źródło odrodzenia tych ludów, mogą być jedynie na wielką skalę eksploatowane i wyzyskiwane przez U.S.A. Tu leży źródło naturalnych możliwości ekspansji Ameryki. Duże możliwości powrotu w nowej «niekolonialnej» formie posiada nawet Holandia. Utraciwszy rynek niemiecki, zainteresowana jest ona obecnie w odrestaurowaniu siły nabywczej i produkcyjnej Indonezji. Stając się w ten sposób czynnikiem pozytywnym z punktu widzenia racji stanu Indonezji — posiada warunki dla powołania do życia rodzaju Holenderskiej Wspólnoty Ludów.

Tymiż śladami wcześniej czy później pójdzie zapewne i Francja na Dalekim Wschodzie.

I tak exodus kolonializmu białego człowieka stał się w istocie początkiem nowej fazy stosunków między Wschodem a Zachodem. Zimne i bezduszne związki w ramach systemów ko-

lonialnych zastępowane są obecnie związkami nacechowanymi pogłębianą znajomością i uznaniem wzajemnych potrzeb i dążeń. Proces ten objął na razie Daleki Wschód, czyli właściwą wielką Azję i jest w fazie początkowej. Nie dotarł jeszcze na Wschód Bliski i Środkowy. Może dlatego, że stosunki Zachodu i Wschodu są tu, z punktu widzenia doświadczenia polityki kolonialnej, świeżej daty, i może dlatego, że potencjał wolnościowego oddziaływania ludów Zachodu został niejako wyczerpany w okresie pomocy ludom arabskim w wyzwalaniu się spod supremacji ottomańskiej w czasie pierwszej wojny światowej.

4

Nakreślony dotychczas obraz przemian dokonywujących się w Azji nie jest pełny. Logiczne i proste kontury obrazu zawiera ofensywa komunizmu i czerwonej Rosji w Azji. Z hasłem stopienia Wschodu i Zachodu, w syntezie «cywilizacji komunistycznej» Sowiety wbijają się klinem jako siła trzecia, groźna nie tyle potęgą idei ile świetną techniką i taktyką penetracji. Siła ta dość silnie usadowiła się w sercu Azji. W Chinach liczy wiele milionów zwolenników, i co jest najbardziej znamienne, nawet po ewentualnym zerwaniu łączności między Moskwą a komunistami chińskimi — trwać może bardzo długo jako siła endemiczna, oparta o jakieś historyczne podobieństwa Chin.

Okres wojny światowej obudził silne i groźne zainteresowania komunizmem i w Indiach. Komunizm zaszczerpiony został również na obszarze Korei, dewastowanej przez Japończyków i wspieranej przez wiele lat przez Sowiety. W rękach komunistów znajduje się kierownictwo ruchu niepodległościowego w republice Viet-Nam.

Duże zdobycze posiada komunizm i na obszarach bezpośrednio sąsiadujących z Sowietami: w Mongolii Zewnętrznej, w republice Tannu Tuwa, w chińskim Turkiestanie, ostatnio w Mandżurii, w perskim Azerbejdżanie, wśród Kurdów, Ormian Bliższego Wschodu. Wzmocniły się istniejące od dawna grupy komunistyczne w Egipcie, Palestynie, Syrii, Libanie, na Cyprze itp.

Reasumując — można by wysunąć twierdzenie, że wycofujący się system kolonialny mocarstw zachodnich wytworzył w Azji *vacuum*, które wypełnia obecnie z jednej strony Zachód występujący z nowymi hasłami, oraz z drugiej strony — komunizm rosyjski. Azja staje się w ten sposób jednym z terenów walki Europy i Zachodu z rosyjską Eurazją. Na tym obszarze istnieje jednak pewnego rodzaju harmonia czynników biorących udział w grze. Koncepcji komunizmu przeciwstawia się brytyjska idea Wspólnoty Ludów, potęda państwa sowieckiego — potęga Stanów Zjednoczonych. Trudnościom, na jakie napotyka penetracja komunizmu i Rosji odpowiadają przeszkody stawiane powrotowi Zachodu ze strony skrajnego nacjonalizmu ludów Wschodu.

5

Walka komunizmu i Zachodu w Azji toczy się o pozyskanie przyjaźni $\frac{3}{4}$ ludzkości i o wpływy na największych obszarach świata.

W chwili obecnej w walce tej zbliża się świat ku końcowym rozstrzygnięciom, które zadecydują ostatecznie o pokoju lub wojnie, w najbliższym czasie. Jednym z rozstrzygnięć tego rodzaju będą wybory prezydenta U.S.A. w jesieni 1948 roku. Na wynik tych wyborów wpłyną m. in. powodzenia lub niepowodzenia polityki amerykańskiej w Grecji, walki w Chinach oraz bieg wydarzeń na M. E., których punktem wyjścia są sprawy małej Palestyny. Żydzi, zamieszkujący stan Nowego Jorku, mogą głosami swymi zadecydować o wyborach. Każda z amerykańskich partii politycznych nigdy nie szczędziła obietnic pod adresem Żydów, celem pozyskania ich głosów. Opinia kół politycznych Ameryki jest jednak podzielona między koniecznością liczenia się z arabskimi posiadaczami pól naftowych, a koniecznością znalezienia wyrazu politycznego dla sympatii amerykańskich wobec aspiracji żydowskich w Ziemi Świętej. Oś Jerozolima—Nowy Jork niemniej jak oś Waszyngton—Czong King, może więc zaważyć na losach świata. Głos sowiecki rzucony na szalę idei podziału Palestyny, wbrew dotychczasowej polityce Moskwy popierania czerwonej jedności żydowsko-arabskiej oraz zwalczania sjonizmu, posiada głębokie tło problemu światowego. Walka zaś bałkańskich satelitów Rosji z Grecją, jak i ofensywa komunistów w Chinach, ostatnio prowadzona ze znaczną siłą i częściowym powodzeniem, bądź zwalczanie planu Marshall'a w odniesieniu do Europy Zachodniej — posiadają szczególną wymowę w tym świetle. Mają one na celu zniechęcić polityków amerykańskich do zainteresowań sprawami Starego Świata i wzmocnić tendencje ugodowe wobec Moskwy. Za kulisami tego planu tkwi, być może, fantastyczny zamiar znalezienia w późniejszym etapie wyjścia z impasu polityki światowej w podziale Azji na sfery sowiecką i amerykańską a kosztem W. Brytanii.

Perspektywy jednak tej rywalizacji i tego ostatniego planu są niekorzystne dla Moskwy. I to zarówno w wypadku powodzenia jak i niepowodzenia rywalizacji zachodnio-komunistycznej w Azji. W wypadku niepowodzenia Anglosasi mogą odwołać się do argumentu bomby «wodorowej».

Sukcesy natomiast Anglosasów w Azji zredukują wymowę zdobyczy sowieckich na innych terenach i w ogóle zlokalizują problem komunizmu, odbierając mu cechy problemu światowego. Szanse okrutnej groźby trzeciej wojny światowej zostaną w ten sposób wybitnie skurczone, powstaną zaś możliwości odzyskania imperialistycznych zdobyczy Moskwy z okresu 1939-1945, wypróbowaną w Azji metodą «irańską».

Włodzimierz BĄCZKOWSKI.

Kronika muzyczna

Rzut oka na muzykę współczesną

Podciągnięcie twórczości muzycznej okresu międzywojennego pod jeden najogólniejszy chociażby wspólny mianownik byłoby zadaniem prawie niewykonalnym. Bardzo liczne publikacje, poświęcone temu zagadnieniu i wśród których przeważały prace zbiorowe, mimo iż miały one przeważnie charakter apologetyczny, operowały przede wszystkim stwierdzeniami negatywnymi. Wykazywały, czym się nowa muzyka różni od muzyki tradycyjnej i usiłowały wykazać, iż nie ma w tym nic złego. Z chwilą jednak, gdy starały się podać pozytywną i ogólnie obowiązującą charakterystykę nowoczesnej muzyki, nie wychodziły poza mgliste ogólniki i dochodziły do konkluzji wręcz rozbieżnych. Było to zresztą nieuniknione. Proces rozkładowy tradycji klasycznej, zapoczątkowanej już przez romantyzm i odbywający się niejako w ukryciu przez cały XIX-ty wiek, wybuchł po pierwszej wojnie światowej z niebywałą siłą. Wielki wstrząs psychiczny, jakiego doznał świat cywilizowany obalił również w dziedzinie sztuki ostatnie hamulce. Jeśli na początku naszego stulecia zdobywano się ostrożnie na pewne «zuchwałości» formalne, starając się uzasadnić te zuchwałości przez wciąż jeszcze obowiązujące prawa tradycyjnej teorii, od roku 1920 zaczęła się pogoń właśnie za tym wszystkim, co się w tej teorii nie mieściło. W twórczości niektórych prekursorskich jednostek jak Schönberg lub Strawiński proces ten zaczął się już wcześniej, około 1911-go roku, ale rezultaty tej rewolucji muzycznej dotarły do ogólnej świadomości dopiero po wojnie. Okazało się, że szacowne i zdawało się niewzruszone posady harmonii, kontrpunktu, tonacji, nie były jedynymi filarami muzyki, że można ją było tworzyć w zupełnym oderwaniu od tych zasad. Wprawdzie to, co w ten sposób tworzone, większość społeczeństwa nie wydawało się w ogóle muzyką, tym większy jednak był zapał «wtajemniczonych», którzy z pogardą przechodzili do porządku dziennego nad oporem laików a w śmiałym zerwaniu wszelkich tradycyjnych hamulców ujrzeli

przed sobą nieoczekiwane bogactwo zupełnie jeszcze niewypróbowanych możliwości.

Zresztą «wtajemniczenie» to polegało jedynie na obaleniu bezkompromisowym wszystkich dotychczas obowiązujących zasad. Nie dawało natomiast żadnych pozytywnych wytycznych. Oczywiście jednostki obdarzone mniejszą pomysłowością starały się po prostu naśladować tych, którzy pierwsi mieli odwagę zerwania z przeszłością. Wytworzyły się więc z grubsza dwa nurty: jeden bardziej doktrynerski nawiązujący do Schönberga, drugi — spontaniczniejszy, idący w ślady Strawińskiego. Szkoła Schönberga wychodziła z założeń teoretycznych. Stwierdziwszy, że praktyka muzyczna już od połowy XIX-go wieku coraz bardziej oddala się od zasady tonacji i coraz częściej gwałci reguły opartej na tonacjach harmoniki, zdobyła się na zaprzeczenie samej zasady tonacji. Uznano pełną równorzędność wszystkich 12 tonów gamy chromatycznej i przyjęto za zasadę, że wszystkie współbrzmienia są dopuszczalne. W rozpełniamym w ten sposób chaosie nie pozostawiono na razie żadnego przewodnika, albo raczej za jedyną wytyczną uznano omijanie wszelkich kombinacji, które by nawet przypadkowo przypominały dawną muzykę. W ten sposób starano się uniknąć kompromisu i chwiejności: «skoro mamy posługiwać się zupełnie nowym językiem muzycznym, nie wolno nam tolerować w tym języku żadnego słowa, które coś znaczyło w dawnym języku». Postawa ta skierowała twórczość na drogę czysto umysłowych kombinacji i zwolennicy nowej szkoły zupełnie poważnie sięgali nieraz do matematyki, do rachunku kombinacyjnego, by znaleźć jakieś zaczepienie, jakąś prawidłowość w twórczości, która pod grozą wpadnięcia w passeizm musiała unikać intuicji i kierowania się słuchem. Powstawała w ten sposób muzyka, która nie miała nic wspólnego z pięknem, z ekspresją w tradycyjnym znaczeniu tych słów, która była interesująca w czytaniu, ale dla większości nawet muzyków zupełnie niestrawna w słuchaniu.

Była to droga zbyt ascetyczna, by mogła pociągnąć zbyt wiele adeptów. Większość poszukiwaczy nowych dróg wołała więc pójść w ślady Strawińskiego, który przeciwstawił się tradycji w inny sposób. Zamiast, jak to robił Schönberg, rewolucjonizować w muzyce to, co było najbardziej cerebralne i starą teorię zastępować niemniej przeintelektualizowaną nową doktryną, dążył on w pierwszym okresie swojej twórczości do oparcia muzyki na jej najmniej zrationalizowanych składnikach: na rytmie, barwie i dynamice. Nie zwalczał tonacji ani nie dążył do ich zachowania, nie liczył się z tradycyjnymi regułami harmonicznymi, ale też nie unikał za wszelką cenę zwykłych akordów, przede wszystkim jednak dążył do wyzwolenia najpierwotniejszych elementów muzycznych z ram krępującej je przez wieki teorii. Kierując się wyłącznie intuicją twórczą, wolną od wszelkiego doktrynalnego pedantyzmu i pomagając sobie najwyżej folklorem, w którym widział taką samą spontaniczność

wyrazu, do jakiej dążył, potrafił w dziełach jak «Święto wiosny», «Petruszka», «Wesele» dać niejako czysty żywioł muzyczny, bezpośrednią radość dźwięku, rytmu i dynamiki. Dokonał w ten sposób istotnie jednej z większych rewolucji w dziejach muzyki, tym większej, że nie wykoncypowanej, lecz stworzonej jak gdyby z niczego. Z niesłychaną odwagą otworzył przed przyszłymi pokoleniami zupełnie nowy świat możliwości formalnych. Nie też dziwnego, iż naśladownictwo skierowało się przede wszystkim na tę drogę i nie jest przesadą powiedzieć, że prawdziwa wielkość Strawińskiego znajduje się nietytyle w jego własnych dziełach, ile prawie w całej nowoczesnej twórczości.

Wobec tego jednak, że ta droga nie dawała żadnych wytycznych, żadnych zasad kierowniczych, naśladowcom nieobdarzonym podobnie bogatą pomysłowością nie pozostawało nic innego, jak po prostu powtarzać «chwyty» Strawińskiego, co przy całej rewolucyjności używanych środków wytworzyło w krótkim czasie nowy szablon, równie ograniczony jak ten, którego chciano uniknąć. Z drugiej strony odcięcie się od tego szablonu nie było łatwe. Różnica między środkami wprowadzonymi przez Strawińskiego a dawnym stylem była tak wielka, że w porównaniu z nią zupełnie niepostrzegalne stawały się drobne odchylenia w repertuarze nowych środków. Tym czasem hasłem dnia była oryginalność, oryginalność za wszelką cenę! By ją osiągnąć, trzeba było zdobyć się na coś całkowicie niepodobnego do już stosowanych środków. Zaczęło się więc przeliczycywywanie się w wymyślaniu chwytów coraz niezwykleszych, coraz bardziej nieoczekiwanych. Nie można oczywiście traktować twórczości całego tego okresu jako nierozumnej i nieodpowiedzialnej pogoni za coraz to nowszymi sensacjami, ale nie można nie zauważyć wpływu raczej szkodliwego, jaki wówczas na twórczość nawet największych i najpoważniejszych kompozytorów wywierał ów ustawiczny lęk przed szablonem.

Kompozytorem, który najwcześniej i najszcześliwiej odciął się od szablonu «Święta wiosny», był... sam Strawiński. W okresie, kiedy jego pierwsze wielkie kompozycje zaczęły dopiero docierać do świadomości ogółu muzycznego, a więc w pierwszych latach po pierwszej wojnie światowej, sam on komponował już w zupełnie innym stylu, znanym jako «druga maniera» Strawińskiego. W miejsce rozpełnianych żywiołów muzycznych przychodzi muzyka skoncentrowana, obiektywna, celowo stroniąca od wszelkich uniesień, operująca przeważnie znacznie ograniczonym w rozmiarach aparatem wykonawczym pozwalającym lepiej uwypuklić nowość i niezwykłość zestawień instrumentalnych, które w dawnych utworach ginęły w potężnym potoku dźwiękowym orkiestry. Styl ten pojawiający się w twórczości Strawińskiego począwszy od «Pulcinelli» (1916) i krystalizujący się coraz bardziej poprzez «Historię żółnierza» (1918), Koncert fortepianowy (1924), balet «Apollon

Musagète» (1927), «Symfonię psalmów» i szereg innych utworów, przyjęto określać nazwą neoklasycyzmu, opierając się na celowym, nieraz prawie ascetycznym uproszczeniu tej muzyki oraz na jej rozmyślnej beznamietności. Termin ten jest jednak wieloznaczny. Pojawił się on już przed Strawińskim i służył do określenia muzyki nowoczesnej, która swym obiektywizmem, świadomą eliminacją osobistej emocji i wysunięciem na pierwszy plan techniki, «rzemiosła muzycznego» przeciwstawiała się subiektywizmowi i uczuciowości romantyzmu. Było to realizowanie postawy klasycznej przy pomocy nowoczesnych środków; metodą taką można było wykryć w większości dzieł Ravela, w całej późniejszej twórczości Roussela, w niektórych utworach Prokofiewa. Styl zainaugurowany przez Strawińskiego był zupełnie odmienny. Polegał on na stosowaniu w nowych i oryginalnych zestawieniach chwytów technicznych, zwrotów melodycznych i harmonicznym właściwych muzyce XVIII-go wieku, nie stronił nieraz przed dosłownymi cytatami. Było to więc, w przeciwieństwie do wcześniejszego neoklasycyzmu, realizowanie nowoczesnej muzyki przy pomocy dawnych środków. Sposób, w jaki to czynił Strawiński, był zbyt osobisty i nieuchwytny, by go można było naśladować bezpośrednio. Ale tym razem istniała przynajmniej formuła. I mimo gwałtownych oporów, zwłaszcza ze strony schönbergistów widzących w tej postawie fałsz, kompromis i rezygnację z szukania nowych dróg, formuła została przyjęta przez szereg kompozytorów zwłaszcza francuskich (w pierwszym rzędzie Poulenc).

Wprawdzie kompozytorzy francuscy nie musieli koniecznie nawiązywać neoklasycyzmu do Strawińskiego i wyprowadzali nowy styl raczej z sugestii Erika Satie, który o wiele wcześniej protestował przeciw mglistości poetyczności i symbolizmowi muzyki impresjonistycznej, dającej swoim utworom ironiczne tytuły, jak «Biurokratyczna sonatina», «Sflaczale preludia», «Utwór w kształcie gruszki» itd., postawa ta nie pozwalała jednak na osiągnięcie owej wymarzonej oryginalności, toteż szukano nowych dróg w rozwinięciu pewnych pomysłów, zastosowanych już przez wcześniejszych kompozytorów, ale nie wykorzystanych przez nich systematycznie. Obok schönbergowskiego atonalizmu stosowano politonalizm, polegający na równoczesnym łączeniu odrębnych tonacji (zasadę tę najsystematyczniej w swej twórczości stosował Milhaud). Bądź też zwróceno się już nie przeciw kompleksom tradycyjnym dźwięków jak tonacja lub harmonia, lecz przeciw samemu materiałowi dawnej muzyki. Uważając tradycyjną skalę, w której najmniejszą różnicą między kolejnymi dźwiękami skali był półton, za zbyt ubogą, zaczęto stosować podziały jeszcze mniejsze jak ćwierćtony lub nawet szóste części tonów. Idea ta interesowała muzyków już od dawna, zwłaszcza że ćwierćtony znane były z muzyki egzotycznej. Były to jednak raczej badania teoretyczne. Pierwszym, który oparł na tych zasadach praktykę muzyczną, był Czech Alois Hába. Szkoła ta jednak zatrzymywała jeszcze

pojęcie skali jako takiej, jako zespołu ściśle określonych co do wysokości dźwięków. Dalszym krokiem było zastąpienie dźwięków przez szmery i hałasy. Przed tą konsekwencją też się nie zatrzymano. Już włoski futurysta Russolo propagował «brulizm», do czego potrzebował nowych instrumentów. Ich nieprzetłumaczalne francuskie nazwy dają dosyć wymowne pojęcie o brzmieniu podobnego zespołu: *hululeur, grondeur, crépiteur, strideur, bourdonneur, glouglouteur, éclateur, sibilateur, croasseur, froufrouteur*. Łącząc *hululeur* z *crépiteur* konstruowano nowy instrument o nazwie *rumorharmonium*. Kompozytor amerykański George Antheil w swym «Balecie mechanicznym», wykonanym w Baden-Baden w 1927 roku, stosuje między innymi motory elektryczne, syrenę fabryczną i dwie pełne oktawy elektrycznych dzwonków.

Cytuję tu owe ekstrawagancje muzyczne jedynie jako przykład tego, do czego doprowadziła w omawianym przez nas okresie dążność do nowości i oryginalności za wszelką cenę. Podobne próby się nie utrwały. Nie można jednak pomijać milczeniem faktu wkroczenia «zorganizowanego szumu» w dziedzinę tworzywa muzycznego. Wyrafinowane kombinacje perkusyjnych efektów i ustawiczne posługiwanie się glissandami lub przejściowymi dźwiękami o nieustalanej wysokości należą do normalnego repertuaru muzyki jazzowej. Nie można również pomijać znaczenia, jakie dla strony brzmieniowej nowoczesnej muzyki ma niezwykle rozwój wynalazków technicznych: patefon, radio, pianola (instrument uważany przez Strawińskiego za idealny, gdyż eliminuje całkowicie pośredniczącego między pianistą a kompozytorem wykonawcę) lub nowe instrumenty elektryczne jak «Fale Martenota», pozwalające na wydobywanie wszystkich dźwięków w dowolnych rejestrach. Nawet najstarszy «instrument muzyczny» jakim jest głos ludzki, zaczęto traktować w zupełnie nowy sposób. O ile systematycznie stosowane przez rosyjskiego kompozytora Obuchowa krzyki chóru, glissanda głosu wznoszącego się od najniższych nut do falsetu, szepty czy westchnienia należą raczej do kategorii eksperymentów, które się nie przyjęły, często używanym środkiem stał się wprowadzony przez Schönberga «Sprechgesang», będący formą pośrednią między śpiewem a deklamacją.

Dziedzina śpiewu pozwalała poza tym na specyficzne innowacje w stosunku pomiędzy muzyką a tekstem. Protestując przeciw podporządkowaniu muzyki słowu, wprowadzają kompozytorzy do opery ściśle formy muzyki absolutnej. W głośnej operze najwybitniejszego przedstawiciela szkoły schönbergowskiej Albana Berga «Wozzeck», poszczególne sceny, a nawet całe akty są oparte na formach fugi, passacaglii, wariacji. Jeszcze dalej w uzależnieniu muzyki od tekstu idzie Hindemith w swej operze «Cardillac». Libretto o kryminalistycznej treści towarzyszy kameralna, «czysta» muzyka, która nie traci swej beznamietnej obiektywności nawet w chwilach gdy na scenie odbywa się morderstwo. Tę niezależność muzyki od tekstu pod-

kreśla się celowo. Wspomniany przed chwilą Hindemith komponował muzykę na tekst ogłoszeń gazetowych. Inną próbą «odświeżenia» formy operowej jest skracanie czasu jej trwania. Opera Milhauda «Porwanie Europy» trwa 8 minut.

Zasadniczą wadą tych wszystkich prób modernizacji języka muzycznego było, iż wynikały one z wyrozumowanych koncepcji, wypływały raczej z nowych pomysłów teoretycznych niż ze spontanicznej potrzeby odnowienia środków wypowiedzi. Cerebralizm tych wynalazków był jeszcze pogłębiany przez fakt, iż w całej tej działalności obok kompozytorów decydującą rolę odgrywali teoretycy. O ile w dawnych czasach nowe koncepcje estetyczne były przeważnie poprzedzane przez praktykę, którą usiłowano *ex post* ująć w ramy doktryny, teraz teorie poprzedzały praktykę. Nowe pomysły muzyczne były najpierw wymyślane przez mniej lub więcej odpowiedzialnych, ale przeważnie pozbawionych twórczego geniuszu teoretyków i dopiero później wcielane w życie. Zdobyć się w tej atmosferze na twórczość prawdziwie spontaniczną nie było rzeczą łatwą. Przez jakiś czas zdawało się, że znaleziono odżywcze źródło oryginalnej a nieprzeintelektualizowanej muzyki w folklorze. Wiadomo było jak odświeżającym źródłem inwencji był folklor dla Strawińskiego w pierwszym okresie jego twórczości. Sięgnięto do innych folklorów poza rosyjskim. Na ogół myśl nie była nowa. Muzyka ludowa była wyzyskiwana przez kompozytorów od najdawniejszych czasów. Podczas gdy jednak czy Liszt w swych Rapsodiach, czy niezliczeni producenci muzyki «hiszpańskiej» à la Carmen, czy nawet Rimskij-Korsakow w swych folklorystycznych rosyjskich lub orientalnych operach przystosowywali tematy muzyki ludowej do kanonów tradycyjnej harmoniki, obecnie usiłowano zachować całą świeżość i odrębność folkloru. Już Strawiński wykazał, że nowoczesne środki muzyczne przy ich tonalnej nieokreśloności i rytmicznej swobodzie znacznie lepiej do tego się nadają niż zbyt obce folklorowi środki klasyczno-romantyczne. Czołowym przedstawicielem kierunku traktującego folklor nie jako podstawę ale jako zapłodnienie, punkt wyjścia nowoczesnej muzyki stał się genialny kompozytor węgierski Bela Bartok. Nie można zaprzeczyć, że w jego własnych dziełach, jak również w twórczości jego ziomka Zoltana Kodaly'a, a później w dorobku Szymanowskiego w Polsce, de Falla w Hiszpanii, Villa Lobos'a w Brazylii itd. folklor tych poszczególnych narodów stały się źródłem wielkich arcydzieł. Cały kierunek jako taki utkwiał jednak w impasie podobnie jak wszystkie inne ekskluzywne kierunki muzyki współczesnej. Masowe żerowanie na folklorze zwłaszcza drugorzędnych kompozytorów wytworzyło w krótkim czasie nieznośną manierę i pod koniec okresu międzywojennego nawet arcykapłan folkloryzmu, Bartok, zwrócił się w innym kierunku, o czym zresztą jeszcze będziemy mówili.

Jaką tedy ogólną konkluzję można by było wyciągnąć ze wszystkich opisanych wyżej faktów? Okres międzywojenny

przyniósł niewątpliwie pogrzebanie tradycyjnego języka muzycznego. Ale co dał wzamian? Czy powstał nowy język muzyczny? Czy język ten jest tonalny czy atonalny? Z jednej strony kompozytorzy najbardziej radykalni jak Strawiński nie zerwali definitywnie z tonacją. Sławny w swoim czasie z największych ekstrawagancji Hindemith wraca świadomie do tonalności pod koniec okresu międzywojennego. Konsekwentny atonalizm uprawia jedynie nieliczna chociaż bardzo wpływowa sekta Schönbergistów — zobaczymy jednak, że nawet w tym ośrodku atonalizmu pojawiają się pewne tendencje nawiązania do tradycji. O wiele powszechniej przyjął się politonalizm, który można odnaleźć prawie we wszystkich współczesnych kierunkach. Błędem by było jednak uważanie politonalizmu za coś pośredniego między tonalizmem a atonalizmem, gdyż politonalizm konsekwentny może istnieć jedynie przy bardzo wyraźnym podkreślaniu poszczególnych występujących równocześnie tonacji, jest więc raczej przeciwieństwem atonalizmu. «Folklorysta» nie stosuje tradycyjnych tonacji, ale zastępuje je tonacjami ludowymi czy egzotycznymi, nie zrywają więc z samą zasadą tonalności.

Czy muzyka nowoczesna jest obiektywna czy subiektywna? Z tego punktu widzenia również trudno dać jednoznaczną odpowiedź. Przede wszystkim samo pojęcie obiektywizmu jest niejednolicie pojmowane. Oznacza ono bądź ograniczanie się do czystej formy muzycznej, nie mającej nic wyrażać i stosującej się jedynie do własnych prawideł gry dźwiękowej jak u Strawińskiego który zawsze bolał nad koniecznością powierzania utworów wykonawcom wprowadzającym moment subiektywny (ideałem jego byłiby wykonawcy grający «jak maszyna do szycia»). Bądź też pojmuje się obiektywizm jako związanie muzyki z najpospolitszymi przeżyciami życia codziennego, z problemami ekonomicznymi lub społecznymi — był to kierunek tzw. «Nowej rzeczywistości» propagowany w Niemczech przedhitlerowskich przez Kurta Weilla, Kreneka i Hindemitha. Podobne hasła propagują we Francji kompozytorzy należący do grupy «Szóstki» i wyrażają przy pomocy muzyki sport («Rugby», «Skating Ring» Honeggera) lub maszyny («Train bleu» Milhauda, «Pacific 231» Honeggera, «Katalog maszyn rolniczych» Milhauda). Z drugiej strony subiektywizm i emocjonalność nie są bynajmniej nieobecne w tej muzyce. Pomijając ich obecność «nieprogramową» choć bardzo wyraźną np. w twórczości Bartoka czy Szymanowskiego, podkreślić należy, iż najbardziej zdawałoby się cerebralny kierunek muzyki, jakim jest szkoła Schönberga, traktuje ekspresję, jako naczelną zadanie muzyki i radykalność swego języka muzycznego uzasadnia potrzebą znalezienia nieużytych środków wyrazu.

Jedyną cechą wspólną dla wszystkich kierunków muzyki współczesnej była cecha negatywna: ich całkowita niezrozumiałość dla przeciętnego słuchacza. Zjawisko na ogół normalne w dziejach sztuki, ale wskutek niesłychanego wzmocnienia tempa

przemian i nie dającej się ogarnąć różnorodności nowych prądów, występujące w okresie ubiegłego ćwierćwiecza w niespotykanym dotychczas nasileniu. Rozgrywki pomiędzy zwalczającymi się szkołami odbywały się w wąskim gronie zainteresowanych, szeroka publiczność nawet już nie zajmowała wobec tej muzyki wrogiej postawy, lecz po prostu nie interesowała się tą sztuką, zwracając się dla zaspokojenia swych potrzeb muzycznych bądź do muzyki dawniejszej bądź też, częściej, do muzyki rozrywkowej, wprawdzie również zmodernizowanej, lecz podającej «nowoczesność» w umiejętnie spreparowanej, dzięki operowaniu stałymi szablonami dostępniejszej formie. Jazz, który wbrew ogólnemu przekonaniu znacznie więcej wzięt od muzyki poważnej, niż jej dał (najdawniejszym przykładem muzyki jazzowej są niektóre partie «Historii żołnierza» Strawińskiego skomponowane w okresie, kiedy właściwy jazz jeszcze w ogóle nie istniał), jest jedyną zaakceptowaną przez społeczeństwo postacią współczesnej muzyki. Podobnie ostry rozdział między twórcami a społeczeństwem, nawet przy całej wzdargliwości kompozytorów dla opinii laików, nie mógł pozostać bez głębszego wpływu na twórczość. Pod koniec okresu międzywojennego problem odzyskania kontaktu ze społeczeństwem stał się coraz bardziej palący. Hasła «upowszechnienia muzyki», jej «socjalizacji» stały się coraz aktualniejsze i coraz bardziej odsuwają na dalszy plan hasła czysto estetyczne. Izolacja od społeczeństwa nie była zresztą jedynym powodem niepokoju. Nawet w oderwaniu od problemu niemożności uzyskania oddźwięku zaczęła dręczyć muzyków inna zmora nie mniej dotkliwa: problem wyczerpania środków. Po kilkunastu zaledwie latach nieekonomicznego wykorzystywania niewyczerpanego zdawałoby się zasobu nowych możliwości, okazało się, że już nie można wymyślić nic naprawdę nowego, stworzyć jakiegoś chwytu, którego by nikt przed tym nie był użył. Zjawisko na pozór paradoksalne: ujęte w wąskie ramki ograniczeń i reguł środki klasyczno-romantyczne starczyły prawie na trzy stulecia, bezmiar zaś możliwości otwarty przez nową muzykę wyczerpał się w tak krótkim czasie. Ale paradoks ten jest tylko pozorny. W okresie panowania stylów klasycznego czy romantycznego o oryginalności kompozytora decydowały nie tyle środki, jakimi on się posługiwał, ile ich kompleksy i sposób, w jaki on ich używał. Tymczasem cały początek dwudziestego wieku zużywał wynalazczość przede wszystkim na wykrywanie nowych środków, na wzbogacenie repertuaru chwytów muzycznych nie wiele się troszcząc o systematyczne wykorzystanie potencjalnie w tych środkach tkwiących możliwości. Pęd za absolutną oryginalnością nie pozwalał na sięgnięcie po środki zastosowane już przez kogo innego i tym samym uniemożliwiał ich pogłębienie i rozwój. W ostatnich latach przed wojną coraz częstsze stały się nawoływania o zaprzestanie eksperymentowania i o wzięcie się do organizacji i syntezy nowego języka muzycznego. Zamiast rozpaczać, że wszystko już było wypróbowane

ne i że nie nowego już się nie da wymyśleć, należało się cieszyć z tego, iż się ma do dyspozycji tak bogaty zasób środków i wziąć się do racjonalnej i twórczej gospodarki tymi zasobami.



W momencie tym wybuchła wojna i za jednym zamachem odsunęła na bok wszystkie problemy artystyczne. Przy całym jednak bezmiarze zniszczeń kulturalnych, jakich ona dokonała zarówno w dziedzinie materialnej jak moralnej, wstrząs ten okazał się pod pewnymi względami pomyślny dla nowej sztuki. Postawił przede wszystkim niemal każdego artystę wobec spraw najistotniejszych i decyzji zarazem najprostszych i najgłębszych, wobec których nie było już miejsca na zaskłamanie, któremu zbyt się łatwo ulegało w atmosferze przedwojennej. Usunął obawę przed prostotą i szczerością. Przede wszystkim jednak, i to się okazało może najzbawienniejsze, wyeliminował na szereg lat z życia publicznego sztukę nowoczesną. Cały niemal kontynent europejski dostał się pod panowanie systemu, który sztukę współczesną zwalczał metodami policyjnymi. W niektórych krajach okupowanych, jak przede wszystkim Polska, uprawianie muzyki poważnej zostało w ogóle zabronione. Gdzie indziej dopuszczano do publicznego wykonania tylko dzieła «prawomysłne». W żadnym z tych krajów twórczość muzyczna nie zamarła, nawet pomimo wymordowania tylu muzyków; zeszła jednak w podziemia lub usunęła się w prywatne zacisza, o ile takowe jeszcze istniały pod okupacją niemiecką. Twórczość powstająca w tych warunkach miała zupełnie specyficzne cechy. Zaważył na niej znamienne braki kontaktu ze światem muzycznym. Nawet w obrębie jednego kraju poszczególni kompozytorzy nie wiele wiedzieli o tym, co i jak tworzą ich koledzy. Konspiracyjne koncerty poświęcone nowym utworom dostępne były szczupłemu gronu wtajemniczonych, nie było po nich recenzji, nie dawały one kompozytorom żadnych podniecających perspektyw. O tym, co się działo w innych krajach nie wiedziało się nic. Uniemożliwione zostało naśladownictwo a wraz z nim automatycznie zanikła jego odwrotność: wyścig o pseudooryginalność, gdyż nie było z kim się ścigać. Kompozytorzy tworzyli bez skali porównawczej, co na krótką metę okazało się zbawienne, gdyż zmusiło ich do sięgnięcia po kryteria wewnątrz siebie samych. Nie musieli się liczyć z tym, «kto co o tym powie», czy tak «wypada» tworzyć czy nie. Nie odnosili z swej twórczości żadnych doraźnych korzyści, wobec nieustannej grozy śmierci mieli nie wiele szans na odniesienie korzyści w przyszłości. Zresztą nie byli w stanie przewidzieć, jaki styl będzie w modzie po wojnie. Zostali nagle uwolnieni od potwornych zahamowań, jakie w okresie międzywojennym wytwarzała tyrania opinii i snobizmu. Tworzyli dla siebie, nie wiedząc czy ich dzieła kiedykolwiek zostaną wykonane. Jeśli jednak mimo warunków, w jakich się żyło pod okupacją to czynili, powodowała nimi wewnętrzna po-

trzeba, która nawet jeśli była próbą ucieczki przed zbyt potworną rzeczywistością, była bardziej spontaniczna i szczerza niż w okresie przedwojennym, kiedy wszelką swobodę twórczą zniekształcało współzawodnictwo. Rzadkie kontakty z odbiorcą, jakie kompozytorzy mieli na tajnych koncertach, nie miały nic wspólnego ze zblazowaną atmosferą normalnych koncertów. Wspólne poczucie niebezpieczeństwa, zrozumienie ważności i rzadkości tego, co się odbywa, wywoływały zarówno u artystów jak i u wykonawców poczucie odpowiedzialności. Przesztosć się obawiać szczerości, głębi i powagi.

W nielicznych krajach neutralnych, które były wolne od niemieckiej cenzury kulturalnej, sytuacja nie wiele się różniła od krajów okupowanych, jeśli chodziło o twórczość współczesną. Najwybitniejsi kompozytorzy doby przedwojennej: Strawiński, Schönberg, Bartók, Hindemith, Milhaud znaleźli się w Ameryce. Dzieła ich tworzone w czasie wojny, nie docierały wcale do Europy. Nie docierała również konspiracyjna twórczość z krajów okupowanych. Z drugiej strony wojna wypowiedziana prawie w całej Europie muzyce współczesnej wzbudziła większe niż przed wojną zainteresowanie tą muzyką. Nie mogąc poznać dzieł nowych zwrócono się do przedwojennych utworów będących do rozporządzenia. Wobec braku zalewu coraz to nowszymi przeliczytującymi się dziełami, mogła się w ciągu tych lat wytworzyć naturalna selekcja tej twórczości. Selekcja ta z jednej strony dała podstawy do pewnej syntezy nowego języka muzycznego, z drugiej strony oswoiła publiczność z tym językiem. Ktokolwiek, jak niżej podpisany, mógł się bezpośrednio po wojnie znaleźć w kraju neutralnym, musiał być uderzony znacznie większym niż przed wojną zainteresowaniem publiczności współczesną muzyką i mógł stwierdzić, iż dobór dzieł cieszących się największym powodzeniem tworzy pewną względnie jednolitą całość stylistyczną.

Okazało się więc, że nadzieje, iż ta wojna dokona dzieła odwrotnego do wojny poprzedniej, nie okazały się nieuzasadnione. Pierwsza wojna światowa rozpętała kryzys artystyczny, którego załazki powstały już przed nią. Druga wojna przyspieszyła proces krystalizacji nowego języka muzycznego zapoczątkowany jeszcze pod koniec okresu międzywojennego. Byłoby niewątpliwą przesadą twierdzić, że kryzys już został całkowicie przewyciężony i że synteza została osiągnięta. Osiągnięcie pełnej i definitywnej syntezy jest niemożliwe i byłoby zresztą zgubne, gdyż sztuka zamiera z chwilą gdy jej przemiany się zatrzymują i kostnieją. Niewątpliwie jednak obecna sytuacja muzyczna jest o wiele zdrowsza niż była przed wojną. Rozdźwięk z publicznością znacznie się zmniejszył zwłaszcza w niektórych krajach i dzieła będące zaledwie przez 10 laty straszakiem publiczności, cieszą się teraz wielkim powodzeniem. Tych dzieł jest nie bardzo dużo, z ogromnej produkcji muzycznej ostatnich dziesięcioleci niewiele utworów wytrzymało próbę czasu. Ale ostało się to, co na to zasługiwało i, co ciekawsze, dzieła te

nie, wydają się teraz tak ze sobą sprzeczne jak można było sądzić jeszcze niedawno. Wspólne im jest pewne tło formalne, które niewątpliwie można uważać za załazki nowego języka muzycznego pozwalającego zresztą na najrozmaitsze style indywidualne. Ważniejsze jednak jest, że powstałe w zupełnej wzajemnej izolacji podczas wojny najwartościowsze kompozycje posługują się przeważnie tym samym językiem. Mamy tu więc do czynienia nie z wymyślonym sztucznie czy narzuconym stylem, tylko ze spontanicznym wyrazem pewnych ogólnych tendencji.

Nie należy zresztą sądzić, że nawiązanie ponowne kontaktu po wojnie przyniosło wiele rewelacji. Raczej stwierdzić można pewne rozczerowanie zwłaszcza w stosunku do największych asów przedwojennych. Dzieła Strawińskiego, Schönberga czy Hindemitha skomponowane w Ameryce w okresie wojennym nie przyniosły niespodzianek i na ogół ustępują ich własnym dziełom przedwojennym. Jedynie Bartók osiągnął w dobie wojennej, w ostatnich latach swego życia szczyt swego rozwoju. Punkt ciężkości przesunął się jednak wyraźnie na młodsze pokolenie kompozytorów prawie przed wojną nieznanych i wśród których, moim zdaniem, na czołowe miejsce coraz wyraźniej wysuwa się kompozytor szwajcarski Frank Martin. Duże nadzieje pokładać można było na Angliku Brittenie i Czechu Bohusławie Martinu, niestety jednak szybkie i wielkie sukcesy osiągnięte przez tych kompozytorów zdają się skłaniać ich ku pewnym łatwiznom i przypochlebianiu się publiczności. Na ogół nowych, prawdziwie wybitnych talentów jest niewiele, ale jest to objaw zrozumiały i raczej dodatni. Dwadzieścia lat temu łatwiej było o snobistyczny sukces. Wystarczała wówczas wynalazczość w dziedzinie technicznej. W okresie syntezy znacznie trudniej o prawdziwą oryginalność, gdyż nie można jej zdobyć sztucznie i epatujące środki już teraz nikomu nie imponują. Oczywiście nie brak i teraz kompozytorów problematycznych, których twórczość wywołuje gwałtowne reakcje i namiętne walki pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami. Do takich zaliczyłbym przede wszystkim kompozytora francuskiego Olivier Messiaen. Kokolwiek o nim można sądzić, należy przyznać, iż wywołanie w dobie obecnej sensacji jest już wyczynem niezwykle trudnym. Jest to kompozytor o naprawdę odkrywczą pomysłowość w dziedzinie szczegółów muzycznych, wydaje się jednak zupełnie pozbawiony zmysłu konstrukcji i przez niekończące się dłużyzny i monotonię swych tasemcowych utworów niszczyć wrażenie świeżości, jakie by mogły wyrzucić poszczególne pomysły. Ta abnegacja konstrukcji i nie liczenie się z czasem oraz mistyczne uzasadnienie, jakie Messiaen daje swej twórczości, są głównymi przyczynami sporów, jakie się toczą wokół jego osoby. Jego środki wypowiedzi jednak, przy całej ich odrębności mieszczą się w tym, co byśmy określili jako wytworzący się nowy język muzyczny.

Opinie, co do tego języka, nie są jednolite. Postęp wybitny

objawia się jednak już w tym, że mamy nie dziesiątki różnych koncepcji, lecz parę opinii tylko i to dotyczących spraw najbardziej zasadniczych. Szkoła Schönbergowska, która pomimo tylokrotnie przepowiadanej jej śmierci naturalnej, jest wciąż żywota, jest najbardziej ekskluzywna. Od dawna przestała ona opierać się na przesłankach wyłącznie negatywnych i stworzyła ściśle skodyfikowaną technikę dwunastotonową, usiłującą zastąpić kościec tonalny i harmoniczny przemianami podstawowego motywu, innego dla każdego utworu. Naczelnym propagatorem tej szkoły, która przez swój ekskluzywizm zasługuje na miano sekty, kompozytor i publicysta paryski René Leibowitz, w gwałtownych polemikach usiłuje udowodnić, że Schönberg i jego pierwsi uczniowie Alban Berg i Anton Webern są jedynymi prawdziwymi muzykami dwudziestego wieku oraz że system dwunastotonowy jest jedyną bezkompromisową podstawą czyścigo niefałszowanego języka przyszłej muzyki. Ale żaden język, muzyczny czy zwykły, nie powstaje z najgenialniejszego chociażby wynalazku, lecz jest wytworem niemal nieświadomym zbiorowości. Fakty zaprzeczają radykalnym tezom Leibowitza. To, co można indukcyjnie określić jako zespół środków właściwych większości współczesnych kompozytorów, nie pokrywa się z systemem propagowanym przez schönbergistów i nie krywa radykalnie z pojęciem tonalności. Zresztą żaden nowy język nie powstaje przez radykalne odcięcie się od języka poprzedniego, lecz zachowuje szereg dawnych elementów. Podobnie przy całej swej swobodzie tonalnej wytworzący się obecnie język muzyczny zatrzymuje niewątpliwie dawne elementy tonalne wprowadzając je jako część szerszego systemu. Nie mogę tu się wdawać w techniczne i dla specjalistów jedynie zrozumiałe szczegóły, zwrócę tylko uwagę na zagadnienie zasadnicze: czy kompozytor komponując operuje już pewnymi związkami i ciążeniami między dźwiękami danymi mu zewnątrz, czy powiązania te wynikają dopiero z kompozycji i wobec tego są inne w każdym nowym utworze? W muzyce tonalnej problem ten nie istniał: tonacje i funkcyjne ciążenia wzajemne akordów były czymś danym z góry i kompozytorowi zostawało jedynie operowanie tymi «naturalnymi» napięciami. Prawdliwość tych związków narzucała się z taką oczywistością, iż nikt nie wątpił, że chodzi tu o pewne prawa natury, całkowicie niezależne od woli kompozytora. Nie umiano jednak znaleźć wytłumaczenia fizycznego czy psychologicznego tych związków, a bliższe poznanie dawnej lub egzotycznej muzyki wykazało, iż związki te obowiązywały i były wyczuwane jedynie przez 250 lat i wyłącznie w muzyce europejskiej. Stąd wniosek atonalistów, iż chodzi tu o zwykłe przyzwyczajenie do pewnych kompleksów, od których zresztą muzyka współczesna od dawna już się coraz bardziej odzwyczaja. Nic więc nie stoi na przeszkodzie do zastąpienia tych związków innymi, stwarzanymi przez kompozytora na nowo przy każdej kompozycji. Jednakże praktyka

wykazała, iż nawet w najswobodniej pod względem tonalnym i harmonicznym ujętej muzyce pewne niezależne od danego utworu i istniejące przed nim prawa dają się odczuć. Toteż Hindemith w swym głośnym przed wojną podręczniku kompozycji «Unterweisung im Tonsatz» wraca do dawnej koncepcji, iż pewne związki w muzyce są niejako prawami natury istniejącymi odwiecznie, usiłując wykazać ich istnienie w muzyce wszystkich epok i znaleźć dla nich uzasadnienie akustyczne. To ostatnie zadanie nie udało mu się tak samo jak jego niezliczonym poprzednikom. Ale też nie ma żadnej konieczności przyjmowanie, iż mamy tu do czynienia z odwiecznie istniejącymi elementami. Są one wytworem epoki, ale wytworem zbiorowym i jako taki istnieją przed kompozycją. Kompozytor może się nimi posługiwać indywidualnie, tak jak poeta może z zupełną swobodą operować językiem, w którym pisze. Poeta nie może jednak radykalnie zmieniać znaczeń słów tego języka. Słowa, jak wiadomo, w toku ewolucji znaczeń zmieniają i swe znaczenie i swą formę, ale nie jest to zjawisko nigdy dziełem jednostki. Podobnie w muzyce. Dawne akordy, którymi się posługują współcześni kompozytorzy, niewątpliwie, wskutek znalezienia się w odmiennym «kontekście» niż w dziełach klasycznych czy romantycznych, mają już nieco odmiennie «znaczenie» muzyczne, jest jednak rzeczą niemożliwą, by te akordy zasadniczo zmieniały swe znaczenie od utworu do utworu i to wyłącznie z woli czy fantazji kompozytora. W tym względzie dające się stwierdzić fakty muzyki współczesnej potwierdzają raczej tezę Hindemitha: elementy dawnego języka muzycznego żyją nadal w języku współczesnym, ale stanowią w nim jedynie część szerszego kompleksu powiązań. I nawet wśród kompozytorów używających techniki dwunastotonowej jedynie ci, którzy rezygnując z ortodoksji schönbergowskiej starają się powiązać nową technikę z dawnymi elementami, dają dzieła prawdziwej muzyki. Przykładem bodaj najcharakterystyczniejszym takiej postawy jest twórczość wspomnianego już Franka Martina.

Dalej: problem obiektywizmu. Tu znowu praktyka zdaje się coraz bardziej oddalać od doktrynalnego obiektywizmu propagowanego przez Strawińskiego i neoklasyków. Widzę w tej tendencji powrót do spontanicznego odczucia zadań muzyki. Nie należy ulegać złudzeniu, iż postawy subiektywne i obiektywne występują w historii muzyki na przemian. Zwolennicy neoklasycyzmu zwalczając romantyzm usiłowali nawiązać do rzekomo obiektywnej, wolnej od uczuciowości i osobistych wyrzużeń muzyki XVIII-go wieku (Scarlatti, Haydn, Mozart). Ale jest w tym zasadnicze nieporozumienie. Jeśli ta muzyka wydaje nam się dziś pozbawiona pierwiastka emocjonalnego i operująca czystymi konstrukcjami formalnymi, sprawia to dystans jaki nas od tej muzyki dzieli. Przyzwyczajeni do znacznie intensywniejszych środków w muzyce romantycznej nie potrafimy już reagować uczuciowo na muzykę klasyczną i ulegamy jedynie czarowi jej doskonałości formalnej. Ale wypo-

wiedzi muzyków z tej epoki i liczne świadectwa literackie dotyczące ówczesnej reakcji na tę muzykę dowodzą, iż zarówno intencje kompozytorów, jak reakcje słuchaczy były w owej epoce równie uczuciowe jak w dobie romantyzmu. Muzyka zawsze i przede wszystkim była sztuką ekspresji i pierwszym wypadkiem w jej dziejach, kiedy twórcy starali się celowo wyeliminować pierwiastek subiektywny i emocjonalny, był właśnie nowoczesny neoklasycyzm a więc kierunek wyrozumowany. W muzyce najnowszej coraz wyraźniejsze są tendencje nawrotu do postawy naturalnej, do przywrócenia osobistej emocji, jako źródła natchnienia. I nie ma w tym żadnego epigonstwa romantycznego. Nowoczesny «romantyzm», który można stwierdzić w dziełach Bartoka, Franka Martina, Messiaen'a, nawet Hindemitha i u szeregu innych kompozytorów doby najnowszej zasadniczo różni się od neoromantyzmu z końca XIX-go wieku. Tam mieliśmy rodzaj akademizmu, automatycznego używania romantycznych środków bez wewnętrznego pokrycia. Był to prawdziwy epigonizm. Obecnie sytuacja jest zupełnie odmienna. Środki są zupełnie inne niż w romantyzmie, zostały one wytworzone na drodze poszukiwań czysto formalnych. Najnowsze pokolenie kompozytorów używa jednak tych środków jako wyrazu ich osobistej postawy emocjonalnej.

I jeszcze parę słów o stronie brzmieniowej muzyki najnowszej. Większość ekstrawagancji okresu międzywojennego przeminięła bez echa i nie ustaliła się. Kompozytorzy znowu zrozumieli, że zbytnia swoboda i nieograniczone możliwości są raczej przeszkodą niż pomocą w twórczości. Twórczość rodzi się z samoograniczenia, z pokonywania oporu materiału. Z chwilą gdy materiał nie stawia żadnego oporu, twórczość nie ma już więcej punktów zaczepienia, rozplywa się w nieokreśloności. Najlepszym dowodem jest tak mała rola jaką w muzyce współczesnej odegrały nowe instrumenty typu fal Martenota itd., po których obiecano sobie tak wiele. I oto instrument, który może «wszystko zagrać», okazał się nieprzydatny dla kompozytorów, jest używany głównie w efekciarskich «ilustracjach muzycznych» i bardzo rzadko występuje w utworach poważnych. Dla obecnych czasów charakterystyczna jest raczej tendencja do ograniczenia zespołów orkiestrowych do przesunięcia punktu ciężkości na inwencję brzmieniową kompozytora a nie na mechaniczne rozszerzanie możliwości brzmieniowych. Oczywiście pewne wzbogacenia palety dźwiękowej weszły do stałego repertuaru muzycznego. Wyrafinowane efekty perkusyjne, glissanda instrumentów smyczkowych na pizzicato, mieszanie pozornie najodrębniejszych barw instrumentalnych, nawet ćwierćtony. Ale nie traktuje się obecnie tych chwytów jako celu samego w sobie, jako powierzchownego efektu, lecz jako składnik konstrukcji względnie jako świeży środek ekspresji. Pod tym względem najbardziej charakterystyczna jest twórczość ostatniego okresu Bartoka i pewne dzieła Messiaen'a. Bartok w ostatnich

latach przed wojną i w okresie amerykańskim zwrócił się wyraźnie w kierunku formalnej organizacji barwy brzmieniowej. Najsłabsze efekty dźwiękowe stają się u niego środkami konstrukcyjnymi równorzędnymi z melodią czy harmonią a równocześnie niezmiernie intensywnymi metodami wyrazu emocjonalnego.

Reasumując: muzyka europejska zdaje się zbliżać do pewnej syntezy, którą charakteryzują: przeniesienie punktu ciężkości z poszukiwań nowych środków na organizację tych środków, odwrót od doktrynaryzmu i dążność do bardziej spontanicznej twórczości, z czym w parze idzie odrodzenie subiektywizmu i uczuciowości, powinien nowy romantyzm, ale operujący zupełnie innymi środkami wyrazu niż romantyzm XIX-go wieku. Ważną i raczej pomyślną konsekwencją tych przemian jest fakt, iż mamy do czynienia znowu nie ze szkołami i prądami, lecz z poszczególnymi indywidualnościami. Głośnych kompozytorów jest mniej niż przed dwudziestu laty, ale też to, co oni tworzą, ma większy ciężar gatunkowy. Rozdźwięk między twórcami a odbiorcami, przynajmniej w niektórych krajach zdaje się znacznie zmniejszać.

Jaką w tych wszystkich procesach rolę odgrywa muzyka polska? Rozkwit twórczości kompozytorskiej w Polsce w ostatnich latach przedwojennych był bodaj najdodatniejszym objawem polskiego życia muzycznego. Zdawało się przez pewien czas, iż muzyce polskiej groził epigonizm Szymanowskiego a zwłaszcza maniery folklorystycznej. Niebezpieczeństwa te jednak szczęśliwie przezwyciężyło najmłodsze pokolenie kompozytorów, które potrafiło zdobyć się na wytworzenie własnego stylu. Główną jego zaletą było nieuleganie zbyt doktrynalnym prądom zachodu przy całkowitym opanowaniu zachodniego «rzemiosła». Lata wojny, pomimo wyjątkowo ciężkich warunków i przeżebienia szeregów muzyków nie zahamowały tego rozpędu. Wręcz przeciwnie, konfrontacja polskich osiągnięć wojennych w dziedzinie twórczości muzycznej z analogicznymi osiągnięciami innych krajów wykazała, iż twórczość ta jako całość dorównuje a częstokroć przewyższa dorobek krajów nawet prowadzących w okresie przedwojennym. Cechą znamioną tej twórczości jest jej spontaniczność i umiejętność osiągnięcia oryginalności bez ekstrawagancji i pedantyzmu. Sukcesy utworów Palestra, Panufnika, Spisaka, Szałowskiego na powojennych festiwalach muzyki współczesnej dowodzą, że muzyka ta może być oceniona na Zachodzie. Mimo to jest wciąż jeszcze zbyt mało znana na arenie międzynarodowej, o wiele mniej niż na to naprawdę zasługuje.

Konstanty REGAMEY.

Książki

Książki angielskie

Ze Swiftem większość z nas zawarła znajomość w dzieciństwie i znajomości tej nigdy potem nie odnawiała. I dlatego z nazwiskiem autora «Gulliwera» w świadomości naszej kojarzy się zazwyczaj aura czegoś dobrodusznego i na niby, taką jaką pamięć nasza otacza wspomnienia lektury z lat dziecińczych. A tymczasem jest to jeden z najokrutniejszych satyryków, jakich zna literatura. Jego np. «Skromna propozycja», mająca na celu zapobieżenie temu, aby dzieci ubogich były ciężarem dla rodziców czy kraju, i uzyskanie z nich pożytku dla publiczności» drapieżnością, pasją nienawiści, siłą protestu — tym wymowniejszych, że wyrażonych suchym, ściśle rzeczowym, «oficjalnym» stylem — mało ma sobie równych na świecie.

Jest wielkim triumfem Evelyną Waugh, że w czasie lektury jego ostatniej powieści «The Loved One» stale przypomina się ten właśnie Swift dla dorosłych. Swiftowski jest tu humor, mocno zaprawiony makabrą, swiftowska ostrość i bezwzględność satyry. Bardzo też osiemnastowieczna jest zwięzłość i rzeczowość tej powieści. Mimo że sporo się w niej dzieje i mimo że zakres jej problematyki jest rozległy, zmieściła się ona bez trudu w lutowym zeszycie miesięcznika «Horizon», co prawda wypełniając zeszyt bez reszty.

Książka jest satyrą na to wszystko co się nazywa amerykańskim stylem życia. Ostrość i niezwykłość satyra ta zawdzięcza wyborowi punktu widzenia, ten styl życia szczególnie jaskrawo demaskującego. Tematem mianowicie satyry są zwyczaje pogrzebowe bogatych tubylców kalifornijskich z Hollywoodu. Stosunek do śmierci to główny odczynnik, którym autor próbuje kulturę amerykańską. Ale nie jedyny. W ostrych skrótach pokazano tu jeszcze stosunek do religii wogóle, życie seksualne, wychowanie, rolę prasy, stosunki między pracodawcą a pracownikiem. Zasięg satyry jest więc rozległy. Jest to naprawdę «rozprawa generalna» z Ameryką.

Bohaterem powieści jest angielski poeta Dennis Barrow, któremu powinieli się noga w Hollywood i który zmuszony jest pracować w zakładzie pogrzebowym dla zwierząt domowych, psów, kotów, małp, papug, nazywającym się Terenem Szczęśliwych Polowań. Za skromną opłatą przedsiębiorstwo to nie tylko zabiera zdechłe zwierzęta i pali, ale i urządza pogrzeby. Jeśli się ma dosyć pieniędzy, w pogrzebie takim może nawet wziąć udział pastor. Jeszcze dopłata w taryfie, a w momencie spalenia zwierzęcia przedsiębiorstwo wypuści białego gołębia. Co roku też, w rocznicę śmierci właściciel spalonego zwierzęcia będzie dostawał kartki: «Pański Azorek myśli dzisiaj o "panu w niebie i macha ogonkiem».

Samobójstwo przyjaciela, z którym Barrow mieszkał i którego pogrzebem się zajmuje, pozwala mu zaznajomić się z innym przedsiębiorstwem pogrzebowym, tym razem już dla ludzi, nazywającym się Szepczące Polanki. Przedsiębiorstwo jest na wielką skalę, eleganckie, z szykanami, z wszelkimi możliwymi wymysłami technicznymi. Jego rozległe tereny, utrzymane jako kunsztowne ogrody, służą równocześnie, za opłatą, jako miejsce schadzek i wyznań miłosnych. Nieboszczyka przed pogrzebaniem w ziemi, spaleniem czy złożeniem w sarkofagu, poddaje się tam skomplikowanym zabiegom kosmetycznym, nadaje mu się zamówiony wyraz twarzy, maluje się go, fryzuje. Mówi się zaś o nim dyskretnie i elegancko, tak aby, Boże uchowaj, nie nasunąć myśli o śmierci: «Ukochana osoba (The Loved One)».

W zakładzie tym Barrow poznaje pracującą tam kosmetyczkę Aimée. Dziewczyna, mimo że przeszła przez bardzo typowe amerykańskie wychowanie, jest jakaś inna, czy to z powodu obciążenia rodzinnego czy dziedzictwa kulturalnego (pochodzi z rodziny emigranta greckiego). Uwikłana między dwoma adoratorem, swoim bezpośrednim przełożonym Mr Joyboy'em, który jej bardzo imponuje w pracy, ale w którym poza tą zawodową fasadą odkrywa bardzo nędzne i nieciekawe życie codzienne, i Barrowem, w którym się kocha, ale który ją drażni swoim cynizmem i z którym zrywa, kiedy odkrywa w nim błagierę, skazana w trudnościach życiowych na rady «Guru bramina» z lokalnej gazety, — Aimée ostatecznie popełnia w pracowni Mr Joyboy'a samobójstwo. Skandal grozi Mr Joyboy'owi krachem jego kariery zawodowej. W pomoc przychodzi mu Barrow. Trup zabrany chyłkiem w nocy, zostanie spalony w charakterze zwierzęcego «faworyta» na Terenie Szczęśliwych Polowań. Barrow po tym wyczynie śpiesznie wraca do Anglii. A Mr Joyboy będzie teraz co roku dostawał z przedsiębiorstwa kartki: «Pańska Aimée myśli dzisiaj o panu w niebie i macha ogonkiem».

Podany tu schemat fabuły powieści daje jednak tylko bardzo niedokładne pojęcie o bogactwie jej treści i ostrości jej satyry. Jak w dobrej karykaturze pewne przeszarżowanie podkreśla tu tylko wrażenie prawdy życiowej. Szereg efektów satyrycznych

powieści osiągnął Waugh przez skonfrontowanie Anglików z Amerykanami i przedstawienie niektórych sytuacji powieściowych oczyma angielskiego obserwatora. Nie ma w tym jednak taniego samochwalstwa narodowego. Anglicy w tej powieści są przedstawieni z dużym taktem artystycznym i również naświetleni satyrycznie. Główny bohater, Barrow, jest wykołajnikiem, cynikiem, blagierem, bez mała nabieraczem. Jeśli przy tym wszystkim cieszy się i autorską i naszą sympatią, to dlatego, że u niego jednego obserwujemy — mimo wszystko — naprawdę ludzkie reakcje. Zresztą na tle skomercjalizowanego sentymentalizmu amerykańskiego jego cynizm działa tu odżywczo.

W régime'owej publicystyce krajowej utarło się ostatnio mówienie o powieściopisarzach «antyamerykańskich». Przez «antyamerykańskich» rozumie się tam tych pisarzy amerykańskich, którzy, korzystając z prawa, przysługującego wszystkim ludziom wolnym, walczą z niesprawiedliwościami społecznymi swego kraju. O ileż bardziej określenie «antyamerykańskości» przysługiwałoby powieści Waugha, atakującej sam rdzeń tego, co rozumiemy przez «amerykanizm». Wolno jednak wątpić, czy pisarz régime'owi będą na tyle nierozsądni, aby powieść tę reklamować swoim czytelnikom. Mimo bowiem pewne pozory to technokracja robotów, którą Waugh w powieści swej zaatakował, to przecież ideał régime'u, któremu służą. To zaś, że w technokracji marki sowieckiej nie ma komfortu i luksusu, a za to jest ucisk polityczny, nie czyni jej przecież jeszcze pojętniejszą.

Trudno wreszcie, na zakończenie, nie poświęcić kilku słów kompozycji powieści, taka jest ona przemyślana, celowa, zgrabna. Tak jest już na początku, gdzie następujące po sobie opisy dwóch zakładów pogrzebowych, pozorne powtórzenie tego samego motywu, w rzeczy samej są jego amplifikacją i dopiero nadają mu odpowiedni rezonans symboliczny. Tak jest z tempem akcji, celowo odmierzoną, tym bardziej przyspieszoną, im bliżej końca, tak też jest zawsze ze świetnie wyzyskanymi efektami niespodzianek.

«Tea with Mrs Goodman» (wyd. Horizon) młodego powieściopisarza i krytyka Philipa Toynbee (syna znanego historyka) jest bardzo niezwykłym eksperymentem powieściowym. Wolno się nawet spytać, czy to wogóle powieść. W każdym bądź razie książka ta to produkt krańcowy pewnej ewolucji powieści, w której dalej już pójść nie można. W dziejach powieści od XVIII w. aż po czasy współczesne można prześledzić pewną wcale wyraźną — mimo wyjątków — linię ewolucyjną; im powieść bliższa naszych lat, tym mniej w niej wydarzeń, akcji, a za to tym więcej drażenia psychologicznego, tendencji do uchwycenia jak najsztubniejszych odcieni świadomości, jak najzwieźniejszych nastrojów. Jaki tłum wydarzeń pomieścić Voltaire na kilkudziesięciu stronicach «Kandyda». I jakich pakownych dwóch to-

mów trzeba było Joyce'owi dla opisu w «Uliссesie» przeżyć jednego dnia jednego człowieka. Otóż Toynbee poszedł po tej linii jeszcze dalej. Akcja jego powieści w tradycyjnym, konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, to wydarzenia popołudniowej herbatki u pani Goodman na Cavendish Square. Wydarzenia najbanalniejsze z banalnych: gospodyni, nalewając herbatę, tłucze filiżankę; kawałki rozarzonego węgla wypadają z kominika na podłogę; młody chłopak, wychowanek gospodyni, jest niegrzeczny, kopie gości i dostaje po uszach; przez okno wpada do pokoju nietoperz... Jak widzimy, trudno o «akcję» bardziej chudą, bladą, banalną.

Ale «akcja» ta jest tu tylko punktem wyjścia. Powieść ujęta jest w ten sposób, że autor rozwija przed nami po kolei film świadomości ośmiorga uczestników tej herbatki: najpierw słabeusza życiowego Maxa Forda (w schemacie paginacyjnym powieści oznaczonego literą A), potem jego energicznego brata, dra Toma Forda (oznaczonego literą B), potem Daisy Tillet (litera C), która się w Tomie na tej właśnie herbatce zakocha, potem blazna tego towarzystwa Charley Parsley (litera D) itd. Każdy taki monolog wewnętrzny podzielony jest na pewną ilość równych jednostek czasu. Tak więc monolog Maxa ujęty jest w dziesięciu takich jednostkach, w paginacji książki oznaczonych znakami A1 do A10. Daisy przyjdzie później i wcześniej wyjdzie, stąd też jej monolog zmieści się w sześciu jednostkach czasu, od C2 do C7. Dodajmy, że opis przeżyć bohatera w granicach każdej takiej jednostki czasu jest kompozycyjnie pewną wyodrębnioną całością. Powieść można więc czytać na dwa sposoby: albo czyta się po kolei monologi wewnętrzne wszystkich bohaterów jeden po drugim, tak jak zostały wydrukowane, albo też zestawia opisy reakcji na wydarzenia i atmosferę np. czwartej jednostki po kolei bohaterów powieści, a więc po A4 czyta się B4, potem C4, D4 itd.

Te zaś monologi wewnętrzne pisane są zrytmizowaną prozą, wszędzie — z wyjątkiem blazenad Charley'a — utrzymana w stylu podniosłym i o bogatej symbolice. I wbrew pozorom, styl taki jest tutaj zupełnie na miejscu. Ambicją autora bowiem było wziąć minimum jak najbliższych wydarzeń z potocznego życia ludzi z «towarzystwa» i poprzez te wydarzenia otworzyć perspektywy na misterium grzechu i odkupienia, życia i śmierci, starości i młodości. Dlatego najcodzienniejsza rzeczywistość przeplata się tutaj ze wzniosłością, skrawki zwykłej rozmowy z symboliką chrześcijańską i grecką, Graala i Persefony. Dużo jest też w powieści symboliki freudowskiej. Czytelnikowi polskiemu zrozumienie zamiarów Toynbee'go powinna ułatwić analogia z «Weselem» Wyspiańskiego. Tak jak w polskim dramacie proste wydarzenie, wesele bronowickie, nabiera wymiarów symbolicznych dla całej rzeczywistości polskiej, tak tutaj herbatka u pani Goodman ma otworzyć przed oczyma czytelników przepaściste, metafizyczne perspektywy. Tylko czy otwiera?

Główny bowiem kłopot z tą powieścią polega na tym, że nie bardzo widzimy, jak się dokonywa transfiguracja trywialnej, potocznej rzeczywistości na wzniosłą i otwierającą głębokie perspektywy symbolikę. Każdy z tych dwóch planów żyje tu życiem samodzielnym i oba one potrosze kłócą się ze sobą. Nie widać przejścia z jednego na drugi. Powieść współczesna zna co prawda przykłady bardzo błahych i banalnych przyczyn, otwierających bardzo głębokie perspektywy (klasycznym przykładem może być choćby smak skosztowanego biskoptu u Prousta i to co z tego potem wynikło). Tutaj jednak mamy do czynienia z czymś innym i dużo trudniejszym: cały zespół z natury rzeczy trywialnych, potocznych wydarzeń, przeżywanych równocześnie przez kilkoro uczestników, ma się transfigurować na wzniosłe misterium rzeczy ostatecznych.

I jest jeszcze kłopot drugi. Oto powieść rozbija się właściwie na kilkadziesiąt samodzielnych poematów lirycznych. Już to, — że możemy je sobie rozmaicie tasować, świadczy, jak luźna jest tu więź kompozycyjna. Niektóre z tych poematów są bardzo piękne, jak zwłaszcza końcowe dyrytamy na cześć młodości i życia, ale trudno powiedzieć, aby wszystkie one układały się w konsekwentnie zbudowaną całość. Raczej rzecz wygląda na to, że autor, balansujący na samiotkłej krawędzi możliwości powieściowych, stracił równowagę i spadł ze swoim skarbem w przepaść. Dla czytelnika zostały po tej katastrofie piękne okruchy liryczne.

Wiktor WEINTRAUB.

Kronika kulturalna

Paryska kronika kulturalna

W Bibliothèque Nationale, w listopadzie ubiegłego roku, odbyła się wystawa Cervantesa dla uczczenia 400-lecia jego twórczości. Poza licznymi rękopisami i rzadkimi drukami pokazano obfity materiał ikonograficzny, ryciny i malarstwo tematem związane z twórczością Cervantesa. Do udziału w wystawie zaproszono Władysława Jahla i Stefana Mrożewskiego, którzy poza Hiszpanami byli jednymi z bardzo nielicznych nie-Francuzów.

Do zbiorów Bibliothèque Nationale zakupiono tekę 20 prac Jahla, składającą się z akwafort i suchorytów o różnej tematyce, oraz tekę drzeworytów S. Mrożewskiego ilustracje do Don Kichota.

Na wiosnę ukazać się ma teka z 12 akwafortami Jahla na temat Don Kichota w wydaniu luksusowym wyłącznie dla subskrybentów, staraniem jednej z najpoważniejszych starych firm wydawniczych Maison Aodin z Lionu.

Drzeworyty S. Mrożewskiego w tej chwili są w Paryżu bezkonkurencyjne, zjednują mu zaciekawienie publiczności francuskiej i uznanie wydawców, wyrażające się propozycjami wydania jego cyklów w formie edycji luksusowych o ograniczonym nakładzie.

Mrożewski pracuje obecnie nad ilustracją w 28 rycinach starofrancuskiej bajki *«La Belle et La Bête»*, według wersji z XVIII wieku Madame de Villanova. Wydawca Towarzystwo Bibliofilów Grolier w Paryżu projektuje ukazanie się jej na jesieni bieżącego roku.

W lutym br. Towarzystwo L'Amitié Franco-Polonaise urządziło wystawę malarstwa i rzeźby Polaków osiadłych we Francji. Artyści dostali zaproszenia indywidualne. Jest to pierwszy pokaz obejmujący większość artystów, znajdujących się na terenie Paryża i Francji po wojnie. W katalogu znajduje się 61 nazwisk i 147 pozycji dzieł wystawionych. Przedmowę do ka-

talogu napisał znany krytyk francuski Stanislas Fumet. Wystawiali prace: Aberdam, Ascher (zmarły w obozie niemieckim), Black, Brandel, Berthet, Boznańska (zm.), Carp, Caziell, Cyankiewicz, Cytrynowicz (zmarł w obozie niemieckim), Dobrzycki, Drohocka, Eleszkiewicz, Flam-Simon, Frenkel, Ferster, Gleb, Glick, Grabowski, Grabska, Grocholski, Halicka, Hecht, Jahl, Januszewski, Klimek, Kramsztyk (zmarł w obozie niem.), Kretz, Król, Kundzia-Mrożewska, Stefan Mrożewski, Lewandowska, Lille, Librowicz, Lupa, Łopusznik, Marcoussis (zm.), Makowski (zm.), Markel, Menkes, Milich, Muter Mela, Olin-Olesiewicz, Pacanowska, Pankiewicz (zm.), Piramowicz, Pink, Rennert, Reno, Rygier, Szrajer, Szwarc, Świecka, Wajngart (zmarł w obozie niem.), Weissberg (zmarł w obozie niem.), Wojtkiewicz, Zak (zm.), Kwiatkowska, Ordyńska, Gottlieb Leopold (zm.).

Na poziom wystawy niewątpliwie wpłynął krótki termin do zgłoszeń i przygotowania prac.

W Paryżu odbył się dn. 6 marca rb. w lokalu Klubu Polskiego (Club des relations culturelles internationales, 2, rue Meyerbeer) odczyt p. Witolda Nowosada *«Literatura polska wobec drugiej wojny światowej»*, jako pierwszy z cyklu *«Wieczory kultury polskiej»*. Prelegent omówił treściwie postawę ideową pisarzy polskich w czasie ubiegłej wojny oraz zanalizował główne ich dzieła, powstałe w tym okresie w Polsce i w różnych krajach świata, poświęcając szczególną uwagę utworom poetyckim. Odczyt był ilustrowany wyjątkami z dzieł Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Łobodowskiego, Józefa Czapskiego, Bolesława Kобрzyńskiego, Mariana Hemara, Bolesława Micińskiego, Jerzego Paczkowskiego, Jana Lechonia, Tadeusza Hollendera, Seweryny Szmaglewskiej, Jana Bielałowicza oraz z anonimowego zbioru poetów lwowskich (wydanego w kraju konspiracyjnie) *«Wierne płomienie»*. Ponadto prelegent podniósł wysoką wartość poezji Krzysztofa Baczyńskiego, młodego poety z Armii Krajowej, jednego z redaktorów pisma konspiracyjnego *«Sztuka i naród»*, poległego w czasie powstania warszawskiego, dalej pamiętnika Marty Rudzkiej *«Z domu niewoli»* — oraz powieści historycznej Teodora Parnickiego *«Srebrne orły»* o czasach Bol. Chrobrego, wydanej w Jerozolimie w r. 1943. Referat uwypuklił podobieństwa i różnice w twórczości pisarzy różnych ośrodków: przebywających w Ameryce, na wyspach brytyjskich, w kraju i w obozach koncentracyjnych oraz na Bliskim Wschodzie, a później w 2-gim Korpusie we Włoszech.

Utwory wybrane recytowali pp. Jadwiga Nomarska, Wanda Małatyńska i Ryszard Stanisławski.

Dn. 10 marca w lokalu Centrum Studiów Włoskich w Paryżu (Société d'Etudes Italiennes) wygłosił wobec międzynarodowe- go audytorium p. Bernardino Chivazza odczyt w języku fran-

cuskim na temat *«Adam Mickiewicz i wypadki we Włoszech w r. 1848»*. Młody badacz włoski, zajmujący się literaturą włoską, interesująco przedstawił pobyt Mickiewicza w Rzymie w r. 1848, założenie *«Legionu»* polskiego we Włoszech i jego udział w pierwszych wojnach o zjednoczenie Włoch. Szczególnie ciekawie wypadł opis triumfalnej podróży Mickiewicza i *«Legionu»* po Włoszech od Rzymu przez Florencję i Bolonię do Mediolanu oraz spotkania z Józefem Mazzinim. Prelegent uwypuklił doniosłą rolę odegraną przez Mickiewicza w ewolucji religijno-społecznej myśli europejskiej oraz w rozwoju tradycyjnej przyjaźni polsko-włoskiej.

Z okazji stulecia rewolucji 1948 r., wydawnicza firma paryska Roberta Laffort wydała ponownie po francusku *«Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego»* Adama Mickiewicza (*«Le livre des pelerins polonais»*), przypominając zdanie Micheleta, że dzieło Mickiewicza stanowi akt wiary w lepszą przyszłość świata.

Bibliografia

Polonica szwajcarskie 1939-1947

Bibliografia niniejsza obejmuje publikacje wydane drukiem w Szwajcarii w latach wojny (1939-1945), poświęcone Polsce i sprawom polskim, tłumaczenia z literatury polskiej oraz druki wydane w języku polskim. Nie obejmuje więc ona ani licznych wydawnictw powielanych w języku polskim ani również licznych prac autorów polskich w językach obcych nie dotyczących spraw polskich. Stosunkowo duża ilość poloników wydanych w Szwajcarii w tym okresie przypisać należy pobytowi w Szwajcarii, na internowaniu, 2 Dywizji Strzelców Pieszych, która przekroczyła granicę szwajcarską po klęsce Francji w czerwcu 1940 roku i pozostała w tym kraju do końca wojny w maju 1945 roku. Fakt ten wpłynął znacznie na zainteresowanie Polską i sprawami polskimi wśród społeczeństwa szwajcarskiego. Z drugiej strony ogromną rolę odegrała również okoliczność, że w szeregach Dywizji był znaczny procent inteligencji, która już w kilka miesięcy po przybyciu do Szwajcarii znalazła się w specjalnie zorganizowanych obozach uniwersyteckich i szkolnych, gdzie powstały polskie ośrodki myśli i nauki. Z tych obozów rekrutowali się właśnie w dużej części autorzy lub inicjatorzy wielu poloników wydanych na ziemi helweckiej w czasie ubiegłej wojny.

ABGAROWICZ, Franciszek = Łodygo, J. i Nadwórniak, F. (pseudonimy).

ABRAMSON, Alexandre = Alius (pseudonim).

ADLER, Hermann. *Gesänge aus der Stadt des Todes*. Europa-Verlag, Zürich 1945. Str. 70.

ADLER, Hermann. *Ostra Brama, Legende aus der Zeit des grossen Unterganges*. Helios-Verlag, Zürich 1945. Str. 156.

ALIUS (pseudonim) = Abramson, Alexandre.

ALIUS. *La ligne Curzon. Etude consacrée au problème de la frontière polono-soviétique*. Extr. de Suisse Contemporaine, mai 1944. Editions de La Baconnière. Neuchâtel 1944. Str. 80+4 nlb.

Coll. l'évolution du monde et des idées.

ALIUS. *Die Curzon-Linie. Das Grenzproblem Sowjetunion-Polen*. Uebers. von Lola Humm. [Mit 2 Kartenskizzen]. Europa-Verlag, Zürich-New York, 1945. Str. IV+100.

ANDREAE, C. Prof. *Die Hochschullager für polnische Internierte*. Zürich 1944. Str. 6.

Biblioteka żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych. YM.C.A., Genewa.

Nr. 1-7 (1943-1944), zobacz: Wojtkiewicz, Bukowiecki, Donimirski, Mosiński, Kopczyński, Michalik, Kubaszewski.

Nr. 8-11 (1944-1945), zobacz: Borkowski i Buczkiewicz, Prugar i Olszowski, Mischke, Kamela.

Nr. 12-16 (1945-1946), zobacz: Świba, Molisz, Pyszel, Donimirski, [Pyszel].

Blaubuch der Britischen Regierung über die deutsch-polnischen Beziehungen und den Ausbruch der Feindseligkeiten zwischen Grossbritannien und Deutschland am 3. September 1939. Verlag Birkhäuser, Basel 1939. Str. 5 nlb.+XXVI+241.

BLAETTER, Franz. *Warschau 1942, Tatsachenbericht eines Motorfahrers der zweiten schweizerischen Aerztemission 1942 in Polen*. Verlag F. G. Micha & Co, Zürich 1942. Str. 123+VIII+1 nlb.

BLUM, Aleksander. *Le drame du commandement dans les œuvres de Stanislas Wyspiański consacrées à l'insurrection de Novembre 1830*. Thèse-lettres-Fribourg. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1943. Str. 150+2 nlb.

BONJOUR, Edgar. *Die Schweiz und Polen. Eine geschichtliche Parallelbetrachtung*. Atlantis-Verlag, Zürich 1940. Str. 36.

BORKOWSKI, Jerzy i BUCZKIEWICZ, Jerzy. *Podstawy elektrotechniki*. YMCA, Genewa 1944. Str. 160+2 nlb+6 tabel+56 tablic z 256 rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 8.

[Bourbakis]. *Les Bourbakis de 1940. L'entrée des troupes franco-polonaises dans le Jura bernois et leur internement en Suisse*. Frissard, Porrentruy 1942. Str. 35+1 nlb.

BRODOWSKI, Bohdan = Jastrzębiec, Bohdan (pseudonim).

BRONARSKI, Alfons. *L'Italie et la Pologne au cours des siècles*. Editions La Concorde, Lausanne 1945. Str. 4 nlb+205.

Collection «Culture européenne», [Série] Echanges intra-européens, No. 2.

BRONARSKI, Ludwik. *Etudes sur Chopin*. (Tome 1^o). Editions La Concorde, Lausanne 1944. Str. IV+183.

Collection «Culture européenne», Cultures nationales, [Série] Pologne, No. 2.

BRZOZA, Adam (pseudonim) = Vetulani, Adam.

BRZOZA, Adam. *Państwo i obywatel*. YMCA, Genewa 1943. Str. 84+1 errata.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 8.

Buch zob. Blaubuch, Gelbbuch i Weissbuch.

BUCZKIEWICZ, Jerzy zob. Borkowski, Jerzy i . . .

BUKOWIECKI, Antoni Inż. *Metaloznawstwo*. YMCA, Genewa 1943. Wyd. 2-gie: YMCA, Genewa 1945. Str. 63+II+1 nlb.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 2.

[Chansons]. *A travers les chansons de Pologne*. Recueil de chansons populaires polonaises. Traduction française de Halina Belmont, Introduction et notices explicatives de Zygmunt Estreicher-Rozbierski. Supplément: texte polonais. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1944. Str. 54 nlb+suppl. 6 nlb.

[Chant]. *Le Chant de la Pologne* (I. Essais et poèmes inédits. II. Présentation des grands poètes polonais). [Avec 4 planches]. Editions Nova et Vetera, Fragnière Frères, Fribourg 1940. Str. 301+3 nlb.

CHOPIN, [Frédéric]. *Valse de l'adieu*. Op. 69, No. 1. Révision par Joseph Turczyński. (Pour piano). Foetisch, Lausanne 1944. Str. 5.

CHOPIN, Fr[édéric]. *Valse* (Valse de l'adieu). (Pour piano). Op. 69, No. 1. (Œuvre posthume). Edition Henn, Genève 1944. Str. IV+4.

Collection «Culture européenne». Editions La Concorde, Lausanne.

[Série] Pologne.

No. 1, 1944, zob. Schoell, Franck-Louis.

No. 2, 1944, zob. Bronarski, Ludwik.

[Série] Echanges intraeuropéens.

No. 2, 1945, zob. Bronarski, Alfons.

[Différend]. *Le différend soviéto-polonais et la réaction anglosaxonne*. Publication documentaire. Introduction de J[ean] F[rançois] Chastellain. Editions de l'Echiquier, Lausanne 1945. Str. 4 nlb+77.

DONIMIRSKI, Kazimierz Inż. *Kuźnictwo*. YMCA, Genewa 1943. Str. 39+III+16 tablic ze 101 rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 3.

DONIMIRSKI, Kazimierz Inż. *Ślusarstwo*. YMCA, Genewa 1945. Str. 64+2 nlb+VI+atlas z 2 tablicami i 97 str. rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 15.

[Drapeaux]. *Nos drapeaux*. Poésies polonaises modernes

traduites en français par un interné polonais W[ładysław] G[ordowski]. Illustré par Louis de Meuron, Charles Humbert, Georges Goldberg et Jan Fortuna. Comités Pro Polonia Neuchâtel et Soleure, Imprimerie Vogt-Schild S.A. Soleure 1945. Str. IV+30 kart nlb.

DROBNY, Władysław = Listwan, Bronisław (pseudonim).

Droga i Prawda. Dodatek religijny «Gońca obozowego». Tom 1 (Rok I, Nr. 1-8). Ks. dziekan W. święcicki, szef duszpasterstwa Dywizji S. P., Elgg 1943. Str. 64. Tom 2 (Rok II, Nr. 1-11), Szwajcaria 1944. Str. 160+2 nlb.

DYBOWSKI, Janusz Teodor. *Cyprian Norwid als christlicher Kulturphilosoph der polnischen Romantik*. Dissertation-Philosophie-Freiburg in Ue. Brugg 1943. Str. 195+3 nlb.

Opublikowane również w Zbiorze prac naukowych internowanych polskich w Szwajcarii, Tom I, Zesz. 2, Brugg 1943.

DYBOWSKI, Janusz T. *Le portrait moral de François Szywała dans la trilogie dramatique de Karol Hubert Rostworowski*. Tirage à part de Recueil de travaux scientifiques des Polonais internés en Suisse, vol. II, 2 (1944). Brougg 1944. Str. 28.

EBERMAN, L[udwik] i WRÓBLEWSKI, T. *Fizyka*. YMCA, Genewa 1942. Str. 4 nlb+60.

Podręczniki dla żołnierskich szkół poszechnych, Nr. 7.

ESTREICHER, Zygmunt. *To my, Marsz żołnierzy polskich na obczyźnie*. Muzyka Z. E... Słowa A. Czyżowski. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1941. Str. 2.

FERRETTI, Giovanni. *Adam Mickiewicz à l'Académie de Lausanne*. Extr. de Etudes de lettres, No. 43, 1940, pp. 127-199. Impr. Centrale, Lausanne 1940. Str. 4 nlb+72.

FILOCHOWSKI, R. ks. zob. Katechizm...

FORNEROD, Aloys. *Henryk Opieński*. Editions Spes, Lausanne 1942. Str. 1 nlb+97.

GAWENDA, Jerzy August. *La situation juridique des étrangers en Pologne et le droit international public*. Tirage à part de recueil de travaux scientifiques des Polonais internés en Suisse, vol. II, 1, (1944). Brougg 1944. Str. 32+1 nlb.

Gelbbuch der Französischen Regierung. Diplomatische Urkunden 1938-1939. Akten über die Ereignisse und Verhandlungen, die zum Ausbruch der Feindseligkeiten zwischen Deutschland einerseits und Polen, Grossbritannien und Frankreich andererseits führten. Verlag Birkhäuser, Basel 1940. Str. 5 nlb+LIV+445.

GLOOR, Serge. *Odyssée d'un Slave*. (Scènes vecues). Naville & Cie, Genève 1943. Impr. Kundig. Str. 4 nlb+201.

GLOOR, Victor. *Manuel franco-polonais*. Partie 1. Genève 1942. Str. 4 nlb+120.

GŁODKIEWICZ, Mieczysław = Łodygo, J. i Nadwórniak, F. (pseudonimy).

GŁOWACKI, Alexander = Prus, Bolesław (pseudonim).

GOGLUSKA, St. zob. Mazurek, Ewald P. unter Mitwirkung von ...

GONDEK, Józef = Łodygo, J. i Nadwórniak, F. (pseudonimy).

Goniec obozowy. Wiadomości dla internowanych. Presseoffizier für Internierten-Zeitungen. Bern. Rok I (1940, Nr. 1-16), II (1941, Nr. 1-16), III (1942, Nr. 1-24), IV (1943, Nr. 1-24), V (1944, Nr. 1-32), VI (1945, Nr. 1-17).

Dodatki: Na żołnierskim szlaku, dodatek literacki; Droga i prawda, dodatek religijny.

(Nr. 1-szy ukazał się dn. 1. IX. 1940, a numer ostatni 129 [17/1945] dn. 11-20. VI. 1945).

GRODECKI, Krzysztof (pseudonim) = Kmicikiewicz, Eugeniusz.

GRODECKI, Krzysztof. *Geografia*. YMCA, Genewa 1942. Str. 2 nlb+354+1 mapa.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 4.

GUILLEMIN, Henri. *Les écrivains français et la Pologne*. [Conférence]. Editions Au milieu du Monde, Genève 1945. Str. 4 nlb+51.

HAJDUKIEWICZ, Jerzy. *Der polnische Alpinismus*. Sonderabdruck aus Die Alpen. 1945. Str. 4.

[Höle]. *Die Hölle von Maidanek*. Bericht der Ausserordentlichen polnisch-sowjetrussischen Kommission zur Untersuchung des von den Deutschen in Vernichtungslager Maidanek in der Stadt Lublin begangenen Verbrechen. Verlag der Partei der Arbeit. Zürich 1945. Str. 46.

[JANISZEWSKI, Michał]. *Fizyczna mapa Polski*. 1:1.000.000. Pomoc dla wojskowych internowanych w Szwajcarii, YMCA, Genewa. Bern 1943. Kümmerly u. Frey.

JARZĘBINSKI, Stanisław Inż. *Silniki spalinowe na paliwo płynne i gazowe oraz urządzenia w pojazdach mechanicznych*. YMCA, Genewa 1944. Str. 433+VIII z 125 rycinami i 1 tablicą barwną.

JASTRZĘBIEC, Bohdan (pseudonim) = Brodowski, Bohdan.

JASTRZĘBIEC, Bohdan. *Chemia*. YMCA, Genewa 1942. Str. 40.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 3.

JEREMIEJEW, Michał = T.[aillard], J. de (pseudonim).

Kalendarzyk żołnierza, Rok 1941. Szwajcaria 1940. Druk św. Pawła, Fryburg. Str. 61+1 nlb.

Kalendarzyk żołnierza 1942. Szwajcaria 1941, św. Paweł, Fryburg. Str. 10 nlb+62.

Kalendarzyk żołnierza 1943. Szwajcaria 1942, św. Paweł, Fryburg. Str. 18 nlb+78.

KAMELA, Czesław Inż. *Miernictwo*. YMCA, Genewa 1945. Str. 117+II+2 nlb+atlas (77 tablic z 229 rys.).

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla kształcących szkół zawodowych, Nr. 11.

Karte von Polen. 1:2.500.000, 1 Bl. fol. zus.-gefaltet. Orell Füssli, Zürich 1939.

Katechizm rzymsko-katolicki. Według układu ks. R. Filochowskiego. Wydano staraniem Szefa Duszpasterstwa 2 DSP. św. Paweł, Fryburg, Szwajcaria 1942. Str. 78+2 nlb.

KLIMASZEWSKI, Ignacy J. *Rachunki*. YMCA, Genewa 1942. Str. 2 nlb+268.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 5.

KMICIKIEWICZ, Eugeniusz = Grodecki, Krzysztof (pseudonim).

KOPCZYŃSKI, Zbigniew Inż. *Odlewnictwo*. YMCA, Genewa 1944. Str. 1 nlb+31.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla kształcących szkół zawodowych, Nr. 5.

KOPP, Max. *Polen*. Seine Geschichte von den Piastenfürsten bis zur deutsch-russischen Okkupation, 963-1939. Europa-Verlag, Zürich-New York 1940. Str. 5 nlb+71.

KORCZYŃSKI, Alexander (pseudonim) = Meleń, Alexander-Czesław.

KORCZYŃSKI, Alexander. *La Pologne et l'U.R.S.S. au cours de la période d'entre-deux-guerres*. Extrait du No. 3/1944 de la Revue de Droit International (Sottile-Genève). Genève 1944. Str. 6+2 nlb.

KORNISZEWSKI, Feliks. *Książka dla wszystkich*. Nakładem YMCA, Imprimerie St-Paul, Fribourg. Szwajcaria 1943. Str. 428+4 nlb.

KRASINSKI, Zygmund. *La Comédie Non Divine*. Traduite par Ladislav Stryjeński et Alexandre Cingria avec une introduction

de Charles Journet. Editions Nova et Vetera, Fribourg 1943. Str. 64.

KRZYSZKOWSKI, C. zob. Podręcznik religii . . .

KUBASZEWSKI, Stanisław Inż. *Instalacje elektryczne*. YMCA, Genewa 1944. Str. 141+III+61 tablic z 280 rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 7.

KUEHL, Julius. *Die polnisch-schweizerischen Handelsbeziehungen im Rahmen der gesamten Handelspolitik Polens*. Dissertation-rer.-pol.-Bern. Buchdr. W. Friedli, Bern 1940. 1 nlb+79.

LAGUTT, Jan K. *Zur Geschichte der Curzon-Linie*. Sonderdruck aus der Neuen Schweizer Rundschau, Heft 10/11 Februar/März 1944. Buchdruckerei Jak. Villiger & Cie. Wädenswil 1944. Str. 1 nlb+7.

LANCKORONSKA, Caroline. *Souvenirs de Ravensbrück*. Conférence donnée à Genève, Lausanne, Berne et Zurich. Version française du texte allemand publié dans la Revue universitaire suisse, août 1945, No. 2, XIX année. Imprimerie de la Tribune de Genève, Genève 1945. Str. 20.

LATINI, A. I. (pseudonim) = Vetulani, Adam.

LATINI, A. I. *Polen*. Separatabdruck aus dem Volksblatt des Bezirkes Meilen. Meilen 1944. Str. 16.

LENOIR, André. *Varsovie 1944*. Préface de Georges Rigassi. Editions de la Frégate, Genève 1944. Str. 45+3 nlb.

LEWINSKI, Jan. *Sztuka liturgiczna*. Wydane staraniem Komitetu Kulturalno-Oświatowego DSP. Nakładem Towarzystwa Polen-Hilfe w Solurze. Cynkodruk wykonany z pisma ręcznego w firmie Fotoplast A.-G. Zurych. Szwajcaria 1943. Str. 168.

LIBEREK, Stanislas Dr. *L'Amitié Polono-Suisse au cours des siècles*. Préface de M. Benjamin Valloton. Lausanne 1941. Str. 67+1 nlb.

LIBEREK, Stanislas Dr. *Fraternité d'armes polono-suisse au cours des siècles*. Préface du Major P. de Vallière. Editions Musée Polonais Rapperswil. Rapperswil 1945. Str. 163+1 nlb.

LIBEREK, Stanislas Dr. *Les échanges commerciaux entre la Suisse et la Pologne 1935-1939*. Editeur: Office suisse d'expansion commerciale, Tirage à part des Informations économiques, Nos 7 à 10, février et mars 1945, Lausanne 1945. Str. 42+2 nlb.

(d. c. n.)

Aleksander C. MELEN.



„POD PRĄD”

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
(wychodzi 3 razy w miesiącu)

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: *«Libella»*, 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.
Librairie T. Pajor, 47, rue de l'Université, Paris VII^e (cena 15 fr.).

W. BRYTANIA: *Centralna Skł. Książek S.P.K.*, 57, Edbrooke Road, London W. 9 (cena 6 d.).

BELGIA: *Księgarnia Polska*, 42, rue Defacqz, Bruxelles (cena 7 fr.).

WŁOCHY: *J. Miecznikowski*, Via dei Villini 18, int. 4, Roma (cena 25 lir.).

SKŁADNICA „LIBELLA” KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e). Métro: Sully-Morland

poleca:

Ostatnie nowości / Powieści / Pamiętniki / Opowiadania /
Książki techniczne / Podręczniki szkolne / Książki rolnicze /
Książki dla dzieci / Książki dla młodzieży / Książki do nabo-
żeństwa / Poezje / Podręczniki do nauki języków obcych /
Nuty / Słowniki / Albumy / Pocztówki / Mapy / Polonica /
Książki po francusku i angielsku / Pisma / Płyty gramofonowe.

== Katalogi wydawnictw i płyt wysyła się na żądanie ==

„ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII 9 d.

● Prenumerata:

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Współpraca Czytelnika

W rozpowszechnianiu pisma:

Proszę:

o wysłanie numeru okazowego do niżej wymienionych osób
(prosimy o załączenie 10 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

o przyznanie bezpłatnego dwumiesięcznego abonamentu oso-
bom, które niewątpliwie będą kontynuowały prenumeratę (pro-
simy o załączenie 20 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

W redagowaniu pisma:

Proszę, aby „KULTURA” poruszyła w najbliższych numerach
następujące tematy:

Mam następujące zarzuty i uwagi pod adresem pisma:

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do:

THE VISTULA PRESS LTD.

86, Avenue Road, London N. W. 8.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

☐ pół roku — za cenę sh. 16.

☐ jednego roku — za cenę £ 1. 10. 0.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania
za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu
powiadamiał, dołączając 1 sh. na koszty sporządzenia nowej
matrycy adresowej.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

(Prosimy wypełnić i wysłać)

Do:

LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

☐ pół roku — za cenę 500 frs.

☐ jednego roku — za cenę 800 frs.

(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania
za miesiąc

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu
powiadamiał, dołączając 10 fr. na koszty administracyjne.

Imię, nazwisko, dokładny adres:
(drukowanymi literami)

„OD ZAGŁOBY DO WIECHA” --- DARMO

tę doskonale opracowaną antologię polskiego humoru i polskiej satyry na przestrzeni ostatnich 300 lat, zawierającą najdawniejsze opowiadania, nowelę, wiersze i fraszki pióra wielu znakomitych pisarzy polskich — otrzyma bezpłatnie (jako nagrodę wstępną) każdy, kto wstąpi w kwietniu br. jako członek do

KLUBU KSIĄŻKI POLSKIEJ

i zamówi po niższej cenie przynajmniej jedną z książek, wymienionych w

selekcji wiosennej — na kwiecień 1948

Zofia Kossak: KRÓL TRĘDOWATY. Wielka powieść historyczna z okresu zmagania Królestwa Jerozolimskiego, założonego przez Krzyżowców, ze światem muzułmańskim. Oprawa płócienna. *Cena 12 s. 6 d., dla członków Klubu 8 s. 9 d. (przesyłka 9 d.).*

Henryk Sienkiewicz: NA POLU CHWAŁY. Powieść historyczna z czasów króla Jana Sobieskiego, której akcja rozgrywa się w przededniu wyprawy pod Wiedeń. Amerykańskie wydanie luksusowe w oprawie płóciennej. *Cena 16 s. 6 d., dla członków Klubu 12 s. 3 d. (przesyłka 9 d.).*

Maria Rodziwiczówna: WRZOS. Jedna z najpiękniejszych powieści popularnej powieściopisarki. Amerykańskie wydanie luksusowe w oprawie płóciennej. *Cena 16 s. 6 d., dla członków Klubu 12 s. 3 d. (przesyłka 9 d.).*

Arkady Fiedler: DYWIZJON 303. Estetyczne, kanadyjskie wydanie (z ilustracjami) znakomitej książki o nieprzemijającej sławie Dywizjonu 303. Książka ta jest nie tylko świetnie napisanym reportażem, ale również dokumentem historycznym o trwałej wartości. *Cena 10 s. 6 d., dla członków Klubu 7 s. 6 d. (przesyłka 6 d.).*

Członkiem Klubu może być każdy i członkostwo jest bezpłatne — jedynie wymagana opłata wstępna 4 s. 6 d. na koszty katalogów i korespondencji w ciągu roku. Każdego miesiąca Klub ofiarowuje swoim członkom 4 wysoce wartościowe i interesujące książki do dowolnego wyboru po cenie od 25 do 40% niższej od katalogowej, zapewniając przy tym liczne nagrody w postaci innych książek gratis. UWAGA: ze zredukowanych cen książek mogą korzystać *jedynie* członkowie Klubu. Książki, wymienione w selekcji, są sprzedawane w księgarniach po cenie normalnej.

Zgłoszenia na wystąpienie do Klubu (wraz z opłatą wstępną, należnością za wybrane książki i ich przesyłkę) należy nadsyłać listownie do:

POLISH BOOK CLUB, c/o THE VISTULA PRESS LTD.,
86, Avenue Road, LONDON N.W.8.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZACH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZACH 9 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. czw.

Warunki prenumeryaty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; ½-roczna 500 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.
we WŁOSZACH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.
w NIEMCZACH: roczna 90 Mr.; ½-roczna 50 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr. szw.; ½-roczna 10 fr. s.
w AMERYCE: roczna 6 dolarów; ½-roczna 4 dolary

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Przedstawicielstwa:

We FRANCJI: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IVe)
w W. BRYTANII: The Vistula Press Ltd., 86, Avenue Road, — London N.W.8
we WŁOSZACH: Jan Miecznikowski, «Kiosk Polski», via Vittorio Veneto 62, Roma
w SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.
w NIEMCZACH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel
Bienberg, U. S. Zone.

w SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10

Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.

Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

INSTYTUT LITERACKI

**Wkazały się i są w sprzedaży następujące nowe książki
INSTYTUTU LITERACKIEGO:**

Arthur Koestler:

KRUCJATA BEZ KRZYŻA

Przekład G. Herling-Grudzińskiego.

Cena we Francji 250 fr.

Cena w Anglii 9/6 sh.

Jan Bielatowicz:

PASSEGGIATA

Wybór szkiców włoskich.

Cena we Francji 180 fr.

Cena w Anglii 7/6 sh.

Gustaw Grudziński:

W OCZACH PISARZY

Wybór opowieści wojennych.

Cena we Francji 260 fr.

Cena w Anglii 12/6 sh.

Bolesław Miciński:

PORTRET KANTA

I TRZY ESSAYE O WOJNIE

Cena we Francji 130 fr.

Cena w Anglii 5/6 sh.

*Książki te są do nabycia we wszystkich punktach sprzedaży
KULTURY. Redakcja KULTURY wysyła je również
z a z a l i c z e n i e m p o c z t o w y m
Żądajcie katalogów wydawnictw Instytutu Literackiego*

W najbliższym czasie Instytut Literacki wydaje:

Arthur Koestler:

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

w przekładzie Tymona Terleckiego.

Józef Czapski:

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI